Ota Pavel

Puchar od Pana Boga

STARA SZKOŁA

Ota Pavel

przełożył: Mirosław Śmigielski

STARA
SZKOŁA

Bramkarz

(*Jak pewien chłopiec przyszedł na świat)*

Ojciec ich opuścił, więc Józef miał ciężkie życie, jeszcze zanim się narodził. Została mu tylko mama Julka, sierota, sama jeszcze prawie dziecko. Wtedy, w trzydziestym siódmym, służyła na gospodarstwie u rolnika Strzyteżnego. Rolnik groził jej:

– Jeśli urodzisz tego bękarta, wyrzucę cię!

A ona tak bardzo pragnęła mieć swoją istotkę, która byłaby jej źródłem szczęścia. Zaszczuli ją i zmusili, by skoczyła z okna na poddaszu, żeby to wszystko zakończyć. Tyle że Józef Mikołaj, którego imię dwadzieścia trzy lata później powtarzały z uznaniem tysiące kibiców przed telewizorami i przy radioodbiornikach, miał mocne życie. Urodził się, a mama patrzyła na niego zapłakanymi i szczęśliwymi oczami.

I tak przyszedł na świat kolejny chłopiec.

Lecz nie był taki jak inni, nie mógł stać o własnych siłach, ponieważ miał krzywicę. Matka całe dnie spędzała na polu, a syna przywiązywała sznurkiem do nogi od stołu. Na betonowej posadzce najpierw złapał przeziębienie, a potem rozwinęło się ciężkie zapalenie płuc. Gospodyni zapaliła nad nim gromnicę:

– On już wyzionie ducha!

Julka biegła wtedy przez wieś i krzyczała:

– Mój synek umiera!

A wieś milczała, miała wystarczająco dużo własnych zmartwień. Tylko sklepikarka poradziła dziewczynie, żeby robić chłopcu okłady z alkoholu.

Wyszedł z tego.

Mama uciekła od gospodarza do ostrawskich zakładów chemicznych RÜTTGERS. Dostali pokój w jednej z goldbergrowskich chałup. Zamiast posadzki była w nich glina, a przez dziurawe ściany właziły do środka żaby.

Kiedy Józef skończył pięć lat, miał nogi jak tyczki i wciąż nie chodził. Siadywał głodny pod hałdą i czekał, aż mama wróci z pracy. Julka nosiła go do domu na plecach. W niedzielne popołudnia zwiedzali w ten sposób okolicę oprószoną ostrawskim pyłem.

Życie Julki było straszne. Dopiero później chłopiec stanął na własnych nogach i zaczął chodzić.

– Józiu, mój ty Józiu!

(*Jako górnik)*

Jeszcze długo był inny niż pozostali. Przechodził sto metrów i musiał odpoczywać – bolał go kręgosłup. W szkole poznał kolegów, a na wagarach – okrągłą piłkę. Wysuwasz nogę, a piłka za twoją sprawą porusza się szybciej niż ty, odbija się, skacze. Chodził wokół piłki i kopał ją z każdej strony. Rozumiał zasady, lecz nie wiedział, że futbol wzmacnia jego kości i stawy. Później chłopcy zaczęli wołać go na mecze. Kapitanowie drużyn wstawiali się za nim:

– Może i Józef niezbyt potrafi biegać, ale jego strzały są niezwykle celne.

To wszystko nie było łatwe. Chłopiec przeżył jeszcze wiele bólu i rozczarowań, nierzadko wstydził się, że dostał buty i płaszcz z Czerwonego Krzyża, i że należał do najbiedniejszych.

W życiu prawie każdego z nas pojawia się człowiek, który przerzuca nam zwrotnicę. Dla Józefa kimś takim był jego nowy ojciec – Zyga. Ich życia, o tak różnej długości, łączył wspólny los. Zyga rozumiał Józefa, sam jako mały chłopiec spędził cztery lata w sierocińcu. Przeżył faszystowski obóz koncentracyjny, uciekł z marszu śmierci dzień przed tym, gdy wszystkich pozostałych rozstrzelano.

Po powrocie poznał Julcię. Dostali trzypokojowe mieszkanie. Julka za ostatnie pieniądze kupiła wtedy obraz z brzozami, powiesiła go na ścianie i pośrodku pustego pokoju usiadła na krześle. Długo wpatrywała się w ten obraz.

Jej Józefek też nie był już na szarym końcu. Zabierał z domu budzik i biegał w pobliskim lasku jak Zátopek. Grywał w piłkę nożną, a ze szkoły zaczął przynosić świadectwa z wyróżnieniem. Zyga został jego sternikiem. Podczas wakacji zabrał Józefa na wybierkę *Flora 905.*

Górnicy mówili:

– Gdyby to był twój własny syn, na pewno nie wpuściłbyś go do szybu.

Lecz oni dwaj zbliżyli się tam jeszcze bardziej. Wspólnie przemierzali korytarze, a w tunelach o wysokości zaledwie czterdziestu centymetrów leżeli i kruszyli węgiel, wdychali ten sam pył, a w cięższych chwilach Józek szukał wzrokiem oczu Zygi: uśmiechały się i dodawały mu sił.

Józef jako jedyny z klasy poszedł do szkoły górniczej. Ale mama nie podpisała jego zgłoszenia. Kto wie, kim mógłby zostać – myślała – a teraz trzeba będzie codziennie drżeć, czy syn wróci z szychty…

(*Narodziny bramkarza)*

Bramkarze hokejowi rodzili się zazwyczaj tak, że najsłabszy łyżwiarz wjeżdżał na bramkę. Józek miał piętnaście lat, kiedy nauczyciele REZERW ROBOTNICZYCH postawili go między słupkami, ponieważ Botek doznał kontuzji.

– Może ktoś w ciebie trafi.

Rzeczywiście oberwał kilkoma krążkami, a do niektórych rzucał się tak, jak to znał z piłki nożnej. Powiedzieli mu więc:

– Łyżwiarz z ciebie kiepski, ale odważny jesteś.

Na krytym lodowisku w ciągu dnia trenują zazwyczaj drużyny ligowe, więc juniorzy pojawiają się tam w nocy lub przed świtem. REZERWY ROBOTNICZE zaczynały treningi o wpół do czwartej rano. Józek wstawał o drugiej w nocy. Bramka hokejowa należała wyłącznie do niego. Stał sam naprzeciw rozpędzonych chłopców, wychodził na nich, padał, wyłuskiwał im krążki spod nóg. Bramkarzy było wtedy niewielu, a ponadto często opuszczali treningi, więc drużyny na lodzie zmieniały się, ale na linii bramkowej przez długie godziny zostawał Józef Mikołaj.

Grał już w drużynie najlepszych zawodników REZERW ROBOTNICZYCH, gdy pewnego razu podczas porannego treningu podszedł do niego trener ligowych Vítkovic:

– Słuchaj, kolego, zostań w tej swojej klatce, nasz bramkarz dziś nie przyjdzie.

Potem z zespołu Vítkovic odszedł na stałe drugi bramkarz. Przekonali więc Józka, żeby u nich bronił. Nie chciał, bał się – nie uderzeń, ale spojrzeń i pretensji. Łapanie małego i szybkiego krążka nie jest czymś łatwym, za napastnikiem stoi obrońca, za obrońcą jest jeszcze bramkarz, ale za bramkarzem jest już tylko falująca siatka, gorycz porażki, zniweczone godziny treningu, rozczarowanie kolegów, przegrana walka. Nieprzypadkowo w Kanadzie bramkarz jest najważniejszym zawodnikiem

hołubionym przez całą drużynę, cały zespół jest gotów bić się za niego i załatwiać nawet jego osobiste sprawy, byleby tylko ich chłopak w bramce miał się jak najlepiej.

Józek na pierwszy rzut oka był twardzielem – pracował w niskich tunelach i potrafił godzinami wydobywać węgiel, klęcząc lub leżąc – lecz miał niezwykle wrażliwą duszę. Kolega pokazał mu Szekspira; kiedy więc później przemierzał podziemne korytarze, recytował *Romea i Julię*. Zauroczył go dramat o Richardzie, który również miał chore ciało, a mimo to zdobywał świat. Józef śnił o poezji gwiazd, choć często przesłaniała mu je ziemia nad głową oraz łukowe sklepienie lodowiska.

Dlatego bardziej niż pierwsze wybite zęby bolały go szorstkie słowa i docinki:

– Jak bronisz, łamago?!

Trzy razy oddawał swój strój i za każdym razem płakał. Zawsze był wtedy przy nim Zyga. Chłopiec szukał jego słów i oczu. Dodawały mu sił i prowadziły do przodu, tak jak na ich pierwszej wspólnej szychcie.

– Józeczku, przecież chyba się nie poddasz?

I znów zgłaszał się po swój strój.

(*Rezerwowy reprezentacji)*

W pierwszym meczu ligowym coś się zmieniło. Grali w Chomutowie, był akurat dzień świętego Mikołaja, a podekscytowani kibice bawili się przednio – bramkarz Vítkovic wpuścił w dziesięć minut cztery gole. Rezerwowi naciskali na trenera:

– Wpuść tam Józefa!

W końcu odezwały się głośniki:

– Na lodzie pojawi się Mikołaj, bramkarz Vítkovic.

Trybuny uznały to za doskonały dowcip. Do końca meczu krzyczały:

– Napakuj do worka jak najwięcej prezentów!

Vítkovice straciły dziesięć goli, ale Józek nie bronił źle. Niektóre jego interwencje nagradzano brawami, co jeszcze bardziej go motywowało.

Zaczął intensywnie trenować. Robił na lodzie fikołki, by zwiększyć gibkość. Padał i wstawał. Ćwiczył dużo więcej niż kiedyś. Grał w piłkę nożną i tenis stołowy. Nawet na szychcie w przerwach trenował na prowizorycznym drążku.

Po raz kolejny zagrał dopiero z Kladnem w meczu przed własną widownią. Zanim wyszedł na lód, ręce trzęsły mu się tak bardzo, że nie był w stanie zawiązać sznurowadeł.

Drużyna z Kladna atakowała często, ale zdobyła tylko jedną bramkę. Vítkovice wygrały, a mężczyźni pracujący na szychtach i przy piecach hutniczych po raz pierwszy skandowali:

– Mikołaj, Mikołaj…!

Kiedy był pod ziemią, lubił wspominać te chwile. Obsługiwał lokomotywę, która zastąpiła konie. Przywoził górnikom puste, a odbierał pełne wagoniki. W myślach analizował każdy mecz, każdą niepotrzebnie straconą bramkę.

Kopalnia stała się najtrudniejszym treningiem i kontynuacją ciężkiego dziecięcego życia. Często pracował po ciemku i po omacku odnajdował zerwane łańcuchy, intuicyjnie wyczuwał niebezpieczeństwo, siłą barków i pleców musiał podnosić wykolejone wagony.

Lecz z ciemności i samotności ziemi wyjeżdżał do oświetlonej hali wypełnionej ludzkimi ciałami i głosami. Z domu nie wyniósł skłonności do długich rozmów, natomiast praca w szybach nauczyła go dokładności. Zauważył, że w hokeju również obowiązują prawa najoszczędniejszych

i najefektywniejszych ruchów. Wystawić lewą łapaczkę, ześlizgnąć się na lód, wyjść do przeciwnika.

Jeszcze wiele razy jego nazwisko wypełniało halę. Kiedy juniorzy Czechosłowacji pokonali w Moskwie pierwszą reprezentację Związku Radzieckiego, skandowano:

– Vratara! My cha-tim vra-ta-ra!

Lecz wciąż nie mógł się przebić do pierwszej reprezentacji. Jej kierownictwu było do Ostrawy nie po drodze. Nie bronił więc ani w Oslo, ani w Pradze, ani w Squaw Valley. Wpuścili go na lód dopiero podczas wyjazdu do Kanady. W Kitchener lekarz na ławce rezerwowych zaszył Józkowi bez znieczulenia ranę na brodzie. Był to już pięćdziesiąty szew na jego twarzy. Bronił doskonale, a trenerzy mówili mu:

– Józefie, jak tak dalej pójdzie, będziesz bronić na mistrzostwach świata!

(*Bramkarz mistrzów Europy)*

Pojedzie na mistrzostwa świata do Szwajcarii. Liczą na niego, chociaż w tym sezonie broni w klubie drugoligowym. Nie przeważyły opinie, że w Kanadzie bronił dobrze, bo stawka meczu była zerowa.

Z radością podchodził do ostatnich treningów w ostrawskiej hali, przypominającej olbrzymią maszynownię przepasaną żelaznymi łukami i taflami szkła. Promień wiosennego słońca przedarł się przez przeszklony dach – spóźniona reakcja na krążek wystrzelony z prędkością stu kilometrów na godzinę – ból twarzy. Ujrzał ścianę mgły. Podjechał do niego jeden z kolegów i szepnął:

– Józek, przepraszam…

Chciał odpowiedzieć, że za takie rzeczy się nie przeprasza, ale nie mógł otworzyć ust.

Ktoś rzucił:

– To tylko przykurcz mięśnia.

Pojechał do szpitala. Zrobili mu prześwietlenie.

– Potrójne złamanie łuku jarzmowego. Rozetniemy panu twarz i poskładamy to. Czeka pana miesiąc odpoczynku.

A wtedy broniło się jeszcze bez kasków. Miał już na twarzy rany szarpane, kilka razy złamaną i zrośniętą żuchwę, dziesięć sztucznych zębów. Kontuzje przyjmował jako oczywistość i podatek od piękna gry.

Uprosił lekarza. Wypuścili go ze szpitala.

Do Szwajcarii zabrał maskę z pleksiglasu. Trenerzy ani koledzy z zespołu nie wiedzieli o kontuzji, bo ani razu nie włożył tego ochraniacza. Tylko Vlach i Kasper z Ostrawy znali prawdę – lecz milczeli.

W Szwajcarii Józef starał się nie mówić zbyt dużo, bowiem parę razy zdarzyło się mu, że otworzył buzię, ale nie mógł jej zamknąć. Kiedy chłopcy coś do niego mówili, uśmiechał się tylko.

W takiej kondycji stanął w bramce Czechosłowacji.

Jego pierwszy mecz na mistrzostwach świata: dwa razy znalazł się sam na sam z Finem Salonem i w obu przypadkach krążek wylądował w jego rękawicach. Drukarnie po raz pierwszy wydrukowały nagłówek: *Mikołaj ostoją reprezentacji.*

Kiedy nie dało się inaczej, bronił nawet głową, jedyny gol zdobyty przez Amerykanów wpadł do siatki po zderzeniu krążka z czaszką Józefa.

– Nie mogę im tego przegrać, nie mogę wpuścić ani jednej niepotrzebnej bramki… – szeptał do siebie, kiedy ataków i strzałów próbowali Rusnell, Alexandrov, Tambellini, Sly, Tumba.

Na stadionie w Lozannie skończył się ostatni mecz mistrzostw świata, a koledzy w strojach hokejowych podnieśli Józefa w górę. Zajęli drugie miejsce, za Kanadą, nie przegrali ani jednego meczu i zostali mistrzami

Europy, po raz pierwszy od dawna przełamując dominację sowieckich hokeistów. Dopiero wtedy Józef mógł pokazać swój ochraniacz z pleksiglasu, ale nie zrobił tego, nie było po co.

Jak Boguś Wania wziął odwet za gorzkie łzy Marysi Kettner

Boguś, syn państwa Waniów, jako chłopiec nosił krótkie spodnie oraz koszulkę błękitną niczym niebo i bławatek w zbożu. Boguś wyglądał jak syneczek profesora, lecz tak naprawdę jego dziadek był rolnikiem z Kamiennego Przywozu nad rzeką Sazawą, a tato pracował w Pradze jako ślusarz. Szkoła Bogusia nie interesowała. Interesowało go natomiast wszystko inne. Tenis, akwarystyka, bilard, siatkówka i ping-pong.

Kiedy miał dwanaście lat, wyprosił od taty pięć koron i pojechał na Winohrady na mecz tenisa stołowego Czechosłowacja – Węgry. Wziął ze sobą długopis i kartkę na autografy słynnych sportowców. Zawody odbywały się w Domu Narodowym. Pingpongiści i pingpongistki z Węgier byli najsilniejsi na świecie, najsłynniejsi i najlepsi, ich Mednyánszky pięć razy z rzędu została mistrzynią całego świata, a po niej ten sam tytuł dwa razy wywalczyła inna Węgierka: Anna Sipos.

Właśnie Sipos grała wtedy z Marią Kettner w tym olbrzymim budynku na Winohradach. Marysia Kettner była piękna, miała włosy jak węgiel i czarne oczy, które zawsze wyglądały, jakby się śmiały, a na nich kołysała się łódź. Te oczy były naprawdę zniewalające. Marysia wyglądała jak prawdziwa wilczyca morska i była tego świadoma, bowiem gdy grała,

miewała na sweterku pod szyją białą płócienną kotwicę, a na szyi zamiast chustki nosiła małą, dziurawą sieć rybacką. Kochali się w niej wszyscy, ponieważ była piękna i miła, a to są dwie cechy, które bardzo trudno znaleźć na tym olbrzymim świecie.

Boguś Wania oglądał wtedy mecz Sipos – Kettner i oblewały go fale gorąca, jakby siedział w piecu Baby Jagi. Kettner przegrywała piłkę za piłką. Widownia ucichła i było słychać brzęczenie much. Boguś Wania miał wtedy małe serce, właściwie było to dopiero serduszko, bo większe w tym dziecięcym ciałku by się nie zmieściło.

Tykało szybciutko i cicho, jak tykają najwspanialsze starodawne zegary z wahadłem, tyle że leciutko: tik tak – tik tak. Boguś wprawdzie bał się po takim meczu podejść do Marysi Kettner po autograf, ale przemógł to swoje serduszko i ruszył. A kiedy ruszył, kiedy zrobił pierwszy krok, serce trochę się mu powiększyło: tik – tak. Przez całą salę szedł do niej niemal na palcach, wydawało mu się, że są tu sami, tylko we dwoje, i już się nie bał, czuł się, jakby miał wejść z Marysią na pokład jakiejś specjalnej łodzi i odpłynąć. Wyciągnął pogniecioną kartkę i długopisik i stanął przed Marysią. Miała spuszczoną głowę, wbijała wzrok w podłogę. Lecz nagle tę głowę podniosła, spojrzała na Bogusia, a on zobaczył, że to są naprawdę najpiękniejsze oczy, jak świat długi i szeroki. Zanurzył się w nich cały, razem z krótkimi spodenkami i błękitną koszulką, ponieważ te oczy były jak wezbrana rzeka. Maria Kettner patrzyła na niego, gorzko płacząc. Wsunął karteczkę i długopis z powrotem do kieszeni i wycofał się, żeby jej nie przeszkadzać.

Potem pobiegł na tramwaj, w kieszeni spodni zaciskał pięści i ciskał nimi tak, jak wszyscy chłopcy, którzy są wściekli i mówią, że tak sprawy nie zostawią. I wygrażał, że on tym Węgrom pokaże. Taką złożył obietnicę. I następnego dnia zaczął ją realizować.

Boguś Wania miał brata Wacława i to była jego opoka, jego idol, który zawsze go rozumiał. Boguś chodził z nim do klubów studenckich i do knajp na tenis stołowy, obserwował, jak to wygląda w wielkim świecie i cały czas próbował dorwać się do rakietki. Lecz nikt nie traktował go poważnie, wciąż miał ciałko jak mrówka. A tam, dokąd chodził, chłopcy mieli wielkie nazwy: GIGANCI, OLBRZYMY, KOZACY. Na przekór tym bombowym określeniom grali jednak bez stylu, większość meczów przegrywali, a w dodatku wypijali morze lemoniady. Boguś im tę lemoniadę nosił, a oni w nagrodę pozwalali mu pograć. A jeśli umówiony przeciwnik się nie pojawiał, grywali z nim nawet całe mecze.

W knajpie U WOLNYCH mógł grać najwięcej.

Z czasem stawał za stołem coraz częściej i przestał bać się rywali, uderzał piłeczkę, a serduszko mu się powiększało. I wiedział, że jeśli ma wziąć odwet za gorzkie łzy Marysi Kettner, musi dużo trenować, by pokonać byłego mistrza świata – Węgra Barnę. Kiedy tato przestał już naprawiać zamki, Boguś grał w stodole ze ścianą, ściana odrzucała mu piłeczki jak kolega, a on odbijał je z powrotem. Zniszczył tak setki piłek kupowanych za kieszonkowe i sprezentowanych przez brata, przyniósł GIGANTOM i OLBRZYMOM setki lemoniad, zanim odważył się wypełnić zgłoszenie do praskiego turnieju juniorskiego YMCY. Kiedy grał tam swoje mecze, które nie były ani dobre, ani zbyt ostre, ani zbyt słabe, podszedł do niego dyrektor – pan Wendelin Wesoły, przewodniczący juniorskiej sekcji Sparty. Przysadzisty, łysiejący, w kamizelce, w okularkach. Patrzył przez te swoje okulary, a postronny obserwator myślałby z pewnością, że ów jegomość i sport są od siebie tak odległe, jak Praga i Szumawa, i to na piechotę. Lecz Wendelin był zapalonym kibicem Sparty, a także odkrywcą talentów. A jednocześnie mecenasem, bowiem większość swoich pieniążków rozdawał sportowcom, a one nigdy już do

niego nie wracały. A najciekawsze u Wendelina było to, że w piłce nożnej fanatycznie kibicował Slavii. Do boju, Slavia! – krzyczał.

Kiedy ujrzał Bogusia Wanię, najwyraźniej błysnęło mu w mózgu jakieś magiczne srebrne światełko, bo powiedział:

– Przyjdź do nas do AC Sparta.

Bogusiowi te słowa wydały się równie uroczyste jak zaproszenie nad wodospad Niagara. Lecz do pingpongowej Sparty niestety schodziło się po schodach w dół, do wielkiej piwnicy na placu Wacława. Tu Boguś spędził tygodnie, miesiące, lata. Węgrzy zdobywali jeden tytuł mistrza świata za drugim: Jacobi – Mechlovits – Barna – Szabados – Barna! – Barna! – Barna! – Barna!

Boguś oczywiście wciąż żył swoim życiem na praskich przedmieściach i wciąż kombinował, taki już z niego był mądrala i spryciarz. Szukał swoich prawd. Poza tym grał w tenisa ziemnego i mówił:

– Tenis ziemny może pomóc w tenisie stołowym, ale tenis stołowy w tenisie ziemnym nie pomoże.

Sprawił sobie do akwarium dwieście pięćdziesiąt rybek, lubił przede wszystkim ryby labiryntowe, które wypływają po powietrze tak często, jak niektórzy chodzą po pilzneńskie piwo. Był jeszcze chłopcem, a już wykładał dorosłym zasady akwarystyki. Obserwował, które ryby zwyciężają, a które przegrywają, i dlaczego przegrywają.

Startował w zawodach szachowych.

Wbijał kule bilardowe.

Jeździł na rowerze.

Pewnego razu brat Wacław ciągnął Bogusia po ulicy w wózku przywiązanym do roweru, a Boguś wypadł wprost pod rozpędzony autobus. Kierowca ominął go w ostatniej chwili, autobus prawie przewrócił się na bok. Mężczyzna zahamował i wysiadł brunatny ze złości. Miał ręce jak

rzeźnik i tymi rękami przyłożył Bogusiowi raz z lewej i raz z prawej, dla równowagi. Boguś był przerażony, ale już kiedy patrzył na odjeżdżający autobus, znów rozumował po swojemu:

– Dziękuję panu za to srogie lanie, bo przecież mogłem doprowadzić do wypadku.

Nazajutrz przyszła mu do głowy inna myśl:

– Gdybym miał takie uderzenie jak ten pan z autobusu, pokonałbym Viktora Barnę.

I zaczął trenować jeszcze intensywniej. Jego wzorem był pierwszy Czechosłowak, który sięgnął później po mistrzostwo świata w grze deblowej mężczyzn, Staszek Kolarz. Kolarz był wysoki i sympatyczny, osiągnął dwie wielkie mety: ukończył studia z tytułem inżyniera i zdobył w Pradze tytuł mistrza świata. A najpiękniejsze było to, że atakował i wygrywał w tych swoich okularkach.

Dzięki Kolarzowi Boguś zrozumiał, że Czech również może zwyciężać, i to dzięki ofensywnej grze. Dwadzieścia lat przed zdominowaniem tenisa stołowego przez Japończyków, w piwnicy na placu Wacława wyrastał zawodnik, który w swoich czasach był bardziej dynamiczny niż wszyscy Japończycy razem wzięci. Często atakował forehanddrivem, kontrował natychmiast po podaniu od przeciwnika, ścinał wiele razy z rzędu, potem rzucał jedną krótką piłkę, znów ścinkę – i koniec. Fascynujące było, że w tym słabym ciele i wciąż niewielkim sercu zrodziła się jedna jedyna możliwość: ATAK. Nie był jeszcze doskonały, musiał jeszcze wyruszyć w świat, by przegrywać.

Kiedy wyjeżdżał po raz pierwszy, Wendelin Wesoły, nie szczędząc grosza, kupił mu kompletny angielski garnitur. A przecież swoim zawodnikom wpajał oszczędność, dawał im kiełbasę, ale chleb musieli

kupować sobie sami, a gdy jechali na mecze do odległych dzielnic Pragi, od przystanku tramwajowego musieli zawsze dotrzeć do sali piechotą.

Boguś był jeszcze chłopcem, gdy grał przeciwko zawodnikom o słynnych nazwiskach. Przegrywał, ale to mu pomagało, chociaż niektórzy starsi tenisiści twierdzili, że sam atak mu nie wystarczy. Wrócił do swoich treningów, do gry ze ścianą, trenował po pięć godzin dziennie.

Porażki służyły mu doskonale, jego sportowe serce rosło. Teraz miał już nie tylko wziąć odwet za gorzkie łzy Marysi Kettner, jak kiedyś obiecał, ale miał też spłacić to, co dała mu Sparta, co dał mu Wendelin Wesoły. Przecież Marysia i tak już wystarczająco zrewanżowała się sama, dwukrotnie została mistrzynią świata. A Wania wykonał w tym czasie tysiące ścięć, nadawał białej piłeczce olbrzymiej prędkości, a następnie zatrzymywał ją w powietrzu i posyłał tuż za siatkę w chwili, gdy jego przeciwnik, przestraszony i wyczerpany, często już słaniał się na nogach po drugiej stronie stołu. Boguś zdobył dwa przezwiska: Czarodziej i Przyjemniak.

Kiedyś wyszedł po schodach na plac Wacława. W górze świeciły neony, ale o nim na razie wciąż nikt nie słyszał. W dłoni trzymał swoją jedyną broń, z którą ruszał na podbój świata: rakietkę SCHLEZINGER. Ma twarde drewno i doskonale się nią atakuje. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, czy to drewno jesionu czy buka, nigdy nie zwracał uwagi na to, jakim kolorem gumy jest pokryte, ale wiedział, że jest to świetna broń. Zapewne drzewo, z którego została ona zrobiona, musiało rosnąć w jakimś magicznym ogrodzie. Boguś nigdy nie miał dużo pieniędzy, a ta rakietka była bardzo cenna, niezwykle trudno było ją zdobyć, więc dla Bogusia miała większą wartość niż nowy automobil ROLLS-ROYCE.

Wyszedł na zewnątrz i wiedział, że już ma wielkie sportowe serce. Szedł w górę, w stronę Muzeum, gdzie na kopułę był nadziany księżyc. Boguś pomyślał, że na Muzeum powinno się umieścić napis:

NIE MOŻNA ODWRÓCIĆ LOSU TYLKO TYCH MECZÓW, KTÓRE SĄ PRZEGRANE JUŻ W NASZYCH MYŚLACH.

I z tym napisem wyruszył w świat.

Na mistrzostwach świata w 1938 roku w Londynie Boguś miał osiemnaście lat. Anglia była niegdyś potęgą w tenisie stołowym, grywało się tam weń nawet przy herbacie, a angielskich zawodników było tylu, co we wszystkich pozostałych krajach razem wziętych.

Stu dwudziestu ośmiu tenisistów stanęło do walki o tytuł mistrzowski, a wśród nich był również Boguś Wania.

Jednocześnie z Wanią swoje zmagania rozpoczęli pozostali Czechosłowacy: Kolarz, Hammer, Szlarz, Hanek, Pivec i Tereba. Wania jest chudziutki, jakby trzeba było go podpierać.

Ale:

Curtin, Walia – pokonany (3:0)

Schiff, Polska – pokonany (3:0)

Nikolskis, Litwa – pokonany (3:0)

Crimes, USA – pokonany (3:0).

Na razie Londyn przychodzi na mecze nielicznie,wyczekuje na rozstrzygające spotkania. Wania odprawia Jugosłowianina Maksa Marinka, znów 3:0.

W kolejnym starciu czeka go już G.V. Barna. Viktor Barna. Najlepszy tenisista stołowy wszech czasów. Węgier. Wielkie reklamy i plakaty ogłaszają, że na Peartree Street można kupić rakietki Barny i piłeczki Barny: „Barna" Balls – „Barna" Rackets.

Piękny mężczyzna, którego zdjęcia wycinają z gazet londyńskie służące, i którego oblicze podziwiają angielskie arystokratki. Dorosły

mężczyzna, a w jego oczach lśni siła, delikatność i zwycięstwo. Mężczyzna, któremu królowa Anglii zaproponuje później obywatelstwo.

Ten półfinałowy pojedynek rozegrany zostanie w ROYAL ALBERT HALL. Stara londyńska sala koncertowa z karminowymi, zamszowymi krzesełkami, w której grali najsłynniejsi muzyczni mistrzowie i wirtuozi. Na mecz sprzedano trzy tysiące biletów; większość kibiców zamierza obejrzeć swojego ulubieńca Barnę dopiero w finale, gdzie według przewidywań zmierzy się on z Bergmannem.

Zaczyna się mecz.

Po jednej stronie z lekkim uśmiechem dżentelmena stoi G.V. Barna, zawodnik, który wybudował na zielonym drewnianym stole swoją wspaniałą twierdzę i swoje życie. Po drugiej stronie stoi z pobladłą twarzą Boguś Wania z przedmieść Pragi, ma szare spodnie, błękitną koszulkę i wygląda trochę jak sprzedawca lemoniady. Ale to tylko złudzenie. Jeszcze zanim Boguś pośle na stół pierwszą piłkę, uświadamia sobie wielką ciszę. A w jej centrum słyszy swoje serce, które jest już sercem sportowym. Serce, które przebyło długą drogę i osiągnęło największe rozmiary. Słyszy jego uderzenia i ma wrażenie, że są głośne jakby na wieży parlamentu dzwonił najsłynniejszy angielski dzwon Big Ben, ważący trzynaście i pół tony. W sali wciąż panuje cisza, a Boguś słyszy tylko swoje serce: BIM – BAM! BUCH – BUM!

– Panie Viktorze Barno, jestem gotów! I am ready!

Zaczyna się bój. Inaczej tego nazwać nie można. Wania gra w stylu, dzięki któremu rok później zdobędzie na olbrzymim turnée po Ameryce przydomek MIAŻDŻĄCY CZECH! Atakuje! Atakuje! Atakuje! Niszczy Barnę ścięciami, niszczy krótkimi piłkami, miota nim wzdłuż stołu, posyła mu piłki zachowujące się jak liście w HYDE PARKU. Wystrzeliwuje piłeczki niczym świszczące kule brytyjskiej gwardii królewskiej. Cały mecz

stanowi sportową symfonię, jakby do ROYAL ALBERT HALL przyszedł nowy młodziutki wirtuoz.

Anglicy są zachwyceni i jednocześnie przerażeni. Jest już jasne, że Barna nie awansuje do finału, ten chłoptaś z lwem na piersi go wyeliminuje. Po niecałej godzinie G.V. Barna jest załatwiony (3:0). Po meczu szlachetny Węgier posyła Wani lekki ukłon. A Wania, który nigdy nie nosi ręcznika, po raz pierwszy wyciera sobie pot z czoła. Później gubi się w Londynie – znajdują go na karuzeli, jeżdżącego na białych i czarnych drewnianych konikach. Jest jeszcze prawie dzieckiem, a już ma zostać wyniesiony na najwyższy sportowy tron. Z karuzeli jedzie na WEMBLEY, gdzie czeka na niego w finale Austriak Richard Bergmann, jedna z najważniejszych postaci tenisa stołowego. Mecz rozegrany zostanie na WEMBLEY w fantastycznych warunkach. Wszystkie bilety sprzedane! Szybko rozniosła się wieść o nieznanym chłopcu z Czech, który pokonał Barnę. Dziesięć tysięcy widzów wpatruje się w jeden oświetlony punkt – stół pingpongowy, na którym rozgrywa się finał Bergmann – Wania. Bergmann jest według prasy faworytem. Bergmann przy aplauzie publiczności wygrywa pierwszy set 22:20. Podświadomie ludzie kibicują też Wani, ale tak naprawdę pragną, by został skarcony za swoją młodość, za swoją butę, za atak, za odwagę.

Zaraz zacznie się drugi set.

Bogusiowi przypomina się, jak szedł po placu Wacława. Wyraźnie widzi Muzeum i robotników, którzy młotami i dłutami wykuwają napis:

NIE MOŻNA ODWRÓCIĆ LOSU TYLKO TYCH MECZÓW, KTÓRE SĄ PRZEGRANE JUŻ W NASZYCH MYŚLACH.

Godzinę później Austriak Richard Bergmann kłania się lekko przeciwnikowi. Wania wygrywa trzy kolejne sety w fantastycznym tempie

21:9, 21:16, 21:14.

Londyn był wniebowzięty. Umarł król! Niech żyje król!

Na WEMBLEY pnie się w górę czechosłowacka flaga i rozbrzmiewa ta znana pieśń o czeskiej ojczyźnie. A Bogusiowi Wani napływają do oczu dwie łzy, ale już nie są gorzkie, tylko słodkie, jak to w takich przypadkach bywa.

Jest to fragment prawie bajkowej historii z życia chłopca o sercu, z którym ledwo mógł dojść na praską dzielnicę Zbraslaw, i z którym doszedł na koniec świata.

Wania wrócił do domu, Wendelin Wesoły ściągnął swoje okularki i rzekł mu:

– Grałeś dobrze.

I ani słowa więcej. Pan Wendelin Wesoły był przekonany, że z chwaleniem sportowców nie należy przesadzać, żeby nie zadzierali później zbytnio nosa, bo mogliby stracić z oczu zielony stół lub zielony trawnik pod nogami. Najwyraźniej Bogusiowi to pomogło, bo później został jeszcze mistrzem świata w Paryżu i zdobył około tysiąca innych nagród i medali – można by nimi zatamować praski potok Boticz. O panu Wendelinie Wesołym całkowicie zapomniano, a kiedy umarł, ludzie rozkradli cały jego dobytek, łącznie z przepięknym zbiorem znaczków pocztowych. Musiał zostać pochowany w papierowej koszuli, ponieważ innej nie miał. Na pogrzeb przyszło łącznie dziewięć osób, w większości tenisiści stołowi, wśród nich był Boguś Wania, Hanek Pivec i Władek Miko.

Kiedy Boguś Wania kończył z tenisem stołowym, a było to akurat w Szwajcarii, wiedział, że jest zmęczony i u kresu sił. Miał wielkie sportowe serce, lecz nie mogło już ono niczego zdobywać. Znów potrzebował zwyczajnego serca, by normalnie żyć, pracować, jeździć na

wycieczki i chodzić na zakupy. Trochę się bał, że zostanie zapomniany i pochowany w papierowej koszuli jak pan Wendelin. Wrócił do domu, żyje tu skromnie i zazwyczaj jest z tego zadowolony. Kiedy miniecie go na ulicy, nawet się nie zorientujecie, że to jest ten MIAŻDŻĄCY CZECH, przed którym trząsł się na zielonych stołach cały świat. Że to jest Boguś Wania z praskiego przedmieścia, który kiedyś w ALBERT HALL pokonał G.V. Barnę, a następnie na WEMBLEY Richarda Bergmanna, definitywnie biorąc odwet za gorzkie łzy Marysi Kettner.

Opowiadanie reportażowe za pięciolitrowy słój marynowanych prawdziwków

Znów spotkałem w Pradze Piekarza. Znam go już dziesięć lat – dziesięć lat temu odwiedziłem go w Libercu, gdzie ochotniczo trenował hokeistów wojskowej Dukli Liberec. Już wtedy nie miałem wątpliwości, że Piekarz ma świra. Świra na punkcie sportu, tak jak inni mają świra na punkcie kart lub alkoholu. Już dokładnie tego wszystkiego nie pamiętam. W Libercu Piekarz trenował z żołnierzami po nocach, latami sypiał w klubie na ławce, a nikt w Europie Środkowej o tym nie wiedział. Piekarz pochodził z jakiejś wioski pod Ústí nad Labem. Najpierw pracował jako kierowca, potem jako urzędnik, a następnie jako żołnierz. Chyba lubił chemię, grał w piłkę nożną w usteckiej Armaturze. Uprawiał biegi i pływał, ale w żadnej z dyscyplin nie był na tyle dobry, by zostać Wielkim Mistrzem Sportu. Miał dużą wrażliwość – kiedy nasi sportowcy wygrywali jakieś ważne zawody, płakał przy hymnie jak bóbr, chyba nawet wysyłał za granicę telegramy gratulacyjne. Gdy zaczynał karierę w wojsku, mieli ze swoją żoną tylko walizkę i czajnik. Wołali na niego Hereira albo Zaklinacz, bo umiał łapać żmije. Łapał je gołą dłonią za głowę, dwoma palcami, i wkładał do pięciolitrowych słojów po ogórkach. Nałapał ich setki. Nic więcej na ten

temat nie wiedziałem. Piekarz, Hereira, Zaklinacz. Napisałem kiedyś o tym reportaż, ale kogóż to interesuje? Ludzi bardziej ciekawi, jaki numer korków nosi Pelé i jak wygląda dekolt B.B. Wtedy to był raczej taki reportaż na życzenie, tylko dla nich i dla mnie, tak jak w radiu grywa się piosenki na życzenie. A teraz, po dziesięciu latach, znów spotkałem Jarka Piekarza.

Zmężniał, czarne włosy zamiast mu wypaść – zgęstniały, a w oczach wciąż miał iskry jak Lucyfer.

Podbiegł do mnie:

– Jak się pan ma? Co pan porabia?

A ja odpowiedziałem w tym stylu, w jakim obligatoryjnie odpowiada większość ludzi na świecie: że nic ciekawego. A on na to:

– W takim razie musimy to zmienić. Niech pan przyjedzie do nas na reportaż.

Odparłem, że teraz absolutnie mi to nie pasuje, ponieważ woda zacieka mi do mieszkania, muszę iść do pana doktora Mertlika, żeby wyleczył mi zęby, piszę scenariusz, jadę na Rybownię zastąpić na dwa miesiące przewoźnika Zykę i będę tam również zbierać materiały do książki, a ponadto muszę co rano chodzić z psem na spacer, bo żona i dzieci szykują się w tym czasie do szkoły i do pracy.

Piekarz posmutniał, potem zamyślił się i dodał:

– Wie pan co? Jeśli przyjedzie pan do nas na reportaż, dam panu pięciolitrowy słój marynowanych prawdziwków.

W tej chwili poczułem pierwsze zawahanie, bo do prawdziwków mam słabość. Właściwie ich nie cierpię, ponieważ jestem wędkarzem, a kiedy przyniosę do domu suma wielkiego jak byk albo szczupaka wielkiego jak krowa (co przez jakiś dziwny zbieg okoliczności dotychczas mi się nie zdarzyło), w domu nikt tego nawet nie zauważy. Moje ryby uznawane są

zawsze za *najmniejsze ślizy*, jak kiedyś nazwał je pięknie poczmistrz ze wsi Skryja – pan Józef Dębski. Natomiast moja żona, a tym bardziej moja teściowa, są zapalonymi grzybiarkami. Kiedy przynoszą w torbie do kilka uschniętych kurek, niewiele brakuje, by zrobiły z nich wystawę grzybiarską. Zawahałem się więc i zacząłem tę propozycję poważnie rozważać, bo gdybym przyniósł jakieś porządne grzyby, moja rodzina w końcu by mnie doceniła. Była to po prostu doskonała okazja – tak jak w piłce nożnej, gdy piłkarz staje sam na sam z bramkarzem, obrońcy zostali gdzieś daleko, a on może strzelić gola i rozstrzygnąć losy meczu. Nie mogłem zmarnować takiej szansy, więc zapytałem Piekarza:

– Mówi pan poważnie?

– Jak najpoważniej.

Wypaliłem:

– To proszę mi to dać na piśmie.

Piekarz skombinował kawałek papieru i pięknie wykaligrafował, jakby był pisarzem z jakiegoś wytwornego zamku:

Zobowiązuję się podarować O. Pavlowi pięciolitrowy słój prawdziwków w zalewie słodko-kwaśnej, jeśli napisze reportaż o Dukli Zbiroh.

Jarosław Piekarz

Podaliśmy sobie ręce i klamka zapadła. Potem poszedłem do domu i miałem naprawdę dobry humor. I powtarzałem sobie: No nieźle! Pisałem już reportaż, żeby w zamian pan pilot Kumposzt zabrał mnie na akrobacje szybowcowe, wydałem zbiór reportaży za to, że Dukla zabrała mnie do Ameryki. Tak naprawdę wszystkie reportaże pisałem albo dlatego, że dostawałem za nie pieniądze, albo dlatego, że miałem na to ochotę. Ale jeszcze nigdy nie pisałem reportażu za marynowane prawdziwki. Miałem wręcz doskonały nastrój i mruczałem sobie pod nosem:

Piekarz piecze bułki,
I wziął mnie do spółki.
Piekarka nam pomaga…

Kartkę z obietnicą włożyłem do szuflady, żeby nie wpadła w ręce teściowej, ponieważ miałem pewien plan. I pojechałem zastąpić przewoźnika. Przeprawa przez naszą rzekę jest piękna, ponieważ nie przychodzi tam zbyt dużo ludzi, a ponadto mieliśmy z panem Zyką magiczną lunetę. Gdy ktoś się zbliżał, zapalało się w niej światło jak na skrzyżowaniu: zielone lub czerwone. Kiedy pojawiało się czerwone, oznaczało to, że nadchodzi zły człowiek. Szybko biegliśmy wtedy po strzelbę myśliwską i strzelaliśmy do niego śrutem na zające, a ten zły człowiek zmykał w stronę zamku Krzywoklat i już nigdy nie przedostawał się na ten nasz drugi, piękniejszy brzeg, gdzie mieliśmy boskie owce, dopiero co urodzone jeże, łase króliki i mądrego kota Morka. Ale o Piekarzu nie zapomniałem. Napisałem, że z pewnością przyjadę na ich ostatni mecz z Rokycanami, i żeby szykował te prawdziwki. Odpisał mi, znów tym wykaligrafowanym pismem, że obietnicę spełni na sto procent. Lecz było tam takie dziwne zdanie: twierdził, że w mój przyjazd nie wierzy. Te słowa wydały mi się podejrzane, jakby skrywała się w nich jakaś obawa, a może nawet skryte życzenie, żebym nie przyjeżdżał. Ale na końcu listu napisał, że wszyscy bardzo na mnie czekają.

Kiedy więc nadciągnęła wielka woda, a rzekę mógł wkrótce skuć lód, wyciągnęliśmy jedyną malutką łódkę przewoźnika na brzeg, a ja zacząłem szykować się na podróż pociągiem do Zbiroha.

Gdy odwiedziła nas moja teściowa Franciszka Nowak, która ma męża Alojzego, niezmiennie zaopatrującego naszą rodzinę w niespotykanie delikatne zupy i domową galaretę, oświadczyłem jej krótko:

– Jadę na grzyby i od razu zamarynuję je u znajomych, żebyście nie musiały się z tym męczyć. Już późno, ale jeszcze rosną. Zajrzyj do nas w poniedziałek.

Zdębiała, o nic nie pytała, było to trochę tak, jakby powiedzieć wędkarzowi, że w poniedziałek o dziesiątej rano pokaże się mu olbrzymiego szczupaka, i to już w panierce.

Pojechałem więc w kierunku na Beroun pociągiem, którym jeżdżę od kilkudziesięciu lat, i który wciąż jest tak samo brudny jak ćwierć wieku temu. W toaletach ciągle nie ma wody ani papieru, a przez okna prawie nic nie widać. Ale człowiek już do tego przywykł i zmiany bardzo by go zaskoczyły. Wyglądałem przez brudne szyby na rzekę, kontemplowałem i nuciłem sobie:

Grzyby, grzyby, grzyby,
Jak ja lubię je…

Paliłem jednego papierosa za drugim. Nie jestem palaczem, palę tylko, kiedy mam dobry humor albo odpoczywam. Mogę nie palić przez miesiąc, a potem wypalam na raz sto papierosów, zostaje po nich tylko dym. I w tym swoim dymoprzedziale wyobrażałem sobie, jak żołnierze z zamku w Zbirohu przyjadą po mnie pozłacaną karocą z zaprzęgiem białych koni, które zostały tam po baronie Colloredzie Mansfieldzie.

Przyjechali gazikiem. Bez Piekarza. Mężczyzna, który zajmuje się kulturą fizyczną, Piotrek Niemiec, powiedział, że Piekarza długo tu nie było, ale już jest w domu, ma problemy z pęcherzykiem żółciowym. Pojechaliśmy więc go odwiedzić. Rzeczywiście był w domu, ale kiedy mnie zobaczył, w jego oczach pojawił się dziwny smutek. Jakby męczył go pęcherzyk żółciowy lub jakby miał w oczach strach. Siedzieliśmy, piliśmy kawę, rozmawialiśmy o wszystkim, tylko o tym najważniejszym nie

wspomnieliśmy ani słowem. Jedynie wychodząc, przypomniałem mu w drzwiach, żeby na sobotę przygotował te prawdziwki, bo przyjedzie fotograf – pan Tachezy, i chciałby zrobić im zdjęcie. A na myśli miałem: do zdjęcia – no i ogólnie. Powiedział, że dobrze, ale brzmiało to nieprzekonująco, i niespodziewanie zapytał, czy nie chciałbym wziąć do domu kilku karpi. Zdecydowanie odmówiłem, mówiąc, że jestem wędkarzem i karpi mam zawsze pełną wannę.

Nocowałem w drewnianej chatce w głębi lasu, panowały tam spokój i cisza. Lecz zacząłem się niepokoić o los tych prawdziwków, więc rano, jeszcze przed świtem, wybrałem się do lasu. Było zimno, ale pięknie.

Prószył pierwszy śnieg, a pierwszy śnieg jest jak początek miłości, bo później powszednieje. Lecz żadne grzyby już nie rosły. Znalazłem jedną opieńkę i dwie gąsówki, które do zamarynowania się nie nadawały. Ale kiedy ten śnieg tak padał, wydało mi się, że między zielonymi świerkami migają mi żołnierze szukający dla mnie prawdziwków.

Rano zawieźli mnie do zamku. Przy wejściu stała straż, przepiękna straż – żeliwny uzbrojony żołnierz z dziurą w części siadalnej, do której prowadzi rura od pieca. Ten żołnierz to tak naprawdę jest piec, w którym palono, żeby arystokraci nie zmarzli w korytarzu przy wysiadaniu z karety. Obecnie w zamku trwa remont. Wspaniale odrestaurowano salę, w której swoją słynną *Epopeję Słowiańską* malował Alfons Mucha. Oficer Służby Bezpieczeństwa – pilzneński szeryf Jan Trepka wraz ze swoją brygadą nurków odkopuje na wpół zasypaną studnię. Na razie dotarli do dziewięćdziesiątego metra, zostały im jeszcze siedemdziesiąt cztery. Podobno faszyści powrzucali tam jakieś obciążające ich dowody, sądząc, że Czesi nie będą w stanie ich stamtąd wydobyć, więc teraz Czesi próbują temu twierdzeniu zaprzeczyć. W skałę, na której stoi wieża starsza niż okres husycki, wprowadza się specjalne iniekcje.

A sport?

Myślę, że na bramie tego zamku powinno zostać wyryte:

BEZ SPORTU NIE DA SIĘ ŻYĆ.

Ponieważ sport uprawiają tu wszyscy. Oficerowie dwa razy w tygodniu grają w piłkę nożną na śmierć i życie, trenują biegi, strzelają, rywalizują, chodzą pieszo do pracy. Ja wiem, że to nikogo nie interesuje, że to jest takie powszednie, ale pisanie o tym nie jest chyba zbyteczne. Ci ludzie wydają mi się zwinni i silni. A kiedy człowiek sprawdza, dlaczego tak jest, okazuje się, że sport uprawia komendant. Kibicuje tutejszej Dukli, właściwie jest jej doradcą, i stąd bierze się ta pasja. Mawia się, że ryba psuje się od głowy, ale w tym przypadku można by powiedzieć, że ryba od głowy pachnie. Mogę ich chwalić, ponieważ mnie nie podpłacili, i zaczynałem rozumieć, że tych prawdziwków również nie dostanę. Pojąłem to od razu, kiedy wspomnieli, że przede mną przyjechali tu na meczyk starsi panowie z praskiej Dukli. I co ważniejsze: przy odjeździe dostali naręcza prawdziwków. Część nazbierali sobie sami, a część zebrała dla nich cała Dukla Zbiroh i przygotowała sześć sznurów prawdziwków i koźlarzy z miłości – jak piernikowe serca z odpustu, i jeszcze przyozdobiła je gałązkami. Potraficie sobie wyobrazić, ile takich sznurów uniesie miotacz kulą Jurek Skobla? Przyjechał z nim też piosenkarz Milan Chladil, który dał Piekarzowi piękny nóż za grzyby i na grzyby. Wszyscy byli bardzo zadowoleni.

Kiedy więc odkryłem prawdziwy stan rzeczy, ani razu już o prawdziwkach nie wspomniałem, ale było mi ich trochę żal. Piekarz zabrał mnie na karpie, twierdząc, że codziennie złapiemy dwa, więc zawiozę do domu cztery. A gdyby z tymi karpiami też nie wyszło, mogą mi podobno załatwić jakąś kobietę. Za dwa litry prawdziwków jedną kobietę. Czyli za pięć litrów dwie i pół kobiety. Towarzystwem dam nie byłem

jednak zainteresowany, moje ciało jeszcze nie doszło do siebie po zastępowaniu przewoźnika, postanowiliśmy więc złowić cztery dwukilowe karpie. Zimno było strasznie. Przez dwa dni nie złapaliśmy nic.

Ale Piekarz pięknie opowiedział mi o tym, jak grają w piłkę nożną i jak wspaniałe przeżycie mnie czeka. Mieli i mają wyśmienitych piłkarzy: Józka Takacza, Kodla Zikmunda, Janka Fraibisza, Sylwestra Maczka, Kusego i morze innych. Podobno grają dobrze, a w nagrodę pojechali na kilka dni nad zalew we Vranovie, gdzie trenowali, uprawiali „pływanie synchroniczne" i chodzili na piwo do baru Pod Kiełbaską. Gdy odjeżdżali, cały zalew płakał. Zapytałem go, czy mają jako drużyna swój hymn, a on wlazł na pieniek i zaczął od refrenu:

Ta szczupła nóżka, to ciało bożka,
Z nylonu prześwitująca pończoszka,
Krągłości boków, ta iskra w oku,
I jakiś nieuchwytny cud,
Przerastający znaczenie słów…

I sam Piekarz też ma iskrę w oku, i śpiewał z takim uczuciem, że spędziliśmy tam naprawdę miłe chwile, chociaż karpie nie brały. Jest to piosenka o tym, jak człowiek w pustej ulicy spotyka młodziutką dziewczynę, piękną jak obrazek namalowany przez pana Sztursę. Potem pojawia się pocałunek i inne sprawy. Piekarz bardzo się zapalił i wyglądał naprawdę wspaniale, kiedy tak śpiewał z chorym pęcherzykiem żółciowym nad cichym stawem, w którym moczyły się nasze martwe wędki. Były tak samo martwe jak las, w którym nie znalazłem żadnego prawdziwka. Kiedy potem przemarznięci wracaliśmy do domu, czułem się, jakbym miał zapalenie płuc. Piekarz zaproponował, żebyśmy podjechali na stawy hodowlane pana Fiali, który na pewno chętnie sprzeda mi karpie. Chciałem

ze złością zapytać, czy nie sprzedają tu gdzieś też prawdziwków marynowanych w zalewie słodko-kwaśnej. Ale milczałem, skinąłem głową. Kupiłem sobie do domu dwa duże karpie, jakich przez trzydzieści lat wędkowania nigdy nie udało mi się złapać. Wychodziłem z założenia, że dzięki karpiom w domu zapomną o grzybach. Nie wiedziałem tylko, jak opowiedzieć synowi o złowieniu takich okazów.

MECZ PIŁKARSKI

Jak przebiega taki mecz piłkarski?

Taki mecz w miasteczku, w którym stacjonują żołnierze, przebiega dość ciekawie. Najpierw pani Piekarz pierze stroje (piłkarze sami piorą sobie getry), Piekarz załatwia wapno do zrobienia linii, Piotrek Niemiec stempluje bilety, żołnierze ruszają pieszo na boisko, Piekarz prasuje stroje.

O 14:30 ma się rozpocząć spotkanie.

Nie rozpoczęło się. Sędzia nie przyszedł. Oba zespoły trenują przy swoich bramkach.

O 14:30 Kusy strzelił jak z armaty, ale nie trafił.

Piłka przerwała siatkę za bramką i wybiła oba okna w mieszkaniu opiekuna boiska – pana Wiewiórki. O 14:42 pani Wiewiórka krzyczy z okna na żołnierzy, że córka Ewa nie będzie miała gdzie spać. Żołnierze proponują, żeby przyszła spać do koszar. Ktoś idzie poszukać pana Baszika, który hoduje niebieskie króliki morawskie. Podobno jeśli da się mu na piwo, zaszkli okno na poczekaniu. Oczywiste jest, że Piekarz zapłaci za to z własnej kieszeni (albo komendant – więcej zarabia). Z biletów zazwyczaj uzbiera się mało, około osiemdziesięciu koron. Po zakończeniu sezonu organizuje się za te pieniądze kolację w barze NA WYSTRZAŁCE.

O 14:45 udało się przekonać Józefa Hikesza, miejscowego piłkarza, żeby zastąpił sędziego.

O 15:00 rozpoczyna się mecz. Piekarz chodzi wzdłuż linii bocznej z niezapalonym papierosem, ciągle wykrzykując rady. Oficer Maleczek opatruje kelenem stłuczone kolano. Rokycany mają swoją pielęgniarkę – Różę Swobodę, która kopie sobie piłkę za bramką, żeby się rozgrzać. Jeździ z Rokycanami od sześciu lat. Ma siedemdziesiąt pięć lat.

O 15:45 kończy się pierwsza połowa: 0 – 0. Rokycany dały mi trochę ciepłej herbaty. Z protekcji. Żołnierze nie dostali nic. Są jeszcze młodzi. Większość ich ciała pokrywa błoto, a kolana mają poobijane jak zawodnicy futbolu amerykańskiego w Nowym Jorku, którzy zarabiają miliony.

Po przerwie:

Wyrzucony został, i słusznie, szef kultury fizycznej, ulubieniec tłumu, Piotrek Niemiec, ponieważ powiedział panu Hykeszowi, że takie sędziowanie to widział tylko w telewizji.

Zikmund głową: 1 – 0 dla Dukli.

12. minuta drugiej połowy: Ewa – córka pana Wiewiórki – zawozi stłuczone okna do szklarza – pana Basztika, który hoduje niebieskie króliki. Jeżyk 2 – 0. Znowu głową. Kusy 3 – 0. Z przesadnie aptekarskiego karnego. Zikmund 4 – 0. Pod poprzeczkę. Koniec. Drużyny schodzą z boiska. Pokazały ładny futbol. Piłkarze zostawili na murawie litry potu. Idą zwycięzcy ze Zbiroha. Po nich schodzą zawodnicy z Rokycan, a pan Wiewiórka kładzie na starutki gramofon *Wspomnienie ze Zbiroha* śpiewane przez Vaczkarza. Cztery bramki to też wspaniałe wspomnienie ze Zbiroha.

Pieśń jest piękna. Płynie w niej tutejszy potok, falują pola leżące w pół drogi między Brdami i Krzywoklatem, lśni staw, w którym nic nie złowiliśmy, i szumią urocze lasy, w których nie znalazłem prawdziwków. Jest w niej też ten futbol, a ja pytam sam siebie: po co oni to robią? Bo bez tego nie potrafią żyć. Nie potrafią bez tego żyć, bo to nie jest ich koniczek, tylko koń. Męski, zastępujący mężczyznom bitwy, łowy na mamuty

i wieloryby, zdobywanie bieguna północnego i południowego, dawno już zdobytych. Chciałem znaleźć tu coś negatywnego, czym mógłbym się na nich zemścić za te prawdziwki, ale nic takiego nie znalazłem. Tylko to, że czasami cierpią żony, bo mężów nie ma w domu, są gdzieś indziej. Że właściwie pani Piekarz i żona komendanta też powinny mieć swoje konie, choćby białe lub jabłkowite, żeby mogły dojechać na nich do miejsc, w których nie trzeba wciąż prać bielizny, prasować i chodzić na zakupy, a człowiek czuje się dobrze – lub tam, gdzie zawsze się śpiewa i tańczy.

I żebym nie zapomniał – potem Jarek Piekarz ogromnie mnie zaskoczył. Powiedział, żebyśmy pojechali jeszcze zrobić tym prawdziwkom kilka zdjęć. No więc pojechaliśmy. Miał je już naszykowane, ustawione w słoiczkach na półce. Od razu zobaczyłem, że to nie są prawdziwe borowiki, na widok których w lesie serce podskakuje boleśnie i chce się przynajmniej na chwilę do nich wyrwać. Gdy dobrze się przyjrzałem, widziałem, że prawdziwki były w tym słoiczku na dole po prawej, w rogu, a nad nimi stała buteleczka z prawdziwkami i koźlarzami. Taka mieszanka. Ale milczałem. To jest tylko dla formy, żeby wszystko było, jak należy. Piekarz prawie dotrzymał słowa, po męsku. Potem przyznał, że pożyczył grzyby od oficerów w czasie, kiedy załatwiał też wapno na boisko i prasował stroje. Komendant również poratował go jednym słoikiem. Dlatego oddałem Piekarzowi te pożyczone grzyby. I wziąłem te podarowane. I obaj się śmialiśmy, aż zrywaliśmy boki. Lecz nagle zachciało mi się płakać, bo uświadomiłem sobie, że tacy ludzie jak Piekarz muszą wabić dziennikarzy i pisarzy na prawdziwki w zalewie słodko-kwaśnej, podczas gdy pod garderobami piosenkarzy i szatniami gwiazd sportu stoją zastępy reporterów. I czekają, i czekają, by wciąż i wciąż od nowa opisywać, jakie korkotrampki ma Pelé i jaki dekolt ma B.B. Kogo interesuje, jak gra Dukla Zbiroh? Nikogo. Lecz jedno jest pewne, drogie

damy i panowie – bez takich Piekarzy sport umarłby tak samo, jak ryba snęłaby bez wody. Mam na myśli ten mały sport, prawdziwy. Do domu wracałem w dobrym nastroju. I nagle uświadomiłem sobie, że nucę piosenkę. Leciała jakoś tak:

Ta szczupła nóżka, to ciało bożka,
Z nylonu prześwitująca pończoszka,
Krągłości boków, ta iskra w oku,
I jakiś nieuchwytny cud,
Przerastający znaczenie słów…

Bracia

Nad hangarami praskiego lotniska pojawiło się przemarznięte słońce. Jeden z wielkich samolotów czeka na sportowców olimpijskich. Hokeiści jeszcze rozmawiają w lotniskowych salonach ze swoimi bliskimi, są trochę zdezorientowani, jedną nogą już w samolocie, a drugą jeszcze w domu. Niektórzy piją przy barze ostatnie dozwolone piwo, inni powtarzają zdania wypowiedziane wcześniej już wielokrotnie:

– Dbaj o dzieci.

– Gdyby znów zaczęło ciec z sufitu, zadzwoń do Karola, załatwi hydraulika.

– Uważaj, żebyś się nie przeziębił.

Wtem rozbrzmiewa wśród nich zdanie, które dla jednego z nich może być decydujące. Ten wielki rudzielec to Franek Tikal, syn praskiego Starego Miasta, idol robotników, chłopców z Letnej i z Wysoczan, urzędników i pań domu. Rozsyła wokół siebie uśmiechy i częstuje kuksańcami kilku równie rudych jak on chłopców. Natomiast ten drugi, który wypowiedział to zdanie półgłosem, to zawsze doskonale poinformowany dziennikarz Franciszek Steiner:

– Australię będzie reprezentować Tikal. Pisze tak zuryski SPORT.

Nic więcej Franek nie usłyszał, lecz mimo to po tych dwóch zdaniach oblewa go fala gorąca, blizna po odbitym krążku zaczyna palić, a powieka

drży mocniej niż zwykle. Myśli z obrzydzeniem, że to właśnie z tego powodu przez pięć lat nigdzie go nie puścili. Puścili go dopiero po tym, jak poślubił córkę Fabera. Jej tata, kierowca trolejbusu, nie zwątpił ani razu, obszedł wszystkich od ministerstwa spraw wewnętrznych aż po prezydenta. Dopiero potem Franek dostał zgodę na wyjazd. Najpierw do Moskwy, a potem do Niemiec Zachodnich. Już wszystko było jak należy, a teraz, parę minut przed odlotem do Ameryki, taka wiadomość! Ze wszystkich twarzy w salonie widzi już tylko jedną, zbliża się do niego od drzwi punktu odprawy celnej. Franek wie, że ten człowiek jest z milicji, prosi go na bok. No to jedziesz w buraki! Słyszy:

– Już chyba wiesz, kto jeszcze wystąpi w Ameryce. Co ty na to?

Nie wie, co odpowiedzieć, mruga tylko smutno oczami.

Ten z milicji podchodzi do baru:

– Dwa piwa.

Barman stawia przed nimi dwa wąskie kufle. Franek przygotowuje się na długi wstęp, który ma mu wszystko wyjaśnić i uzasadnić. Tak jak kiedyś. A potem usłyszy, żeby zrozumiał, że nie mogą go puścić. A Franek skinie głową i pojedzie taksówką do domu. Ale milicjant podsuwa mu kufel i stuka swoim w ten jego:

– Szczęśliwej podróży!

I nic więcej. Franek pije, a na lica powraca czerwień. Ludzie znów robią się wyraźni, tam stoi Janek i Franio, a obok nich uśmiecha się jego żona – Dasza. Teraz głos zabiera głośnik:

– Pasażerów lotu olimpijskiego do Squaw Valley prosimy o przygotowanie się do wejścia na pokład.

Franek żegna się i rusza do samolotu. Nie czuje wiatru, nie zwraca uwagi na nic, idzie po zmarzniętym betonie jak po jedwabiu. Siada przy oknie i obserwuje padający śnieg. Czyli jednak się udało.

Samolot ma przed sobą długą trasę:

Paryż – Nowy Jork – San Francisco.

Świat jest mały, kiedy drogi zbliżają się do siebie na skrzyżowaniu ludzkich losów.

Franek brnął przez zaśnieżoną ulicę w Squaw Valley prowadzącą od domków olimpijskich do stadionu hokejowego. Miał podniesiony kołnierz, szal obwiązany pod brodą, w duszy zamęt. Pewnie dlatego wziął ze sobą kolegę z drużyny, obrońcę Karola Guta, powiedział mu:

– Karol, chodź.

Karol ubrał się w pośpiechu, wiedział, że kolega go potrzebuje. Poszedłby z Frankiem wszędzie, tak samo jak z nim wszędzie poszedłby Franek. Od lat trzymali się razem, asekurowali się, rzucali na pomoc, nie padło między nimi ani jedno złe słowo, nie wymienili ani jednego złego spojrzenia. Teraz szli na spotkanie z bratem Franka.

Szli i milczeli. Franek przygotowywał się w myślach na to spotkanie, choć był na nie przygotowany od wielu lat, kiedy jeszcze jako podrostek siadywał z zapłakaną mamą na ulicy Josefowskiej, patrzył na nią bezradnie i nie wiedział, co jej powiedzieć i jak ją pocieszyć. Potem miał już swoich synów, a oni pytali:

– Babciu, kiedy wróci dziadek i wujek?

– Dajcie już z tym wreszcie spokój. Są w Australii. Jak wszystko odpracują, to wrócą.

Mama cierpiała, ci dwaj prawie wyrwali jej serce z piersi. Franek zawsze kochał brata Zdeńka, ale od jego ucieczki mawiał o nim czasami, choć nigdy przy mamie: ten nasz głupek. Do głowy by mu nie przyszło, że kiedyś będzie mógł powiedzieć mu wszystko. A teraz zbierał w sobie odwagę, żeby to uczynić.

*

Zatrzymali się z Karolem Gutem przy bandzie z pleksiglasu. Przez otwarty dach stadionu świeciło im w plecy słońce i rzucało na lód cienie kół olimpijskich wiszących pod sklepieniem. I dokładnie w tych cieniach kanadyjski trener zwołał Australijczyków i coś im tłumaczył. Każdy z nich miał inną posturę, inną twarz, najwyraźniej pochodzili z różnych zakątków świata. Potem trener zdecydowanie machnął ręką, krzyknął coś, a Australijczycy rozjechali się po lodowisku.

Oprócz nich w hali nie było nikogo.

Z narożnika lodowiska jechał jeden z Australijczyków. Miał na sobie cudowny wełniany żółty strój, wyglądał na niższego, niż wyobrażał sobie Franek, ale bez wątpienia był to Zdeniek. Franek poznał go po charakterystycznym miękkim spojrzeniu, a gdy podjeżdżał do bandy i przenosił ciężar ciała z łyżwy na łyżwę, jego oczy robiły się jeszcze miększe i topiły się jak wysepki w morzu. Potem wzrok Franka padł na ten żółto-biały strój, na którym pośród oceanu widniał obrys całego australijskiego kontynentu, a w jego środku siedział kangur. Ten kangur wywołał u Franka wspomnienie, jak leżeli jeszcze jako chłopcy w łóżku i szeptali, że kiedyś mogliby grać w reprezentacji, i że mieliby wtedy na piersi takiego samego lwa, jakiego wprowadził do swojego godła książę Bruncwik. Podniósł wzrok i zobaczył, że całe morze przelewa się do oczu Zdeńka, być może Zdeniek myślał teraz o tym samym na widok lwa na bluzie Franka. Karel Gut stanął z boku. Bracia zostali sami, objęli się, a Zdeniek westchnął:

– Witaj, bracie!

Franek powiedział coś podobnego; kanadyjski trener już krzyczał do Zdeńka, żeby wrócił do zajęć.

Franek czekał, aż brat skończy trening, żeby pójść z nim do kawiarni SQUAM LODGE. Stał i z nostalgią obserwował Australijczyków, nie potrafili zbyt wiele.

Karel Gut sam wrócił do wioski olimpijskiej.

Potem bracia siedzieli w SQUAM LODGE. Franek milczał, nagle wiedział, że z tego, co chciał powiedzieć, nie powie raczej nic, przynajmniej nie teraz.

Rozgadał się więc na wszystkie możliwe tematy. Opowiadał przede wszystkim o mamie. Zdeńku, przecież ty byłeś dla mamy wszystkim, ja klęczałem na grochu, a ty wstawiałeś się u niej za mną. Zawsze kochała cię bardziej, przynosiłeś jej wiosną kwiatki, chabry, a ona mówiła: ty jesteś moim kwiatuszkiem. Dziękuje ci za kostium (pomyślał: nie powiem mu, że trzyma go w szafie, bo jest na nią za mały); często boli ją serce, ale włosy wciąż ma piękne, kasztanowe (to też nie była prawda, ma siwe i farbuje je); wciąż jest wesoła (czasem płacze i chodzi do św. Tadeusza modlić się za ciebie i tatę); i sprawiła sobie szczeniaka collie, wabi się Ajax. Poza tym dalej pracuje w obwoźnej sprzedaży materiałów, świetnie się jej powodzi (w zimie zawsze ma lodowate ręce).

Plac Wacława też stoi, jak stał. Wciąż jest ładny, wiesz, Zdeńku, zjeździłem z hokeistami kawał świata, szlajałem się po Piccadilly i Oxford Street, po Broadwayu, ale kiedy przyjeżdżam do domu, idę z Daszą na spacer i mówię jej: Wszędzie ładnie, ale plac Wacława to plac Wacława!

Nagle Franek milknie, czuje, że Zdeniek zaraz mu się rozpłacze – chyba dopiero teraz zauważa posiwiałe skronie i widzi, że jest smutniejszy, niż bywał kiedyś. Franek pyta więc:

– A co u ciebie? Pewnie świetnie ci się powodzi, co?

Teraz jest super (na początku nie było, próbowałem grać w Monachium, też w hokeja, ale nie wiodło mi się); pierwszy okres mieliśmy bardzo ciężki

(obóz dla imigrantów opuściłem w damskim swetrze, z butów wystawały mi palce), w Australii przez rok razem z innymi cudzoziemcami kopaliśmy rowy, potem ojciec wziął się za rzemiosło, ojciec jest świetnym rzemieślnikiem, sam wiesz, ślusarz, studniarz, betoniarz, ja zacząłem pracować jako drogowiec i powodziło się nam dobrze. Ożeniłem się, a potem rozwiodłem (ta dziewczyna, co też uciekła z Czech, szukała w Australii innego szczęścia i wpędziła mnie w tarapaty), teraz wyszedłem za Austriaczkę, mamy już swój domek (wprawdzie na kredyt), jakoś leci.

Ojciec to tęgi chwat (nie jest już takim chwatem jak wtedy, gdy uciekał ze mną wokół Czarnego Jeziora i jak goniła nas straż graniczna), tęskni przede wszystkim za Pragą, Czechami Południowymi i za stawami (gdybyś wiedział, Franciszku, jak on tęskni, niedługo z tego żalu umrze, a ja pochowam go na cmentarzyku w Melbourne); tata to dobry człowiek (to nieprawda, ale nie chcę ci odbierać złudzeń, bracie, zawsze widziałeś w nim kogoś wyjątkowego).

Sprzedaję duńską czekoladę DANA CONFECTIONERY, zapuściłem w Australii korzenie na zawsze (ale często myślę o naszym domu, szczególnie w Boże Narodzenie, widzę mamę, jak chowa sosnowe szyszki za obrazem); po prostu ja jestem Australijczykiem, a Ty Czechem (to nie jest tak do końca prawda, zamówiłem sobie z tej australijskiej wełny czerwono-niebiesko-biały sweter, żeby przynajmniej raz na jakiś czas być jednym z was).

Do tych słów, że Zdeniek jest Australijczykiem, a on Czechem, Franek jeszcze długo wracał myślami. Kiedy on jadł kawał pieczeni i pił sok, Zdeniek pił słodkie mleko, a mięso jadł z marmoladą.

– Jak możesz to jeść?

– Jak ty możesz to jeść?

Bardzo się od siebie różnili, świat ich rozdzielił. I przede wszystkim o tym myślał Franek, kiedy zbliżał się pierwszy mecz Czechosłowacji. Oby trener Farda nie wystawił go do gry.

*

Lecz trener Farda desygnował Franka do gry, ponieważ właśnie w tym pierwszym spotkaniu z Australią chciał przygotować swój zespół na cięższe bitwy. Nie potrafił sobie wyobrazić meczu bez Tikala, drużyna uwielbiała swojego „rudzielca", Franek grał zespołowo i na lodzie nie tylko bronił, ale umiał też rozgrywać i wyprowadzać szybkie ataki. W Kanadzie, a szczególnie w Trail, również bardzo go cenili; on i Bubnik byli ponadprzeciętnymi zawodnikami. Krótko mówiąc – Tikal musi grać. A w drużynie Australii występuje jakiś *Tajkyl* – tak praski komentator sportowy przedstawił swoją doskonałą angielszczyzną Zdeńka.

Na lodzie Franek zawsze zmieniał się nie do poznania, a mecz w Squaw Valley z Australią nie należał do wyjątków. Franek był obrońcą nie tylko dzięki posturze kanciastego olbrzyma – był nim całym sercem. Umiał trafić bodycheckiem najszybszego gracza, posłać na lód Bobrova, później Starszinowa, Warwicka i Tumbę Johanssona. Nie bał się agresywnych napastników i sam też nie cofał się przed zadaniem uczciwego ciosu. Podczas jednego ze zwycięskich meczów przeciwko Szwedom lekarz musiał opatrywać Franka trzy razy, a w ostatniej tercji, kiedy zwycięstwo wisiało na włosku, krążek posłany przez Tombę Franek wybił z linii bramkowej – głową. Z czasem na czole pojawiły mu się zmarszczki, przecinała je jedna poprzeczna kreska, były efektem stoczonych bitew i godzin, kiedy przed trudnymi meczami cierpiał na bezsenność i musiał brać tabletki, żeby jego głowa i ciało mogły odpocząć. Dopiero na lodzie, kiedy stał w rozkroku na łyżwach, kołysał się delikatnie, czekał na ataki

przeciwnika i kiedy czuł, jak wilgotnieje mu ribano, a po plecach i po nosie ścieka pot – dopiero wtedy czuł się dobrze.

Z Australijczykami też już się z niego lało. Starał się grać jak najlepiej – tego oczekiwał od niego trener Farda, bo przecież mecz otwarcia miał zapewnić im spokój i zgranie. Dodatkową motywacją były obawy, by ktoś nie zarzucił mu, że w starciu z drużyną brata nie zagrał na sto procent. Zawsze źle się im grało przeciwko najsłabszym rywalom, człowiek nigdy nie mógł przewidzieć, jak taki nie-hokeista się zachowa.

Jeszcze nie spotkał się z bratem na lodzie, czasem tylko stuknęły o siebie ich kije, ale nie w bezpośredniej walce.

Doszło do tego dopiero w drugiej kwarcie.

Australijczycy jakoś wykaraskali się z trudnej sytuacji pod własną bramką i z krążkiem zaczął uciekać akurat Zdeniek. Franek spojrzał w jego piwne oczy, nie było w nich żadnej obawy, tylko niemal dziecięca naiwna wiara, że uda mu się uciec. Reporter powiedział do Pragi:

– Tajkyl jedzie wprost na Tikala.

Potem Zdeniek zrobił prostą sztuczkę – przepchnął krążek między nogami Franka i próbował ominąć brata. Franek celowo opuścił wzrok z tych poważnych piwnych oczu na australijskiego kangura, całkowicie zapomniał o wszystkim, a może też przypomniał sobie wszystkie nieprzyjemności, które spotkały go przez tego chłopaka. Nadział Zdeńka na ramię, tak jak byk nadziewa na rogi toreadora. Strząsnął go z siebie i poczuł, że ochraniacze Zdeńka są bardzo liche.

Zdeniek się nie podnosił, podjechali do niego koledzy. Franek chwycił brata pod pachami i pomagał mu wstać.

– Braciszku, nie chciałem, naprawdę.

Lecz Zdeniek milczał.

Franek nie miał pojęcia, jakim wynikiem skończył się ten głupi mecz. Brat nie pojawił się już na lodzie, dopiero w trzeciej tercji przywieźli go z zabandażowaną ręką, stał za australijską ławką rezerwowych i ze smutkiem patrzył na to, jak do ich bramki wpada gol za golem. Miał zwichnięte ramię. Ale o tym Frankowi powiedzieli koledzy, ponieważ kiedy mecz się skończył, a Franek schodził z lodu, Zdeniek na jego pytanie, co mu jest, nie odpowiedział.

Franek przez cały czas w szatni i pod prysznicem zastanawiał się, czy brat będzie na niego czekać, umówili się przecież, że razem wrócą do hotelu.

Zdeniek czekał.

Szli obok siebie i milczeli. Było to bardzo długie milczenie jak na to, że nie widzieli się od jedenastu lat. Przerwał je starszy brat:

– Do końca olimpiady już nie zagram. Przyleciałem z Australii do Ameryki na trzydzieści minut gry.

– A co ty w ogóle chciałeś zrobić? Myślałeś, że pozwolę ci się ominąć? Czy tę waszą grę da się w ogóle nazwać hokejem? Pokonałby was każdy zespół z naszej najniższej ligi! – A jakby tego było mało, Franek wypalił: – Ciesz się, że nie możesz grać, przynajmniej nie narobisz Tikalom wstydu!

– Franciszku, chyba masz rację.

– To dobranoc, braciszku, i nie złość się już na mnie.

*

Przed domkami olimpijskimi czekał autobus z australijskimi sportowcami, wszyscy już byli w środku, tylko Zdeniek stał jeszcze z Frankiem. Zdeniek wracał do Melbourne, grać na tamtejszym lodowisku i sprzedawać duńską czekoladę. Franek będzie reklamować czeskie lokomotywy T 678, zwane KOKO, i będzie grać dla czeskich kibiców, skandujących często:

– Niech żyje Tikal!

Jutro zaczną się normalne dni

Wstaję późno, chłopcy wyszli już do szkoły, Olga mnie słyszy, więc zaczyna szykować w kuchni śniadanie. Otwieram okno i wpuszczam do pokoju lodowate powietrze z ogrodu. Pomoże również choince, która jest już ubrana. Staję w rozkroku na przyjemnie miękkim dywanie, włączam gramofon i zaczynam ćwiczyć. Nie lubię Niemców, ale uwielbiam ich muzykę. Dlatego ćwiczę przy szybkich piosenkach Marleny Dietrich, na przykład przy *Ich bin die fesche Lolla.*

Jem śniadanie i jadę swoją cudowną cortiną do golibrody. Goli mnie pan Wieńczysław Sroka, daję mu bilet. Bilet na dzisiejszy hokej zawożę też Karolowi do Domu Żywności. Karol zaopatruje moją rodzinę w najwykwintniejsze delikatesy, czyli sery szwajcarskie, holenderskie kakao, francuską oliwę i wszystko, co lubię. Jadę do zakładu, wpadam tam zawsze w dniu meczu, kiedy przed południem nie trenuję. W bramie z szacunkiem kłania mi się portier. Spotykam ludzi w hali i na korytarzu, wielu z nich nawet nie znam, ale wszyscy się do mnie uśmiechają i witają się ze mną z daleka. To śmieszne, ale wieczorem będą opowiadać swoim żonkom, że ze mną rozmawiali i o czym ze mną rozmawiali. Wchodzę do biura, w którym mam pracować. Przy biurkach zasłanych papierami i dokumentami siedzą tu urzędasy zawalone pracą. Tylko moje biurko, jak dobrze podejrzewacie, jest czyste jak słowo boże. Wchodzę do pokoju

kierownika, kierownik podnosi wzrok, a w oczach rozpala mu się wyuczony uśmiech:

– Witam cię, Mireczku. Jak dziś będzie?

– Wygramy trzema golami. Tatran jest słaby jak herbatka ziołowa.

Kładę mu na biurku białą kopertę z dwoma biletami. Już nawet nie dziękuje. To obowiązkowa dostawa. Znów przechodzę przez biuro, niemal na palcach, żeby nikomu nie przeszkadzać w pracy. Wiem, że mnie obgadują, bo prawie w ogóle się tu nie pojawiam, ale nie interesuje mnie to. Oni są na dole, a ja na górze!

Sięgam do kieszeni po kluczyki do cortiny i wyciągam garść zmiętych banknotów. Wkładam je do prawej kieszeni spodni, niedbale i swobodnie, lubię wyciągać je przy ludziach – takie wymięte. Oczywiście, że ich to bulwersuje, ale w moim przypadku to tylko poza, tak naprawdę uwielbiam pieniądze, pozwalają mi na życie, które prowadzę.

Włączam silnik i w tej samej chwili przychodzi mi do głowy myśl, że to wszystko się kiedyś skończy. Po raz pierwszy odczuwam dziś strach. Ale od razu go odganiam, przecież na naszą ligę jestem jeszcze wystarczająco dobry. Poradzę sobie z tymi młodymi żółtodziobami, którzy nie wiedzą nawet, jak się na meczu ustawić. Wprawdzie od dwóch lat docierają do mnie słuchy, że już mam swoje lata, ale zarząd i trener nie wspomnieli o tym ani słowem. Cenią moje doświadczenie, wciąż jestem kapitanem drużyny.

Jestem dziś jakiś nieswój. Dlaczego akurat dziś? Przecież czeka nas mecz ze słabiutkim Tatranem. Muszę się jakoś rozluźnić, jadę na stadion.

Prowadzę i uspokajam się, w aucie zawsze robi mi się lepiej. Dotykam kierownicy tylko lekko palcami, jak nauczyli mnie tego Amerykanie, kiedy w dniu odpoczynku pognaliśmy nad wodospad Niagara. Bawię się jazdą, mijam tramwaje i przystanki na wysepkach pełnych ludzi, nucę sobie *Ich*

bin die fesche Lolla. I, ludzie kochani, poprawia mi się nastrój, no coś wspaniałego!

W bramie stadionu stoi Szory, pamięta erę Józka Maleczka, Macieja Buckny czy Bożydara Modrego. Szory, i tak już mały, jeszcze się zmniejszył i skurczył. Uśmiecham się do niego, lubię się do niego śmiać, i witam się z nim serdecznie:

– Siema, Szoryk! Ty ciągle młodniejesz, jak ty to robisz?

Szory nie ma nastroju do żartów, kiwa tylko głową i gorzko się uśmiecha, choroby przeżarły go na wskroś, a za to siedzenie przy bramie ledwo wiąże koniec z końcem.

Idę wzdłuż drzwi i przeszklonej kawiarni. Na krawężniku siedzą chłopcy i dziewczyny z łyżwami i palą. Są to inni chłopcy i dziewczyny niż kiedyś. Nie rozumiem ich słów, nie rozumiem ich życia. Ja z piciem i miłością zaczynałem o wiele później. Ale podobają mi się dziewczęta na łyżwach, mają odważne, bezczelne miny i patrzą mi prosto w oczy. To mnie strasznie kręci, te dziewczyny mnie nie znają, nie kusi ich moja sława i traktują mnie jak każdego innego faceta.

Uśmiecham się zatem, słucham lekkiej, skocznej muzyki, jest fajnie, tu na stadionie czuję się najlepiej. Tu po raz pierwszy jako chłopiec włożyłem upragniony strój z herbem najważniejszego praskiego klubu. Przychodziłem tu nad ranem przed szkołą, żeby potrenować. Harowałem jak wół. I jako jeden ze stu przebiłem się do pierwszej drużyny. Zacząłem podobać się kobietom.

Siadały nad naszą ławką i krzyczały do mnie. Był to szczególny typ kobiet, ładniutkich, z niezbyt wielkimi i mądrymi mózgami. Uwielbiały przede wszystkim brutalną siłę sportowców, patrzyły na mnie w stroju hokejowym i wyobrażały sobie mnie nagiego, jak na nie włażę, i krzyczały. Ja nie miałem o miłości pojęcia. Nie miałem też dokąd z taką dziewczyną

pójść. Swoją pierwszą przyprowadziłem w nocy do szatni, trząsłem się ze strachu, że mnie przyłapią i wyrzucą z drużyny. Pozrzucałem na ławkę wszystkie te nasze święte stroje i położyłem ją na nich. Potem okazało się, że to samo robi w szatni połowa drużyny.

Przeżywałem więc na stadionie swoje obie wielkie miłości. Ludzie stali za barierkami i rozumieli z tego tylko część. Swój oddech słyszeliśmy tylko my, oni słyszeli trzask kijów i zderzenia ciał, w ich oczach stawałem się bohaterem. Po każdym meczu, kiedy tylko wyszedłem spod prysznica, czułem się silniejszy. Te ładniutkie panienki też coraz częściej zabierałem na łoże ze strojów hokejowych, a potem też na inne łoża. Przestałem dopiero, kiedy poślubiłem Olgę, ale na krótko. To było częścią nas, połowę nocy spędzaliśmy w obcych miastach i w innych łóżkach. Nie było to złe życie. A po zwycięskich meczach piliśmy. Często klątem, kiedy robiło mi się potem niedobrze i wymiotowałem w toalecie, wiedziałem, że przyśpieszam koniec własnej kariery. Ale potem piłem znowu, a najciekawsze w tym wszystkim jest to, że wciąż czuję się młodo i że mój koniec wydaje mi się jeszcze bardzo odległy. Wychodzę, Szory już nie stoi przy bramie, zmienił go jakiś nowy portier, którego nie znam.

W domu na stole leży biały obrus, obok stoi świąteczna choinka. Potraw jest tyle, co na bajkowym stoliczku, który sam się nakrywał. Po obiedzie idę się zdrzemnąć.

O czwartej po południu Olga budzi mnie głaskaniem po głowie – tak się umówiliśmy. Nie mogę spać po południu zbyt długo, przed meczem ciało musi normalnie funkcjonować.

Jem podwieczorek i zaczynam czytać książkę o gęstych lasach i chłodzących potokach, o słonecznych polanach i o ludziach, którzy znają tylko pracę i miłość. Tymczasem na zewnątrz zapada zmrok, a z drugiego pokoju dobiegają głosy chłopców, uczą się z Olgą. Nie będę im

przeszkadzać, wychodzę na ciemną ulicę. Stawiam kołnierz i naciągam na czoło tyrolską czapkę. W Pradze zawsze chodzę na stadion piechotą, to tylko dwadzieścia minut, muszę trochę pobudzić serce i rozruszać się, żeby potem lepiej wejść w rytm meczu.

Stadion świeci z daleka niczym wielka biała gwiazda.

W szatni już siedzą chłopcy, a na skraju ławki trener. Witają się ze mną głośno, trener Jerzy wstaje i podaje mi rękę, jakbyśmy nie widzieli się Bóg wie jak długo.

Potem się rozbieram, od dwudziestu lat ten sam schemat, ale ma to swój szczególny czar. Na nagie ciało wkładam ribano, potem pas i spodnie, zaciskam ochraniacze. Obok mnie szykuje się piąty obrońca, junior Władek, od roku na próżno wkłada strój rezerwowego, trochę mi go żal, ale nie jakoś bardzo. Ja też musiałem swoje odczekać.

Jurek udziela ostatnich rad:

– Nie lekceważcie ich. To wasza słaba strona. Zawsze lekceważycie przeciętnych, choć wiecie, że nie powinniście. Stłamście ich od pierwszej chwili! Idziemy… – i dodaje: – Koledzy! – żeby trochę uspokoić tych wariatów. Znam już jego metody, ale to wspaniały gość, zna się na swoim fachu.

Na korytarzu panuje półmrok, wychodzimy z budynku klubowego i wchodzimy na stadion, oślepia nas światło i ogłusza wrzawa. Jesteśmy ich drużyną, a ja jestem jej kapitanem.

Po rozgrzewce hałas na trybunach cichnie. Sędzia staje w rozkroku i rzuca na środek krążek. Zdobywają go zawodnicy w niebieskich strojach i zaczynają atak na naszą bramkę.

Cofam się obok rudzielca Janka. Jestem spokojny, a to niedobrze. Wolę czuć w mięśniach i mózgu nerwowość, drżenie, obawy, których pozbywam się stopniowo dzięki dobrym interwencjom.

Ten mdły spokój przeszkadza mi najbardziej. Cofam się, a po skrzydle ucieka mi ich malutki Votruba. Chcę go skasować bodycheckiem, ale startuję zbyt wolno i mijam się z nim. Spieprzyłem to… Votruba to dobry snajper i strzela Karolowi gola.

Zjeżdżam na ławkę, czekam, aż trener zacznie mnie besztać, jak to ma w zwyczaju, ale on milczy. Po dwóch minutach wracam na lód. Już leje się ze mnie pot, cieknie mi po plecach, kolana drżą, a nogi nagle robią się bardzo ciężkie. Nie mogę złapać tchu i w tej chwili uświadamiam sobie, że dla tych, których rano nazwałem niedoświadczonymi żółtodziobami, jestem już za słaby. Ale nie mogę tego przecież przyznać, za nic nie mogę tego przyznać, nikt jeszcze o tym nie wie, koledzy z zespołu wciąż mi ufają, wciąż jestem ich kapitanem. Chcę zacząć zbierać oszczędności, żeby trochę zabezpieczyć się na przyszłość. Muszę grać! Nie wiem dlaczego, ale myślę o francuskich oliwkach, serach szwajcarskich i kakao z Holandii. Trafiam uciekającego Votrubę, wykrzywia twarz w grymasie bólu i pada na lód. Dobra interwencja! Przeciwnik dokonuje zmiany. I wtedy się to dzieje. Znów cofam się na lodzie przed ich atakiem, nie wygląda to najlepiej, jeden z niebieskich leci wprost na mnie, upadam, rudzielec Janek nie daje rady tego uratować. Te bestie w niebieskich strojach zdobywają drugą bramkę. Jadę na ławkę, Jurek nic nie mówi i spogląda w inną stronę, chłopaki też na mnie nie patrzą. Teraz wreszcie dociera do mnie, że nikt z drużyny ani trener nie mają siły niczego mi wytykać. I przypominam sobie swoje błędy w poprzednich meczach. Do tej chwili w ogóle o nich nie myślałem. Podczas przerwy w szatni jest cicho jak na pogrzebie. Jurek wygłasza obowiązkową mowę:

– Prowadzą dwoma golami. To jeszcze nic nie znaczy. Siądziemy na nich i zabraknie im tchu.

Mnie nie mówi ani słowa. Dobry kolega. Wracamy na lód. Już na początku tercji mam szansę na gola, ale krążek mija bramkę, a to niedobrze, kibice już krzyczą:

– Co robisz, cieniasie!

– Grasz jak stróż nocny!

Te słowa dźwięczą mi w uszach, kiedy siadam na ławkę. Nigdy nie sądziłem, że usłyszę je na swoim stadionie. Lecz niektórzy mnie podziwiali, a jednocześnie przez wszystkie te lata czekali, żeby móc na mnie splunąć, ponieważ w głębi duszy zazdrościli mi, że osiągnąłem więcej niż oni. I właśnie nadeszła ich chwila.

C I E N I A S !

Nie, nie jestem cieniasem, jestem po prostu stary jak koń wyścigowy u kresu sił. Trzęsą mi się nogi, pot ścieka po ciele jak niekończąca się rzeka w tropikalnej puszczy. Zawsze uwielbiałem hokej za to, że miałem wokół siebie wielu kolegów. Teraz nagle czuję się opuszczony. W nogach i w całym ciele zgromadziło mi się zmęczenie z całych dwudziestu lat spędzonych na lodzie. Nie mam odwagi grać dalej, ani dziś, ani jutro.

– Nie wystawiaj mnie! Ja już tam nie wrócę! – krzyczę przy wszystkich do trenera.

Jurek długo patrzy mi prosto w oczy.

– Dobra, jak chcesz.

Na lód zamiast mnie wskakuje rezerwowy Władek. Doczekał się mojej sportowej śmierci. A ten wieczór, który zaczął się już rano – kiedy ćwiczyłem przy tej krzykliwej piosence *Ich bin die fesche Lolla* – zbliża się do swojego dna, gorzkiego dna. Mój zespół wyrównuje stan gry. Ale nie jestem już ich kapitanem i już do nich nie przynależę, ktoś inny ryczy teraz za mnie głośno:

– Pokażemy im! Zaraz oberwą po nosie!

Siedzę w drugim rzędzie, na tym miejscu, na którym przez rok czekał Władek. Mam na plecach koc i tępo patrzę przed siebie, ktoś mną szarpie i cieszy się z trzeciego gola. Ten mecz bez mojego udziału stracił dla mnie znaczenie. Chce mi się płakać, ale jestem na to za stary wyga.

Wracamy do szatni uliczką między trybunami. Patrzę na kibiców i uświadamiam sobie, że od dziś jestem taki jak oni. Będę siedzieć albo stać na trybunach i podziwiać innych, wtopię się w tę wielką masę, w której nie ma bohaterów. I w tej chwili po raz trzeci ogarnia mnie strach.

Rozbieram się, podchodzi do mnie trener Jurek.

– Odpoczniesz sobie, Mireczku, i znów wszystko będzie dobrze.

– Ze mną już dobrze nie będzie. Jestem już stary, a ty wiesz to równie dobrze jak ja.

Milczy, nie może na to nic powiedzieć, nie jest takim mięczakiem, żeby mnie pocieszać. To prawdziwy kolega. Odpinam ochraniacze i obserwuję chłopaków. Śmieją się, prężą silne ciała.

Biorę prysznic i od tej chwili jest mi lepiej, razem z potem odszedł strach, nie jestem na nikogo zły, czuję tylko zmęczenie po długiej drodze, którą przebyłem z kijem w rękach. I wydaje mi się, że jestem już gotów na dni powszednie, które zaczną się od jutra.

Wkładam białą koszulę i zaciskam krawat. Jak po każdym zwycięskim meczu, zapraszają mnie na balangę. Odmawiam i opatulam się w płaszcz i szal hokejowy, żeby nikt mnie nie poznał. Po drodze spotykam tylko Szorego, kuli się przed swoją budką, jakby na mnie czekał. Uśmiecha się, ale wychodzi mu z tego taki grymas, jak kiedy składa się kondolencje.

– Do widzenia, Mirku. Chciałem ci powiedzieć, żebyś się tym nie przejmował.

– Szory, ja się nie przejmuję. Ta chwila musiała kiedyś nadejść. Żegnaj, Szory.

Wchodzę na most Hlávka. Pode mną huczy rzeka, a w kierunku, w którym płynie, wieje też przenikliwy nocny wiatr.

„Halo, taxi!"

Nadchodził ranek, niebo błękitniało. Praskie lotnisko było jeszcze pogrążone w mroku, tylko gdzieniegdzie krążyły przenikliwe reflektory ostrzegawcze z dachów hangarów i hali głównej. Kioski były już pozamykane, otwarty był jeszcze tylko miniaturowy bar, w którym mieszadło leniwie mieszało sok pomarańczowy. Za ladą drzemał zmęczony kelner. Na zewnątrz czekał autobus podstawiony dla podróżnych z Nowego Jorku. Boeing 707 powinien już tu być, lecz miał znaczne opóźnienie, musiał czekać w Shannon i Düsseldorfie.

Jakieś dwadzieścia metrów za autobusem stała taksówka. Szara wołga. Za kierownicą siedział chłopak o niebieskich oczach i jasnych włosach. Palił z gracją papierosa Kent i czytał kryminał Johna Burke'a, na okładce była angielska flaga i jakaś twarz. Kiedy usłyszał samolot, przerwał lekturę, obejrzał się za siebie i zobaczył światła maszyny podchodzącej do lądowania.

– Niezbyt się śpieszą. To on. Boeing… Boeing…

To drugie boeing powiedział cicho, jakby samolot był malutki. A przy tym w głosie chłopaka pobrzmiewała jakby tęsknota i jednocześnie jakby żal. Boeing tak naprawdę był supersamolotem i miał kształt jajka znoszonego przez wiejskie gęsi. Chłopak pomyślał o tym, że czasem te samoloty spadają, ponieważ lata ich dużo, i pewnie również dlatego, że

miewają różne awarie, podobnie jak wszystkie inne maszyny oraz człowiek. W takich przypadkach rodzina płacze, firmy ubezpieczeniowe wypłacają odszkodowanie, a po jakimś czasie o wszystkim się zapomina, ponieważ ludzi i tak jest na świecie najwięcej, a po wszystkich martwych coś się dziedziczy. Zapalił kolejnego papierosa i znów zanurzył się w angielskim kryminale *Morderstwo z nudów*. Wiedział, że odprawa podróżnych potrwa jeszcze dobrą chwilę. Kryminały pozwalały przeżyć mu nieznane uczucia. Przed pasem startowym rozlegały się tam strzały, biegał detektyw z pistoletem, właśnie okradano kasę, a przed hangarem bito kogoś w twarz.

Przerwało mu wołanie.

Wyjrzał przez okno. Przed drzwiami wołgi podskakiwał grubasek koło sześćdziesiątki. Najwyraźniej był Amerykaninem, jego słomiany kapelusz owijała elegancka wstążka, a w klapie marynarki miał flagę z paskami i gwiazdami. I krzyczał do taksówkarza, jakby ktoś dźgał go nożem, pewnie się bał, żeby nikt go nie ubiegł.

Obok wsiadało do autobusu kilku podróżnych z tego boeinga, było ich naprawdę zaledwie kilku, pozostali prawdopodobnie zostali na noc w Düsseldorfie. Amerykanin wciąż podskakiwał na zewnątrz, jakby właśnie wyskoczył z jakiejś niebiańskiej bajki. Taksówkarz uśmiechnął się do niego, a uśmiechnął się również dlatego, że nie czekał tu na darmo. I pomyślał, że to na pewno będzie dobry kurs. Szybko otworzył drzwi auta, wysiadł i ukłonił się wytwornie jak w teatrze. Dostrzegł, że za Amerykaninem stoi bagażowy z wózkiem pełnym porządnych walizek. Czekał lekko pochylony, w gotowości, by ruszyć za swoim klientem. Taksówkarz przywitał się:

– Dzień dobry panu.

Amerykanin przestał krzyczeć, odwzajemnił uśmiech i zaseplenił po angielsku:

– Gud mooning.

A potem dodał po czesku:

– Dzień dobry, chłopcze.

Czyli Czechoamerykanin. Tym lepiej – pomyślał taksówkarz. – Przynajmniej się z nim dogadam.

Od lat chciał zacząć uczyć się angielskiego, ale skończyło się na tym, co zawsze – na kupnie podręczników. Wskazał Czecho amerykaninowi siedzenie pasażera i zaczął z bagażowym układać walizki w bagażniku. Kiedy skończył, Amerykanin krzyknął do niego po czesku przez uchylone drzwi:

– Niech pan mu da jakieś drobne. Potem panu oddam.

Taksówkarz dał bagażowemu dziesięć koron, a mężczyzna siedzący w aucie krzyknął:

– Ile mu pan dał, przyjacielu?

– Dziesięć koron, proszę pana.

– To niech mu pan jeszcze da jednego Apolla.

Taksówkarz wziął od mężczyzny niebieską odznakę, na której widniało duże A i napis: *Apollo – USA* oraz Księżyc i Ziemia. Podał ją bagażowemu. Ten podziękował uprzejmie i oddalił się. Taksówkarz wsiadł i włączył silnik. Pasażer podał mu jednego papierosa marki Camel, zapalił swojego papierosa i przypalił też taksówkarzowi. Obaj palili i patrzyli na betonowy przystanek, z którego zniknęli ludzie i autobus. Zostali tu sami i czuli się dobrze. Taksówkarza grzała na sercu myśl, że nie czekał na próżno, a mężczyzna wiedział, że jest już u kresu podróży, że siedzi w wozie prawie tak dużym jak w Ameryce, i że odległość dzielącą go od celu przebędzie bez problemów. Obaj milczeli, nad niedalekim pięknym miastem świtało, niebo miało szczególny fioletowy kolor. Taksówkarz skończył palić pierwszy i zapytał:

– Dokąd jedziemy, proszę pana?

– Najpierw na stary Czarls bridż, chłopcze. Nie byłem tam od ćwierć wieku.

Wóz ruszył. Zbliżali się do leżącego kiedyś na granicy Pragi punktu pobierania cła za bydło i pożywienie. Zjeżdżali do dzielnicy Liboc. Amerykanin przez cały czas przyglądał się wnętrzu auta.

– Czy to czeski kar?

– Nie, rosyjski.

Przyjezdny był wyraźnie zdziwiony. Po chwili powiedział:

– To porządny kar. Nie ma żadnych bajerów, ale jedzie, jak należy. Tak jak te ich czołgi, te czołgi podczas wojny jechały i jechały i zabrały nam kawał Europy…

– Fakt, działa bez zarzutu – przerwał mu taksówkarz, nie chcąc rozmawiać o polityce. – Na te nasze dziurawe drogi w zupełności wystarczy. Wszystko jest teraz rozkopane. Most Karola też w remoncie. Podobno będą go remontować dłużej, niż Karol IV budował go z zaprawy z dodatkiem jajek. Jeśli będzie pan chciał tam wejść, będzie pan musiał iść z buta.

– Co to znaczy z buta, chłopcze?

– No na nogach. Cufus.

– Ach tak. Nie ma sprawy. Pójdę cufus. Chcę obejrzeć sobie rzeźbę Bruncvíka. A potem Braun rzeźby.

Taksówkarz milczał. Nie miał najmniejszego pojęcia, czy jakieś rzeźby Brauna stoją na Moście Karola, wiedział jedynie, że te mostowe posągi wyglądają jak żywe. Zbliżali się już do Klarowa, a on delektował się jazdą po pustych ulicach i świstem opon własnego wozu. Przyjezdny milczał, a kiedy zatrzymali się przy placu Małostrańskim, powiedział:

– Niech pan na mnie poczekać. Łan minyt.

I poczłapał jak kaczka w stronę mostu, o którym mówiono, że jest najpiękniejszy na świecie. Czechoamerykanin nazywał się Frank Studnicka, wcześniej Franciszek Studniczka. Mieszkał w Nowym Jorku już czterdzieści lat, ale myślami przez cały ten czas był w Pradze. Tu się urodził, w tych okolicach spacerował z dziewczętami po nabrzeżu i na tym moście pod Bruncvíkiem całował się po raz pierwszy. Płynęła pod nim Wełtawa, tak jak płynie i dziś. Przechodził wolno od jednej rzeźby do drugiej. Przyglądał się posągom w czasie, kiedy prażanie wstawali do pracy. Sprawiedliwość Matyáša Brauna wciąż miała zawiązane oczy, żeby nikogo na świecie nie faworyzować, a mimo to – pomyślał Frank Studnicka – dość często jednak faworyzowała. Szedł dalej i mijał rzeźby Brokoffa, Maxa, Dvořáka. A przy pierwszej z nich wyciągnął przezroczyste pudełko z białym goździkiem i położył je nabożnie pod posągiem Sprawiedliwości, do której się cofnął. Był to taki sam goździk jak ten, który wręczył tu swojej pierwszej dziewczynie – miała na imię Kwieta – tyle że ten dzisiejszy był już zwiędnięty, mężczyzna kupił go bowiem na Piątej Avenue i przywiózł do Pragi boeingiem. Następnie upuścił goździk do wody; kwiat wpadł do niej i płynął ku śluzie, a mężczyzna pomyślał, że odpływa od niego tak jak całe jego życie. Potem Frank Studnicka wrócił do taksówki. Wsiadł i powiedział suchym, zduszonym głosem:

– Niech pan jedzie do Roztoków, do mojego kuzyna.

Taksówkarz na komendę włączył silnik i ruszył. Przyjezdny milczał, ponieważ w jego duszy na nowo ożywało wszystko, co czterdzieści lat temu przeżył na tym moście. Właściwie po to tu przyjechał – spróbować sprawić, by wszystko do niego wróciło. Na całym świecie to uczucie przeżywały miliony ludzi, którzy wracali tak, jak zwierzęta wracają tam, gdzie pastwiska były najbujniejsze i gdzie było im najlepiej. Lecz mimo iż miejsca potrafiły przybliżyć miniony czas, nie było to już dokładnie to

samo. Wtedy, w dzieciństwie i w młodości, był tu śmiech i radość w sercu, podczas gdy teraz przeważa żal i przesłona z łez. Ale człowiek czasami lubi się tak pomęczyć, ponieważ nawet ból bywa niekiedy piękny, wręcz intrygujący, i można o nim rozmawiać z kimkolwiek. Taksówkarz milczał, rozumiał to. Kiedy się zestarzeje, będzie taki sam. A zresztą – nie wypadało zachować się inaczej. Skoro milczał pasażer, on również się nie odzywał. Kiedy pasażer mówił, nie przerywał mu i słuchał, ponieważ prawie każdy człowiek lubi mówić, żeby wygadać się z żalu i radości, a czasem też po to, by popisać się, jak jest wyjątkowy, jak rozległą ma wiedzę, jak wiele miejsc zwiedził i co widział. To był niepisany kodeks taksówkarzy. Zazwyczaj milczeć. Opłacało się to również z finansowego punktu widzenia. Zatem ten taksówkarz już od czasu, kiedy nauczył się mówić, korzystał z tej umiejętności rzadko i w ostateczności. Albo mówił coś konkretnego, albo się uśmiechał. Albo mówił coś konkretnego i uśmiechał się przy tym. Czasami wyglądało to tak, że drwi ze swoich rozmówców i myśli sobie swoje.

I w takiej ciszy dotarli do Podbaby i jechali w stronę rzeki płynącej do Roztoków, brudnej, pełnej śmieci z mateńki Pragi.

Przybysz znów przemówił:

– Ja z Niu Jorku. Hurtownik owoców.

Taksówkarz nie odpowiedział. Czechoamerykanin ciągnął:

– No, pan w Niu Jorku nie był. Wielka szkoda. To takie piękne taun. A domy wysokie jak wasze góry. Grali tam nawet wasi sportsmen. Dukla Praga. Wielka drużyna. Wygrali wszystko, pokonali Ajrisze, Spejn, Brezil, Inglisze. Wszyscy oberwali…

Pasażer szukał odpowiedniego słowa, a potem zwrócił się z pytaniem do taksówkarza:

– Jak się mówi, że pokonać wszystkich?

– Jeśli ma pan na myśli język potoczny, to mówi się, że wszyscy dostali od nich po dupie – powiedział taksówkarz, wciąż patrząc z uśmiechem na drogę.

Czechoamerykanin aż zawył z zachwytu, podskoczył na siedzeniu i krzyczał:

– Tak, to jest to piękne sformułowanie: po dupie! W żadnym innym lengłidżu nie jest to ujęte tak pięknie. A tu, w Prag, to brzmi tak cudownie, no dokładnie jak w domu.

I również wypowiedział to sformułowanie, bardzo starannie, a potem powtarzał je sobie półgłosem, litera U syczała mu w ustach jak wiatr w oknie pędzącego wozu, a mężczyzna miał taką minę, jakby mówił *tulipan* lub *goździk*, którego dziesięć minut wcześniej wrzucił do Wełtawy.

Potem kontynuował:

– A nas Czechów w Juesej też wartość wzrosła. To jest tak. W Niu Jorku jest jedna strit obok drugiej. W jednej Brezil, w drugiej Czech, w trzeciej Portoryko. I nagle Dukla dała wszystkim po dupie. Dużo lepiej mi zaczął iść interes.

Taksówkarz milczał, nad czymś się chyba zastanawiał. Pasażer zaskoczył go pytaniem:

– Pan się interesuje piłką nożną?

– Nie, proszę pana, piłka nożna mnie nie interesuje.

– To jak może pan w ogóle żyć w Czechach, przyjacielu?

– Ja interesuję się tym – odparł taksówkarz. Prawą ręką puścił kierownicę i wskazał na sufit wołgi, gdzie dyndały malutkie buciki.

– Co to za but? – zapytał przyjezdny.

– To są pierwsze buty mojej córki. Ma na imię Krystyna. I to nią interesuję się teraz najbardziej – powiedział taksówkarz i powiedział to

delikatnie i z uczuciem, jakby był poetą lub jakby miał się nim wkrótce stać.

– Ach, tak – westchnął pasażer. – Teraz rozumiem. Bejbi, doter, rodzina. U nas boxczempion Dempsy powiedział kiedyś, że najpiękniejsze w boksie było to, jak wracał poobijany i tajerd do swojej femili. Rodzina daje siłę, rozumiem to. Jeśli jest piękna. Ale futbol też bjutiful.

I teraz pan z New Yorku zaczął rozpływać się nad pięknem piłki nożnej.

– Przy piłce nożnej człowiek zapomina, że ma czasem udręka z kobieta, biznes, z czildren, i sam staje się bohaterem. I to piękno, kiedy wpada goul. W Niu Jorku był też ten wasz Rudi Kucera. Bjutiful boj. Kiedy on strzelał, to było jak pióra wylatujące z pierzyna albo jak kula z armaty. I ciągle wyglądał, jakby dopiero co skończył szkołę. Ameryka go uwielbiała. Właściwie to był amerykański snajper. Rekordman. On mógł zdobyć Ameryka – powiedział pasażer, a potem zapytał: – Zna pan Rudi Kucera?

Taksówkarz nie odpowiedział, lekko pokręcił głową i dodał gazu. W zakrętach wzdłuż rzeki opony znów zaczęły piszczeć.

Przyjezdnemu to nie przeszkadzało. Nie przeszkadzało mu teraz nic. Czuł się cudownie. Był w Pradze. Potrzebował się wygadać, tak jak wszyscy czasem musimy się wygadać. Za kilka minut będzie u kuzyna. Będzie rozpakowywać prezenty. Szkocką whisky, angielskie tkaniny, dla dzieci paczki gum do żucia. Będą go witać, będzie w centrum uwagi. Na pewno upiekli czeskie kołacze i zrobią mu białą kawę, jaką pijali za młodu.

Było mu tak dobrze. Mówił więc dalej:

– Temu Kucera powiedzieli, żeby został w Amerika, że będzie mieć hajs jak lód. A on powiedział dziennikarzom, że nie może zostać w Ameryka, a kiedy spytali dlaczego, powiedział, że nie mógłby żyć bez tego waszego placu Wacława, po którym podobno chodzą dziewczyny jak maliny. Twierdził, że nigdzie indziej na świecie takich nie ma. Wszyscy bardzo się

z tego śmiali, a on wrócił do Czech. Dziennikarze ten tekst o dziewczynach opublikowali w gazetach. U nas fridom – wolność. Ale Amerika uwielbiać Kucera. U was mali chłopcy uwielbiać kowboj, a u nas czescy amerykańscy chłopcy uwielbiać Kucera. I chcieli być Kucera.

Zbliżali się do Roztoków. Jechali wzdłuż Wełtawy płynącej powoli ku Kralupom, drzewa były już gołe, więc dobrze widzieli wodę. Srebrzyła się, ale był to tylko blask księżyca na jej powierzchni. Od dawna nie była czysta, podobnie jak czystych nie było wiele innych rzeczy na tym świecie, choć ludzie wciąż myśleli, że czyste są. Taksówkarz zapytał:

– Proszę pana, gdzie dokładnie mieszka pański kuzyn?

– W tej pierwszej strit. Byłem już tu kiedyś u niego. Mam duża pamięć. Niech pan jedzie direkt. Tak. I skręcić. Tamten haus.

Taksówkarz zatrzymał się przed małą willą, w której oknach było ciemno. Najwyraźniej jej mieszkańcy jeszcze spali. Spojrzał na swojego pasażera i zrozumiał, że Czechoamerykanin nie chce jeszcze wysiadać; że coś leży mu na sercu. Chciał jeszcze mówić. Zatem taksówkarz milczał. Przyjezdny kontynuował:

– Znałem Rudi Kucera osobiście. Własnymi rękami wspólnie z innymi Czechami znosiłem go z boiska, kiedy w fajnyl pokonał Ingliszmenów. I wciskaliśmy mu pod koszulkę dolars. – A potem gość z Ameryki dodał skromnie i prawie cicho, jakby nikt nie powinien tego usłyszeć: – Meny dolars.

A po chwili jeszcze Frank Studnicka powiedział:

– A później tego Kucera podobno skosili i wyałtowali Polacy i my już więcej o nim nie słyszeli.

Taksówkarz wyciągnął papierosa Kent, zapalił go i spojrzał swoimi niebieskimi oczami w oczy tego Amerykanina, które przypadkowo również

były niebieskie. Nie mówił nic, minę miał poważną, prawie surową. A po chwili uśmiechnął się lekko, miło, i Amerykanin również się uśmiechnął.

– Miły z pana chłopak. W Ameryce pan bogacz. Tu pan taksówka.

A potem dodał:

– Zapłacę panu dolars. Nie mam jeszcze te wasze many.

– Nie szkodzi, proszę pana. Wymienię sobie w Peweksie.

Kierowca wyciągnął walizki i zaniósł je przed willę. Mężczyzna zadzwonił przy furtce i za chwilkę w oknie zapaliło się światło.

– Pan jest naprawdę gud boj. Wspaniały chłopak. A teraz many.

Czechoamerykanin sięgnął do wypchanego portfela i wyciągnął ostrożnie dwa banknoty. Taksówkarz spojrzał na nie przelotnie, włożył je do kieszeni, lekko się ukłonił i z tym swoim uśmiechem dodał angielskie i również trochę kowbojskie słówko:

– Dziękuję panu. Jest ol rajt.

– Gud baj, boj. Poczekaj.

I wyciągnął z kieszeni odznakę Apolla; dokładnie taką samą, jaką dał bagażowemu. Na broszce był obrazek, jak Amerykanie po raz pierwszy dolecieli z Ziemi na Księżyc. Taksówkarz nie powiedział już ani słowa, tylko ukłonił się lekko i wsiadł do auta. Wyjechał z Roztoków i wracał do Pragi, nie śpieszył się, myślał o czymś. Kiedy dojechał do Wełtawy, zatrzymał wóz i włączył lampkę. Wyciągnął z kieszeni pieniądze. Z jednej strony były ciemne jak cynamon, a z drugiej jasnozielone jak wszystkie amerykańskie banknoty. Na cynamonowym obrazku widniał słynny i surowy wąsaty prezydent Lincoln, na drugiej stronie był biały dom z kolumnami. Pewnie to dom tego Lincolna albo muzeum, było tam napisane *memorial*, ale co to znaczy – taksówkarz nie wiedział, ponieważ wciąż nie mógł zabrać się za ten angielski. Lecz były to takie same pięciodolarowe banknoty, jakie dostał wtedy w Nowym Jorku, kiedy

roznieśli w finale milionerski klub FC Everton, najpierw 7:2, a potem 2:0, a on strzelił cztery gole. To były najwyższe nominały, jakie kibice wcisnęli mu wtedy pod koszulkę. Wypadło z niej wówczas parę pięciodolarówek i dużo banknotów jednodolarowych. A on poczuł na stadionie Polo Ground jakiś żal i chyba też trochę wstyd. Ale na Amerykanów się nie złościł. Byli jak dzieci. Czasem grzeczni, a czasem zepsuci. Uśmiechnął się. A potem powiedział z lekkością, jakby było mu żal, że samoloty nie wożą go już na ważne mecze:

– Boeing… Boeing… Boeing…

Wyciągnął wspaniały portfel, który dostał od pewnego europejskiego kibica, i schował do niego banknoty. W środku, w portfelu, lśnił złoty wytłoczony napis:

RUDOLF KUČERA.

Służebnik nasz Hubert

Przed wiosną zawsze umiera więcej ludzi. Albo doczekują nowej wiosny i będą żyć przez kolejny rok, albo jej nie doczekują. Tak umarł mój tata, tak umarł Hubert. A nie byli starzy, planowali jeszcze czegoś dokonać i dopiero potem odpoczywać. Ale byli zmęczeni, mieli dobre serca, a dobre serce rozdaje się szybko, aż wreszcie nic z niego nie zostaje. Autem kieruje Jarek Sosenka, znany jako Sosna, były środkowy napastnik Dukli. Ma nowy płaszcz, czarne ubranie, ciemny krawat i gruby ciepły szal z wielbłąda. Na głowie jak zawsze nie ma nic, chce zmierzyć się z wiatrem i deszczem. Wciąż z kimś lub z czymś walczy. A w oku ma jakby topniejący płatek śniegu, który wleciał mu tam przez przednią szybę. Po drodze narzeka i trochę filozofuje, długo szukamy tego przeklętego cmentarza.

– Dlaczego ktoś umiera, kiedy akurat ma iść na emeryturę?

– Dlaczego nie dali tu żadnego drogowskazu?

– Idioci!

Wszyscy jesteśmy głupi, nie wiemy, że na pogrzeby tych, którzy byli naszymi braćmi i siostrami, choć nie wynikało to z metryk, powinniśmy jeździć taksówkami, ponieważ trzęsą się nam ręce, a w oczach mamy stopniałe płatki śniegu, chociaż śnieg nie pada. Do cmentarza powinny prowadzić drogi proste jak autodromy i kosmodromy. Wreszcie docieramy na miejsce. Rośnie tu rząd topól jak na praskiej Cesarskiej Łące. Dwie

czerwone kopuły, a między nimi brama. Na umarłych czeka tu przewoźnik Charon – za symboliczną monetę odwiezie ich w zaświaty. To jest praski cmentarz miejski, trochę większy niż Olszany, na których już nie przyjmuje się nowych nieboszczyków.

Przed bramami stoi tyle aut, co przed stadionem w czasie meczu. Samochody osobowe, autobusy, mikrobusy, ciężarówki, wojskowe wozy bojowe, auta dostawcze. Tak jakby miał ktoś grać, jakby ktoś miał stoczyć z kimś pojedynek, jakby ktoś miał się cofać do obrony, by później znów wyprowadzać atak. Przy krawężnikach stoją zastępy slavistów, spartystów, zawodników Dukli i Bohemki, graczy Żiżkova. Wszyscy są w ciemnych dresach i wypastowanych butach bez korków. Nie ma już żadnego meczu, skończył się. W tych zawodach życia ze śmiercią wygrywają biali. Dlaczego śmierć jest biała, skoro wydaje się nam, że to, co przyjdzie na końcu, jest czarne? Jest tu pokora, odkryte głowy, dostojna czapka ze złotymi szamerunkami na czarnej trumnie, ksiądz i czerwone róże.

Sosna gdzieś mi zniknął. Znowu zostałem sam, jak zawsze na pogrzebach. Jakbym płynął z Hubertem i Charonem – przewoźnikiem zmarłych – na drugi brzeg Acheronu, mając ten przywilej, że mogę stamtąd jeszcze wrócić. Jakbym miał tę moc, by ujrzeć drugi brzeg Acheronu, i usłyszeć, o czym tam mówią.

Do kaplicy prowadzi czarna wilgotna droga, po bokach rosną tuje i czeskie lipy z liśćmi w kształcie serca. Gdy podnoszę wzrok, widzę generałów i szeregowców, panią Tomanek i pana Tomanka, którzy dbają o przywiezioną z Moraw piękną murawę na stadionie Dukli, dozorczynię i piekarza z Libni, kapitana wełtawskiego parowca, jego szefa i lekarza Milosza Trubla, aktorów, foksteriera masażysty Michaliczki Pagasa, który zawsze przed snem dawał Hubertowi słodkie psie całusy i jego syjamską kotkę Basię z błękitnymi oczami. Nagle zapada ciemność, niebo robi się

fioletowe jak przed zimową burzą, jakby na górze Stwórca kłócił się ze śmiercią, że jak zwykle coś spartolono, że niesprawiedliwość nie tylko ziemią już rządzi, lecz również niebiosami i że ten pan doktor od piłkarzy Dukli powinien był jeszcze zostać na świecie, by nacieszyć się emeryturą.

Drzwi do kaplicy są otwarte, wewnątrz płoną żółte świeczki i stoi tu piłkarska straż. Stoi jak na boisku, gdy rozbrzmiewa hymn o naszym domu. A na wielki biały świecznik zarządca cmentarza pan Soukup przymocował tabliczkę:

LEKARZ HUBERT GRZANKA.

A potem tak jakbym coś słyszał:

– Ojciec Hubert był chorążym w ciągłej podróży. We włoskim Roverett jego żonie urodzili się naraz dwaj chłopcy jak dęby. Józef został później na czeskiej ziemi lekarzem Sparty i reprezentacji. Na drugiego, Huberta, mówiono Hubek. Skończył szkołę. Zdał maturę. Grał w piłkę, choć rodzice mu na to nie pozwalali, bo to sport dla plebsu. Zaczął więc uprawiać hokej, ale tego również mu nie polecali, ponieważ rozedrgane ręce przeszkadzałyby mu w późniejszej karierze dentysty. Ale jemu ręce nigdy się nie trzęsły. W żadnym razie. Wykonał około trzech tysięcy resekcji i dziesiątki tysięcy plomb, które w większości przypadków były nie do zdarcia. Mógł zostać chirurgiem dentystycznym o światowej sławie. Zawsze był opanowany, a ręce i serce miał ze złota. Z tego najlepszego, które daje się na koronki. W każdy ząb wkładał kawałek swojego złotego serca. Lecz przekwalifikował się na lekarza sportowego. Jeszcze wcześniej poślubił Bożenę z Czech Południowych i zwracał się do niej Annie. Ślub mieli w Nowym Straszeci, tam gdzie w lasach rosną wielkie koźlarze z czerwonymi kapeluszami. Przyprowadził ją do libeńskiego domu na ulicy Sokołowskiej. Korytarz na parterze wyłożony jest tam kaflami z osiemnastoma pięknymi fioletowymi papugami. Miał z Annie syna

Huberta, który też został lekarzem, i córkę Jitkę – nauczycielkę. Zawsze powtarzał, że nie pali, nie pije kawy i lubi spacery. W rzeczywistości dużo palił, uwielbiał kawę i nie cierpiał spacerować. Był szczęśliwy do samej śmierci. Lubił placki ziemniaczane, takie jak robiła babcia Józefina, i opiekane rwaki z wołowiną duszoną na marchwi i boczku. Nie pogardził też bułkami z makiem. Hodował rybki bystrzyki, srebrne z różowym odcieniem i szarymi prążkami. I kochał syjamską kotkę Basię oraz praską Duklę. Z Duklą zjeździł cały świat oprócz Australii. To była jego praca – leczenie piłkarzy. Podawał im krople żołądkowe Cholagol, pryskał im rany kelenem, często aplikował też wodę borową, rumianek i macierzankę, a najczęściej dobre słowo. Ze wszystkiego się śmiał, a piłkarze zaczynali śmiać się razem z nim, byli pierwszymi piłkarzami na świecie, którzy potrafili zapomnieć o porażce. Nazywali go Grzana, lekarz Dobromir lub szarlatan czy wieczny optymista. Wyganiał z nich ból i stękanie, wszczepiał im przedwczesną mądrość. Zastępował im doping i pozbawiał strachu. Na turnieju w Meksyku straszny ból odczuwał król piłkarzy Edson Arantes do Nascimento, zwany Pelé, a Hubert był jedynym lekarzem, któremu pozwolił zrobić sobie zastrzyk. Robił mu go tak, że Pelé się przy tym uśmiechał. Do Huberta przyjechała też toreadorka. Byk rozwalił jej ondulację i plecy. A kiedy Hubert ją wyleczył, podobnie jak Pelé, dała mu puszkę brazylijskiej kawy, a ponadto całusa. W pewnym okresie w Dukli wytykano mu ospałość. Był ospały. Kładł się, gdzie tylko mógł, i usypiał. Choćby na trzy minuty. Chcieli go wysłać do pracy w odległe rejony Słowacji, gdzie są wilki i niedźwiedzie, i gdzie żołnierze myją się w zimnych pstrągowych potokach. Piłkarze zgodnie oświadczyli, że jeśli Dobromir odejdzie, już nigdy nie włożą czerwono-żółtych strojów. I Hubert został. Przez większość życia chodził w mundurze, ale nie umiał nawet nabijać broni. Nabijał się tylko z innych. Wytykano mu spoufalanie się.

Rzeczywiście – spoufalał się. Ledwo go poznaliście, a już traktował was poufale, jakby był waszym bratem lub przynajmniej kuzynem. Dlatego nie został generałem, tylko podpułkownikiem. Generał musi być ciągle czujny i musi umieć krzyczeć. Ale bez Huberta życie byłoby szare. Kiedy dopracował do sześćdziesiątego roku życia, jak nakazują regulaminy i przepisy pracownicze, dostał dyplom za doskonałą pracę w kulturze fizycznej. Przyszedł do domu, włożył dyplom do szuflady z kartami i położył się. Jeszcze kwitł mu czerwonymi dzwoneczkami bożonarodzeniowy kaktus, a pod nim stał kołowrotek z Karkonoszy. Zrobił sobie w swojej ulubionej jugosłowiańskiej dżezwie kawę czarną jak noc i poszedł do pokoju, który dzielił ze swoim ukochanym synkiem Hubkiem. Mieli tam biurko z czaszką i skrzyżowanymi obojczykami, na ścianie w szklanej witrynce kolekcję pięknych motyli, jakby wciąż szykujących się do lotu, aromatyczny tytoń Prince Albert i fajkę Flamidor z Paryża. A nad niskim łóżkiem, które przypominało prostą wojskową pryczę, wisiały chorągiewki wszystkich klubów, z którymi grała Dukla. Było to właściwie takie małe boisko, nad którym nieustannie i uroczyście powiewały flagi. Na tej z Rio de Janeiro wschodziło słońce, na innej mknął gwiżdżący kowboj z gitarą, na trzeciej wzburzał się ocean, na czwartej widniała czterolistna koniczyna na szczęście, a na kolejnej były pomarańcze i banany. A na ostatniej słońce zachodziło. Wziął ciepłą kąpiel i schował się pod kołdrę. Było mu zimno i niedobrze, więc zażył krople Rowatinex. Po raz pierwszy, od kiedy miał kocicę Basię, ona sama weszła pod jego koc, wsunęła mu głowę pod ramię i mruczała. Chciała mu pomóc, jakby czuła, że pan odchodzi dokądś, skąd już nie wróci. A on jako lekarz również to poznał. Zadzwonił po Annie. Przyszła, wzięła go za rękę, a on zamknął oczy i umarł. Pękła mu aorta, najważniejsza tętnica ciała, pękła tak, jak czasami pęka serce. Być może od dziesięciu lat nosił tę śmiertelną chorobę, nikt

o tym nie wiedział, a niektórzy wciąż zawracali mu głowę katarem i obtarciami. Ubrali go w mundur galowy i wynieśli obok tych osiemnastu fioletowych papug. Wciąż były równie piękne jak wtedy, gdy przyprowadził tu Annie.

Teraz swojego lekarza biorą na ramiona piłkarze. Piłkarzy nosili na rękach kibice, ale lekarza odniosą sami. Niosą go po raz pierwszy. I ostatni. Jest lekki jak śnieg, który zaczyna prószyć z nieba. To ostatnia przysługa, jaką mogą mu wyświadczyć. Jego ojca Huberta nieśli i odprowadzali żołnierze, szli obok trumny, mieli opuszczone karabiny, a orkiestra grała marsze wojskowe. Dziś powinno tu zabrzmieć:

– Czy u siebie, czy gdzieś w gościach, naszym chłopcom nikt nie sprosta…

Myślą o słowach i zdaniach, które mu mówili, i które on mówił im:

– Grzana, boli mnie coś.

– Źle by było, gdyby cię nic nie bolało.

– Zęby robię jak rzeźnik, ale tobie zrobię je z prawdziwym uczuciem.

– Dam ci szwajcarski lek, bardzo trudno go zdobyć.

– Panie doktorze, przecież to jest witamina B.

– Musisz walczyć bez nich. Nie powinieneś przyzwyczajać się do tabletek. Nie mogę dawać ci ich na każde zawołanie. Wiesz, jakbym skończył?

– Grzana, jakoś mi dziś tak smutno.

– Zagramy partyjkę w karty. O kawę. To ci pomoże. Zrobię ci tę kawę po meczu. Prawdziwą, brazylijską. Mam ostatnią od Pelégo.

– Zgoda, doktorze. A jeśli wygramy, jak będzie z dziewczynami?

– Z dziewczynami można tylko w poniedziałek, wtorek i w środę. Dobrze wiesz, a ciągle o to pytasz.

A potem rozdziera się niebo i zaczyna padać śnieżne pierze. To dlatego, żeby żołnierze i piłkarze, którzy w innych sytuacjach nie mogą, mogli płakać, ponieważ mają wymówkę, że wpadły im do oczu płatki śniegu. I chyba wszyscy zaczynają płakać. Tylko komuniście Brumowskiemu, nazywanemu generał Fujidenki, ciężko się płacze, przeszkadzają mu sztuczne soczewki. I te łzy też są jakby sztuczne, lecz w rzeczywistości są prawdziwe jak czeskie granaty.

A jakie oczy miał Hubert? Niebieskie czy szare? Nie mogę sobie przypomnieć. Dlaczego ludzie tak rzadko przyglądają się kolorowi oczu, skoro dobrze wiedzą, że konwalie są białe, a niezapominajki niebieskie. Jego syn Hubek wie i żona Annie wie. Miał niebieskoszare. A może były niebieskie, a później się zestarzały?

Wiecie, Hubert uwielbiał karty. W kieszonce nosił medalionik z Dzieciątkiem Jezus, a w kieszeni trzydziestu dwóch pięknych rozbójników: biegnącego koziorożca, trębacza z psem, giermków i bębniarzy, króla i poddanych. A on sam był zbójem Sarka Farka. W Kostaryce skonfiskowano mu kiedyś asa żołędnego – podobno czerwony szpetny sfinks z niebieskimi uszami był podobny do tamtejszego prezydenta. To była potwarz. Przekonał policjantów, że póki nie będzie mieć trzydziestu dwóch kart, nie zagra ani partyjki, więc w końcu mu tego asa oddali. Zawsze mawiał też: za darmo nie gram! Grało się więc o olbrzymie kwoty. Minimalnie o kawę. Kto wygra dwanaście razy, da temu drugiemu trzy korony. Grało się o czekoladę z rodzynkami i o rumowe pralinki. Czasami oszukiwał, a jeśli nikt go na tym nie przyłapał, cieszył się jak dziecko. A zazwyczaj nikt go nie przyłapywał, żeby nie psuć mu tej radości. A kiedy chciał rozweselić jakiegoś piłkarza przed meczem, pozwalał mu wygrać. I dawał mu kawę od Pelégo. Potem została mu już tylko pusta puszka, którą napełniał zwykłą kawą ze sklepu

samoobsługowego w Libni, ale i tak wciąż była to kawa od Pelégo. Raz, kiedy jechali na mecz gdzieś niedaleko, chłopcy zajrzeli do jego lekarskiej torby. Miał tam tylko watę i trzydziestu dwóch rozbójników. Już ledwo tę torbę nosił, zostawił w niej więc tylko to, co było naprawdę niezbędne. A wiecie, że Hubert zaprzedał się diabłu? Kiedy Dukla długo nie mogła strzelić gola, zostawiał na ławce Kolskiego, Musila albo Wojewodę i mówił, że idzie czarować. Podchodził do bramki rywala, a potem często zdarzało się, że piłka lądowała w siatce.

– To nic takiego – twierdził. – Muszę im tylko pokazać, gdzie są te dwa drągi, a na nich trzeci. I że mają tę piłkę przekopać między nimi, tak jak uczyli ich w piłkarskiej szkole ogólnokształcącej.

Komu właściwie zaprzedał się Hubert?

Diabłu? Dukli? Bogu?

Chlapa. Ulewa. Śnieg.

Piłkarze dotarli do rodzinnego grobowca, gdzie spoczywa ojciec i matka Huberta. Z daleka dociera do nas mowa kapitana Dukli – Rudolfa Kocka. Wiatr porywa jego słowa w przestworza. Prawdopodobnie dziękuje Hubertowi za to, co zrobił dla futbolu i dla klubu. Duchowny Oldřich Gengela modli się za zmarłego, żeby ziemia była mu lekką, i żeby Bóg wybaczył mu słabsze momenty i obdarzył duszę spokojem.

Na chwilę się rozpogadza. Po obu stronach grobowca rosną dwie piękne brzozy i rząd tui, tych cmentarnych krzewów, co nigdy nie gubią igieł. A obok nich twarze, które powinienem znać. Czarna twarz z białymi alabastrowymi zębami. Pelé. Pewnie przyleciał prywatnym samolotem. Obok niego ta piękna toreadorka z Meksyku. Zawodnik belgijskiego Royal Crossing Club – Josef Masopust. Wszyscy mają w oczach stopniałe płatki śniegu, trzymają białe chusteczki i machają swojemu doktorowi, który już dopływa na drugą stronę rzeki Acheron i wkracza w zaświaty.

Pochylam głowę i chcę znów zobaczyć te twarze. Już ich tam nie ma. A może w ogóle ich tam nie było? Przywidziało mi się? Grobowiec jest zakryty. To dziwny grób, jeszcze takiego nie widziałem. Kamień pochodzi z resztek pozostałych po budowie fundamentów katedry świętego Wita. Lecz nigdzie nie jest napisane, kto śni pod nimi swój wieczny sen. Tylko na kawałku granitu, który jakby wyrastał z ziemi, leży pośmiertna maska ojca Huberta. Ma brązowe zmarszczki. Oczy również są brązowe. Kiedy pada deszcz, z tych brązowych oczu płyną łzy.

Złota róża

Pani Benda zamierzała właśnie zająć się kolacją, w ręce trzymała chrust i chciała wcisnąć go do otwartego pieca. Ktoś zapukał do drzwi, krzyknęła:

– Proszę! – I odwróciła się na wiklinowym stołku, żeby zobaczyć, kto przyszedł. W progu stał szczupły mężczyzna, najwyraźniej przed drzwiami zdjął z głowy niebieski filcowy kapelusz, na sobie miał żółtawy prochowiec. Nie pochodził z ich miasteczka, kobieta znała tu każdego, miasteczko było nieduże, a ona przez kilkadziesiąt lat pracowała w urzędzie, zanim przeszła na emeryturę. Z krzesła stojącego przy piecu wzięła okulary i włożyła je, żeby lepiej przyjrzeć się gościowi. Był blady. Powinien przywitać się od razu, ale minęła wieczność, nim wydusił z siebie:

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

Chwilę przestępował z nogi na nogę, a potem zapytał:

– Pani Benda?

– Tak. W czym mogę pomóc?

– Proszę pani, ja przyjechałem z Pragi. Przyjechałem pani powiedzieć, że pani Zdeniek zginął trzy dni temu na Kaukazie.

Obróciła się, wcisnęła wiązkę gałązek pod kuchnię i zapaliła ją. Mężczyzna w żółtym prochowcu drżał, nie wiedział, co jeszcze mógłby

powiedzieć i chciał odejść, ponieważ zadanie, które przydzielono mu w Pradze, wypełnił. Był przekonany, że dobrze się spisał, bo uniknął długich wstępów przygotowawczych, mogących przyprawić człowieka o zawał. Dodał jeszcze:

– Kiedy tylko dowiemy się czegoś więcej, damy pani znać, proszę pani.

Nie powiedział nawet *do widzenia*, tylko otworzył i cicho zamknął za sobą drzwi.

Pani Benda została sama. Zostawił ją w tym początkowym stanie, kiedy nie docierało do niej jeszcze w pełni, co się stało. Znów obróciła się na stołku, żeby ponownie przyjrzeć się temu mężczyźnie. Przy drzwiach nie było już nikogo, ale ona wiedziała, że ktoś tam przed chwilą stał i że powiedział to. Właściwie czekała na niego od kilku dni, od kiedy przestała dostawać od Zdeńka wiadomości; czekała na niego od lat, od dnia, kiedy Zdeniek przeskoczył płotek, pod którym kwitły róże, i powiedział cicho:

– Mamo, ja będę się wspinać. Mogę, prawda?

Drżała o niego zawsze, gdy wyruszał w góry. Kiedyś wrócił ze złamanym palcem, kiedy indziej ze zwichniętą nogą. Ale zawsze pojawiał się, żeby jej o tym powiedzieć, nigdy nie przychodził nikt obcy.

Dziś przyszedł obcy człowiek i to był koniec.

Było tak jak wtedy, kiedy przyszli powiedzieć jej, że zginął Wacław. Mąż pani Bendy był największym specem od piorunochronów w całym województwie. Każdy piorunochron montował na dachu inaczej: brał pod uwagę wilgotność, pobliskie drzewa i inne czynniki. Często wchodził na wysokie i strome dachy. Na początku korzystał z zabezpieczeń, ale po tych wszystkich latach chodził już bez nich, jak w cyrku, a dzieci i dorośli obserwowali to i bali się za niego.

Tamtego dnia otworzyły się drzwi i stanął w nich przewodniczący komitetu powiatowego, najlepszy kolega Wacława – Józek Dolejsz. Już

w progu zaczął płakać. A ona, wiedząc, że Wacław montuje piorunochrony na nowej szkole wyższej, powiedziała:

– Nie płacz. To musiało się kiedyś stać.

Pochowała męża i poświęciła się w całości dziecku. Załatwiła mu nauczyciela gry na gitarze i opłacała panią profesor od języków obcych. Oszczędzała na sobie. Ale Zdeniek o tym nie wiedział, żył jak w pałacu. Całe miasteczko było z niego dumne. Zdał maturę z wyróżnieniem, na medycynę dostał się z jednym z najlepszych wyników. Był piękny jak książę z bajki o Różyczce – śpiącej królewnie. W ogródku pani Bendy też zawsze królowały żółte i czerwone róże. Zdeniek lubił szczególnie te żółte – woził je do akademika i trzymał je tam aż do sobotniego powrotu do domu. Przeskakiwał płot, przechodzeniem przezeń nie zawracał sobie głowy, i krzyczał tak jak wtedy, gdy był mały:

– Mamo! Mamo!

Kiedy przyjeżdżał, dziewczęta z miasteczka zaczynały defilować pod ich oknami. A on, jak większość przystojnych chłopców, prawie nie zwracał na nie uwagi i grał w pustej mansardzie na gitarze, śpiewał piosenki o górach.

Tych gór pani Benda bała się najbardziej. Zdeniek był właściwie bardzo podobny do ojca. W tamtych czasach na ziemi nie miał gdzie rozwinąć skrzydeł, a jego wciąż ciągnęło w górę.

Po czterech dniach znaleziono koło pieca panią Bendę nieprzytomną.

W szpitalu nie chciała jeść. Wstrzykiwali jej glukozę i dopiero kolega Zdeńka, który odbywał w szpitalu staż, przekonał ją, żeby coś zjadła.

W domu, kilka dni później, znalazła karteczkę, że ma się stawić na poczcie. Czekały tam listy alpinistów, którzy byli ze Zdeńkiem na Kaukazie i przywieźli jego rzeczy. I czekał tam również list, w którym zakład

ubezpieczeń informował, że posyła pani Bendzie za Zdeńka trzydzieści tysięcy koron.

Stała przy okienku i patrzyła na urzędnika liczącego zielone banknoty. Powiedziała mu:

– Dziękuję.

Zmierzył ją przenikliwym wzrokiem, być może zastanawiał się, co ta kobieta kupi sobie za swojego syna.

Wyszła z budynku. Zapadał zmrok, słońce chowało się za góry. Wolnym krokiem szła za miasto, gdzie płynął górski potok. Wyjęła z torebki pieniądze i puściła pierwszy banknot z prądem rzeki. Kiedy opadał na czystą taflę wody, wystraszył pstrąga, który wyskoczył spod kamienia nad powierzchnię i wzbił w powietrze mnóstwo kropel.

A potem puszczała na wodę jeden banknot za drugim.

Wiatr unosił papierki na środek nurtu, gdzie przez chwilę tańczyły na falach, po czym znikały w półmroku i w dali. Potem pani Benda wróciła do domu i weszła do tego najwyżej położonego pokoju, który był całkiem pusty, jedynie pośrodku leżał papierowy transparent napisany przez podekscytowanego Zdeńka:

BÓJ SIĘ NAS, GÓRO ŚMIERCI.

Podniosła ten wielki arkusz, wepchnęła go do pieca i podpaliła. Następnego dnia wieczorem wybuchło w miasteczku wielkie poruszenie. Tutejsi chłopcy podobno znaleźli w rzece skarb. Wykupili cały sklep z zabawkami, papierniczy, cukiernię i mięsny, rozlegały się strzały z zabawkowych pistoletów i karabinów, lody też były wyprzedane, a kiełbasę jadło się bez chleba. Kilkoro mieszkańców, którzy akurat żadnych pieniędzy nie znaleźli, żądało wszczęcia śledztwa i skonfiskowania gotówki.

Lecz zanim do tego doszło, pieniądze zostały wydane.

Do pani Bendy również dotarła wieść o tym wydarzeniu i kobieta poszła przyjrzeć się radości. Usiadła na ławce i patrzyła na dopust boży, z którym żaden odpust nie mógłby się równać.

Pomyślała, że tak właściwie te dzieci bawią się z jej Zdeńkiem.

Obok przeszedł pan poczmistrz, który z tym przenikliwym spojrzeniem wypłacał jej pieniądze, a kiedy ją teraz zobaczył, nagle gdzieś się ulotnił. Po chwili wrócił, usiadł obok i położył jej na kolana bukiet późnych fiołków. Nawet tego nie zauważyła, wciąż patrzyła na te dzieci i po raz pierwszy w ostatnim czasie uśmiechnęła się. Baloniki jeden po drugim leciały ku niebu i wznosiły się może nawet do samego Pana Boga.

Kiedy doszła do siebie, wypłaciła wszystkie oszczędności, zaprosiła rzemieślników i urządziła dla Zdeńka ten pokój na górze. Ściany i sufit kazała obłożyć drewnem i wstawiła tam biblioteczkę, w której ułożyła wszystkie alpinistyczne książki syna.

U szklarza – pana Fojtika zamówiła ramy na zdjęcie Zdeńka wspinającego się na ściankę i duże zdjęcie ulubieńca syna – Austriaka Hermanna Buhla, który zginął w Himalajach na Czogori. Na fotografii Buhl przechodzi nad siedmiusetmetrową przepaścią po lichym mostku, niezbyt godnym zaufania.

Dopiero potem napisała do alpinistów, żeby przywieźli jej rzeczy syna. Przywieźli kosz, który Zdeniek zostawił w obozie, zapasowe buty, plecak.

Opowiedzieli jej o ostatnich godzinach syna i o lodowcowej Górze Śmierci, której nie zdobył jeszcze żaden alpinista. Zdeńkowi i Karolowi prawie się to udało. Wyruszali oczarowani wizją zdobycia tego szczytu i żegnali się, jakby mieli wrócić następnego dnia rano. Lecz nie wrócili nigdy.

Wyprawa ratunkowa ich nie odnalazła. Wyciosali im z kamienia mały nagrobek, na którym wyryli ich nazwiska.

Najprawdopodobniej lodowiec rozstąpił się i ponownie spoił, a oni zostali uwięzieni w środku. Według naukowców lodowiec kurczy się i topnieje, więc kiedyś góra wyda ich z niewoli, a oni powrócą niczym mityczne postaci z krainy lodu. I będą wyglądać tak, jak wyglądali, każda nitka, każdy guzik, tylko nie będą mogli mówić. Będą martwi od pięciu tysięcy lat.

Trzy miesiące przed rocznicą śmierci Zdeńka pani Benda wysłała do Pragi taki oto list:

Szanowni Alpiniści,
wkrótce minie rok od śmierci mojego syna Zdeńka i jego przyjaciela Karola. Chciałabym zapłacić alpiniście, który poleciałby w te góry i zawiózł Zdeńkowi kwiaty z mojego ogródka. Bardzo Was proszę.

Z poważaniem,
Benda

Odpisali jej:

Szanowna Pani,
bardzo nam przykro, ale spełnienie Pani prośby nie jest możliwe. Nie znaleźliśmy nikogo, kto mógłby złożyć tam kwiaty.

Darz Gór!
Kręcina

Kiedy pani Benda otrzymała odpowiedź, zaczęła w pokoju Zdeńka studiować trasę. Załatwiła sobie paszport, zamówiła w Pradze bilet lotniczy i kupiła buty do wspinaczki górskiej, puchową kurtkę, czekan i linę.

Sama wyruszyła do tej góry. W walizce miała niemal wyłącznie sprzęt wspinaczkowy. Na wierzchu w plecaku leżał bukiet żółtych róż owiniętych wilgotną ściereczką.

Leciała w olbrzymim samolocie i w wielkim błękicie, pod nią była ziemia, a ona była wysoko nad nią. Przywieźli ją do obozu górskiego, który nie wyglądał źle, stały tam namioty, świeciły się lampy, grało radio.

Do rocznicy śmierci Zdeńka zostały dwa dni. Następnego ranka poinformowała kierownika obozu, że wyrusza na poszukiwanie rzadkich kwiatów i że jeśli nie wróci do zmroku, przeczeka noc w jakimś szałasie.

Napełniła termos herbatą, wzięła pół chleba i kawałek boczku, który zimą dostała od sąsiada ze świniobicia. Na dno plecaka włożyła buty do wspinaczki, potem puchową kurtkę, linę i czekan. Sama nie była w stanie nawet włożyć tego plecaka na plecy, był zbyt ciężki na jej sześćdziesiąt lat.

Wyruszyła w stronę morderczej góry. Według mapy i wskazówek ludzi pytanych po drodze, powinna odnaleźć ją bez problemów, leży po lewej stronie, jakieś pół kilometra od szlaku, zupełnie sama.

Pani Benda szła już długo. Od słońca piekły ją oczy, więc spuściła wzrok i patrzyła tylko na swój szlak.

W południe ukroiła sobie pajdę chleba, plasterek boczku i popiła to herbatą. Skuliła się w kłębek, żeby odpocząć, wydawało się jej, że nie ma sił, by iść dalej. Paliło ją w piersiach, nie mogła złapać tchu. Plecak był zbyt ciężki, przeglądała jego zawartość drobnymi palcami – co mogłaby tu zostawić i wziąć w drodze powrotnej. Na co jej będzie lina? Położyła ją więc na szlaku, zwiniętą jak jakiś dziwny wąż, który nikogo nie skrzywdzi. Potem ruszyła dalej, a po południu między kamieniami przy ścieżce postawiła czekan, żeby widzieć go z daleka w drodze powrotnej.

Jej góra leżała jeszcze dalej.

Kiedy się ściemniło, zjadła kolację i popiła ją. Otuliła się kurtką, a na nogi w miejsce skórzanych mokasynków włożyła mocne drogie buty do wspinaczki, żeby w nocy nie przemarzły jej stopy. Zwinęła się w kłębek i wzięła w ramiona owinięte róże, żeby uchronić je przed chłodem. W nocy śniło się jej, że umarła. Była to piękna śmierć, jaka zdarza się tylko we śnie. Przyszedł do niej Zdeniek i powiedział:

– Mamusiu, teraz będziemy spać razem.

Obudził ją chłód. Czuła, jak zamarzają jej nogi. Poczekała do świtu, już nie jadła, tylko napiła się herbaty i wyruszyła w dalszą drogę.

Wzeszło słońce. Wciąż szukała Góry Śmierci. Przypomniała sobie o różach – że je również powinna napoić. Zeszła do małego źródełka, wyjęła róże, skropiła je wodą, a potem namoczyła ściereczkę. Tę ściereczkę przyłożyła na obolałe oczy, położyła się na kurtce i odpoczywała. Pomogło, znów widziała lepiej.

Po południu zostawiła przy szlaku buty wspinaczkowe. O zachodzie słońca ujrzała tę górę. Było dokładnie tak, jak mówili ludzie – nie dało się jej przeoczyć. Znała ją z dziesiątek opisów i fotografii. To była Góra Śmierci. Kiedy tak topniała pod wpływem słońca, jej ściany pękały i dudniły.

Zeszła ze szlaku i ruszyła wprost ku niej. Po drodze napotkała mnóstwo szczelin i rozpadlin. Ale wciąż zbliżała się ku górze. Kiedy znalazła się w jej bezpośredniej bliskości, ujrzała przepaść, w której huczała woda. Znalazła mały mostek na drugą stronę. Był podobny do tego, po którym na fotografii przechodził najlepszy alpinista świata – Buhl. Zrobiła krok i zaczęła się bać. Stanęła. I w tym momencie jakby objawił się jej mąż Wacław i rzekł jej:

– Marysiu, Buhl robił z igły widły, ale to nic trudnego. To łatwizna. Na dachach miewałem dużo trudniejsze sytuacje.

A potem wydawało się jej, że Wacław kroczy razem z nią i trzyma ją za rękę. Przeszła na drugą stronę i zobaczyła nagrobek. W granitowym kamieniu wyciosano:

ZDENĚK BENDA
KAREL HNÍZDIL
† 12.06.1967

To było dokładnie przed rokiem. Usiadła i zmęczonymi oczami patrzyła na szczyt, jakby chciała wypatrzyć tam swojego Zdeńka, ukrytego w górze. Ale nigdzie niczego nie widziała, tylko białą górę, która przed wieczorem przestała wydawać dźwięki i ucichła. Była to góra piękna i dostojniejsza niż wszystkie inne góry, które widziała i o których czytała pani Benda. Emanowała silnym światłem i brakowało jej tylko złotej gwiazdy na wierzchołku. A więc tak wygląda grobowiec jej syna; grobowiec, jakiego nie mają nawet królowie i królowe.

Nie czuła wobec niej nienawiści. Odczuwała jedynie zmęczenie całym życiem. Chciała już wracać, lecz przypomniała sobie o różach. Odwinęła ściereczkę i położyła kwiaty na nagrobku.

A potem wyruszyła w drogę powrotną i znów przeszła przez ten mostek. Nie myślała już o panu Buhlu ani o mężu.

Obróciła się po raz ostatni.

Na białym śniegu było jeszcze widać róże. Świeciły szczególnym żółtym blaskiem, jakiego nigdy wcześniej nie widziała. Pilnowała ich piętrząca się za nimi góra. Olbrzymia piękna góra, wielka niczym wielka róża.

Zegarek

Czy potraficie sobie wyobrazić, jak bardzo się ucieszyłem, kiedy powiedziano mi po wojnie, że pojadę na wyścig do Szwajcarii? Przez całą wojnę startowałem tylko w czeskich i morawskich miastach, nawet Słowacja była dla mnie wtedy krainą wielką i nieznaną. Szwajcaria? Jak relikwię trzymałem w domu opakowanie po dużej tabliczce szwajcarskiej czekolady. Na kredowym papierze wydrukowane były białe góry, a pod nimi na jasnozielonej łączce pasły się wielkie czerwone krowy z dzwonkami na szyjach. Wiedziałem też, że w tym bajkowym kraju nie mają pojęcia, co to wojna, i że potrafią tam robić świetne zegarki.

Nie mogłem się doczekać. Przed wyjazdem startowałem jeszcze w wyścigu krajowym, brał w nim udział również francuski kolarz Otek, który urodził się i długo mieszkał w Czechach i który wygrał we Francji wielki wyścig Paryż – Reims. Mówiło się, że jest nie do pokonania i że jego przyjazd to dla czeskiego kolarstwa wielkie wyróżnienie. Ale ja nie czułem przed nim respektu i w tym czeskim wyścigu uciekłem mu aż o siedem minut. Otek był dość niski, łysy, po wyścigu podszedł do mnie i powiedział z pokorą:

– Byłeś nie do pokonania. W Szwajcarii będziesz faworytem.

I chyba naprawdę byłem dobry, ponieważ w kraju wygrywałem wszystko, jak leci. To pewnie dzięki tym chlebom i bułkom. Dziś już mądre

głowy wymyśliły, że zawodnicy powinni czasem trenować z ciężarkami, żeby potem podczas wyścigu, kiedy jadą bez obciążenia, czuć się lżej. Ja to wtedy robiłem nienaukowo, w koszu na plecach rozwoziłem chleby i bułki. I rzeczywiście – na zawodach bez tego kosza jeździło mi się lepiej. Nie bez wpływu pozostawało też na pewno to, że nawet podczas wojny jadłem normalnie, w ogóle nie głodowałem jak inni chłopcy. Miałem dobrą kolarską posturę, byłem wysoki, same mięśnie i ścięgna, a płuca wielkie jak dzwon, no po prostu miałem wszystko na swoim miejscu.

Do tej Szwajcarii pojechaliśmy ciężarówką taty Józka. Zamontował nam na dachu takie świetne ławki, z których mieliśmy widok na całą okolicę. Najpierw krajobrazy czeskie, a potem niemieckie. Byliśmy cudownie młodzi, a przed nami jak w jakiejś bajce otwierał się cały świat. W Niemczech krzyczeliśmy do żołnierzy angielskich i amerykańskich, a oni nam odkrzykiwali. Czuliśmy się jak wielcy zwycięzcy. Potem śpiewaliśmy mnóstwo różnych piosenek i było nam wspaniale. Krajobrazy robiły się coraz piękniejsze, a kiedy wjechaliśmy do Szwajcarii, moje wyobrażenia o tym kraju potwierdziły się w stu procentach. Góry jak olbrzymie domy, a pod nimi samotne stare mocne świerki, a jeszcze niżej łąki z dokładnie takimi samymi czerwonymi krowami, jak na tym opakowaniu po czekoladzie, które miałem w domu.

W Zurychu zakwaterowali nas w luksusowym hotelu, na podłodze leżały grube dywany, a każdy pokój miał swoją łazienkę z wanną wpuszczoną w wykafelkowaną podłogę. Ściany łazienki wyłożone były lustrami, więc człowiek widział się tam z każdej strony. Stałem nagi i obserwowałem się w tych lustrach, był ze mnie chłopak niczego sobie, wszystko miałem jak należy. Potem wszedłem do wanny, puściłem na siebie gorącą wodę i zastanawiałem się, jak dziwiłaby się moja mama, gdyby mnie tu zobaczyła.

Po fantastycznej kolacji poszedłem się przejść z Myszką, który miał startować w wyścigu szosowym razem ze mną. Skręciliśmy w taką wąską uliczkę, a na jej końcu znajdował się sklep z wystawą pełną luksusowych zegarków. Oglądałem je po kolei, aż nagle moje serce po prostu stanęło. Na pluszowej poduszeczce błyszczał złoty okaz. Przycisnąłem nos do szyby i przeczytałem nazwę producenta: OMEGA. A potem szepnąłem Myszce:

– Ja pierdzielę, patrz na ten zegarek! Widziałeś kiedykolwiek na tym bożym świecie coś równie pięknego?

Myszka pokręcił głową. Stałem przy tej wystawie chyba z pół godziny. Myszka musiał mnie stamtąd dosłownie odciągać. Nigdy nie miałem zegarka, a teraz strasznie zapragnąłem go mieć. W naszej rodzinie był tylko jeden przedwojenny zegarek na rękę, ale ciągle się późnił – po rewolucji tata wymienił go z jednym rosyjskim żołnierzem na worek cukru. Ale ten zegarek na wystawie pochodził z innego świata, byłem pewien, że takiego czegoś nie nosi na ręce nawet nasz prezydent. Ze stoperem. No i złoty. Wieczorem leżałem w łóżku pod mięciutką kołdrą, a przed oczami wciąż miałem tę pluszową poduszeczkę.

Następnego dnia pojechaliśmy na rowerach na start.

Słońce na szwajcarskim niebie grzało, a ja czułem, że jestem w doskonałej formie. W tym zamieszaniu zapomniałem o zegarku, myślałem tylko o tym, jak mam jechać. I jeszcze o tym, żeby wypróżnić się przed startem i żeby nalać do bidonów herbatę. Kiedy już to wszystko zrobiłem, stałem w pobliżu linii startowej z Myszką i tatą Józkiem i obserwowałem, jak zjeżdżają się kolarze wszystkich możliwych narodowości. Przyjazd na start w czystych strojach zawsze jest taką małą uroczystością. Prawie wszyscy mamy koszulki w innych barwach, do tego czarne bawełniane spodenki, a na nogach śnieżnobiałe getry i czarne kolarskie buty.

Nagle spostrzegłem Otka, podobno przyleciał wczoraj z Paryża. Uśmiechnął się do mnie przyjaźnie i zaczął przedzierać się w naszym kierunku. Był wspaniale wyszykowany – w niebiesko-białej koszulce siedział na cudownym żółtym rowerze LA PERLE. Przywitał się z nami i odciągnął mnie na bok.

– Marcin, wszystko załatwiłem. Jeśli byś przypadkiem wygrał, od razu daj mi swój rower i łap za mój. Oni zrobią ci z nim zdjęcie i dostaniemy za to kasę.

Wywaliłem na niego oczy, przecież niczego takiego nie uzgadnialiśmy. Ale nie byłem w stanie nic powiedzieć, bąknąłem tylko, że zgoda, ponieważ natychmiast przypomniał mi się ten złoty zegarek, a to była szansa, żeby go zdobyć. Czasem robi się takie rzeczy dla reklamy. Na przykład Louison Bobet jeździ na porządnym rowerze przemalowanym na jakąś kiepską firmę, od której Bobet dostaje pieniądze. A to dlatego, że potem zawodnicy i chłopcy zawsze pytają, na jakim rowerze jechał zwycięzca. I te modele najlepiej się sprzedają. Ja jechałem na czeskim rowerze FAVORIT, a po wyścigu miałem go dyskretnie zamienić na LA PERLE. Otek musiał być bardzo pewny swego, skoro dogadał się z tą firmą przed zawodami. Od tej chwili znów zacząłem myśleć o tym złotym zegarku.

Przyglądałem się rywalom, czapki z głów, cóż to byli za rzemieślnicy. Szwajcar Meisner, Francuz Chéron, Belg Kreyzel. Mnie i Myszki nikt nie traktował tu poważnie, tylko Otek uważał, że w obecnej formie jestem faworytem. Reporterzy nie pstryknęli nam ani jednego zdjęcia, co trochę mnie zabolało i zaczęła mnie ogarniać zdrowa sportowa złość.

Trasa wyścigu obejmowała osiem dwudziestokilometrowych okrążeń, czyli łącznie sto sześćdziesiąt kilometrów.

Wystartowaliśmy.

Jak zawsze na początku jechaliśmy w grupie, Myszka trzymał się moich pleców, Otek został gdzieś z tyłu, przewidywał, że w pierwszej połowie wyścigu nie będzie się nic działo. Natomiast ja jechałem na początku, a chwilami nawet na szpicy peletonu i nadawałem tempo. Mimo iż znajdowałem się na czele, żaden z tych wielkich rzemieślników nie traktował mnie poważnie, byłem dla nich anonimowym kolarzem. Uświadomiłem sobie, że później może mi to bardzo pomóc.

Jechało mi się dobrze i czułem, że jestem w świetnej formie. Pogoda była cudowna, przerzutki cicho brzęczały, a ja miałem nawet czas, żeby rozejrzeć się wokół. Przy każdym okrążeniu przejeżdżaliśmy przez taką malowniczą wioseczkę ze szpiczastym kościółkiem, a potem wzdłuż brzegu wielkiego niebieskiego jeziora, nad którym stała elektrownia i wielkie maszty z kablami elektrycznymi. Pomyślałem o wspaniałym chłopaku – mechaniku Franku. Gdy miał sześć lat, z takiego masztu spadł jego tata i zabił się. Kiedy Franek przejeżdżał obok takich konstrukcji, zawsze smutniał, a w jego oczach pojawiało się coś, jakby niemy wyrzut wobec tych masztów. Przy trzecim okrążeniu Myszka odpadł. Może i mogłem mu trochę pomóc, ale nie chciałem ryzykować, musiałem utrzymywać kontakt z czołem peletonu.

W czwartym okrążeniu zobaczyłem, jak Myszka rzyga na poboczu. Był blady jak śmierć, a głowę miał zwieszoną między kolanami, obok leżał rzucony rower.

Mnie osobiście wyścig wydawał się wręcz powolny, więc w piątym okrążeniu urwałem się ze Szwajcarem Meisnerem. Nikt nas nawet nie gonił, ponieważ do mety pozostało jeszcze ponad sześćdziesiąt kilometrów. Lecz Szwajcar niezbyt wierzył w moje umiejętności, nie uważał mnie za godnego partnera. Po prostu nie chciał ze mną jechać i pedałował jakby od niechcenia. A ja zacząłem cisnąć na całego. Ale ucieczka, w której jeden

haruje, a drugi ma wszystko gdzieś, jest z góry skazana na niepowodzenie. Byłem wkurzony, nadzieja na zwycięstwo, a tym samym również na zegarek, malała. Mogłem jechać sam, ale pokonanie takiej trasy samemu, bez czyjejkolwiek pomocy, byłoby czystym szaleństwem, nie byłem aż tak dobry, żeby móc to wytrzymać.

Dlatego również zwolniłem, a peleton dogonił nas na szóstym okrążeniu. Otek krzyczał do mnie:

– Uciekłeś za szybko!

Na siódmym okrążeniu urwał się Włoch i Belg, ale po pięciu kilometrach ich dorwaliśmy. Zaczynała się walka o wszystko, tempo było szybkie, wszyscy pedałowali pełną parą i odpadał jeden kolarz po drugim.

Wjechaliśmy na ostatnie okrążenie.

I teraz okazało się, jak przydatna może być moja anonimowość. Na tym ósmym okrążeniu zaatakowałem z głębi peletonu i nikt mnie nie gonił. Spojrzałem za siebie – miałem dobrych sto metrów przewagi. Spuściłem głowę i pedałowałem jak szalony. Krajobrazy przestały dla mnie istnieć, widziałem tylko szary pas asfaltu przed sobą – płasko – zakręt – wzniesienie – zjazd – zakręt – zakręt… Na poboczu przybywało ludzi, coś do mnie krzyczeli. Za mną szumiały już silniki wozów technicznych, a to oznaczało, że dystans między mną i peletonem zwiększył się na tyle, że mogły tam wjechać auta. Mięśnie i płuca pracowały mi doskonale, wdychałem powietrze i głośno je wypuszczałem. Bardzo długo jechałem sam, aż wreszcie wyprzedził mnie motocykl z tablicą, na której napisane było, że mam „2 MINUTEN", czyli dwie minuty przewagi. Coś wspaniałego! Do mety zostało jakieś pięć kilometrów. Potem zacząłem się bać, żeby nie nawalił mi rower. Przecież w Rokycanach w tej unarodowionej fabryce robią je praktycznie na kolanie, pracował tam właśnie ten mechanik Franek, a uczyli go po prostu robotnicy z większym

stażem. Być może ci faceci rzeczywiście mieli, jak to się mówi, złote czeskie ręce, ale ich rowery nie były zbyt wiele warte, brakowało odpowiednich materiałów, hamulce często szwankowały, przerzutki też nie należały do nowoczesnych. Przyłapałem sam siebie na słowach:

– Boziuniu, proszę cię, niech mi się nic nie stanie. Bardzo cię o to proszę.

Wytrzymałem tę ucieczkę aż do mety.

W peletonie za mną przyjechał uradowany Otek. Zsiadł z roweru i leciał w moją stronę:

– Wiedziałem, że wygrasz. Dawaj rower!

I wtedy przyszła mi do głowy taka głupia myśl, że ta zamiana byłaby niewdzięcznością wobec mojego roweru, który wytrzymał cały ten trudny wyścig. Przypomniały mi się też te maszty nad niebieskim jeziorem i smutne oczy Franka – co by powiedział na to, że ich FAVORITA, z którego był taki dumny, zamieniłem na LA PERLE. Co by pomyślał sobie stary Piotr, który zawsze przykładał się do produkcji czeskich rowerów i który poświęcił im całe życie. Cofnąłem się i przyciągnąłem swój rower do siebie. Otek spojrzał na mnie przerażony i totalnie zaskoczony.

Potem było wręczenie medali i sesja zdjęciowa. Za zwycięstwo dali mi wieniec wawrzynowy. Pieniędzy żadnych. I w ten sposób sam definitywnie odebrałem sobie ten zegarek.

Olimpiada

Jakub Nowak, redaktor dziennika „Nowy Świat", siedział na werandzie domku letniskowego nad brzegiem Berounki i jadł śniadanie. Jego starsi synowie odlecieli już korytarzem powietrznym do szkoły, natomiast żona Julia z najmłodszym chłopcem Jurkiem poleciała do Pragi na olimpijskie zawody pływackie.

Jakub miał dziś wyśmienity humor. Rano łowił ryby w ulubionym szumawskim potoku, przyleciał tam o świcie, wykąpał się w górskiej wodzie, a potem wybrał i przymocował do swojej ulubionej różowej żyłki japońską muszkę Blue Star. Złapał pięć cudownych pstrągów i zdążył jeszcze wrócić swoim statkiem powietrznym do domu, żeby przygotować ryby chłopcom i Julii na śniadanie. Sam zjadł chrupiącą praską parówkę i popił ją CocaColą – napojem, który kiedyś wynaleźli Amerykanie.

Postanowił, że wyleci o dziesiątej. Do dziesiątej zostały dwie minuty. Wstał, ze sportowej szafki wyjął spodenki, koszulkę i buty do biegania. Wsiadł do dwuosobowego statku bezdźwiękowego i włączył silnik. Wzniósł się na wysokość dwustu metrów i poleciał na kameralny stadion lekkoatletyczny w Berounie. W powietrzu roiło się od bezdźwiękowych statków i olbrzymich samolotów, przybyły ich tysiące ze wszystkich kontynentów. Na szczęście już od dwudziestu lat dzięki specjalnemu urządzeniu nie dochodziło do żadnych wypadków.

Wyłonił się stadion.

Jakub wylądował na parkingu dla statków powietrznych, wysiadł z maszyny i nawet jej nie zamknął. Od zeszłego roku, kiedy wprowadzono statki na listę darmowych produktów, w ogóle ich nie kradziono. Na stadionie kilkadziesiąt osób biegało, skakało, rzucało, a wśród nich było wielu obcokrajowców trenujących przed olimpijskimi zawodami lekkoatletycznymi. Jakub przywitał się z doktorem Proszkiem z Berouna.

– Dzień dobry, doktorku, jak leci?

– To już nie to, co za młodu. Pięćdziesiątka na karku, więc nie biegam już tak szybko. A co u pana?

– Teraz trenuję tylko godzinę dziennie, ale zazwyczaj w lesie. Wolę polecieć na ryby lub iść do redakcji. Dziennikarstwo sprawia mi przyjemność, ale nie poświęcam mu więcej niż trzy godziny dziennie. Sport i ryby są dla zdrowia dużo ważniejsze.

Pożegnali się, doktor odjechał swoim zielonym wozem, a Jakub rozpoczął trening. Wciąż od nowa startował i wracał do bloku. Chciał jeszcze poprawić wybicie, ale ciągle tracił przy nim zbyt dużo czasu. Czuł, że jest w dobrej formie, mięśnie doskonale napinały się i pracowały. Wciąż był młody, miał trzydzieści siedem lat, startował jeszcze w zawodach. Ale nie traktował biegania jako głównego zajęcia. Najpiękniejszym, co robił, było dziennikarstwo, jego największa miłość. Tyle że za bardzo wyczerpywało mózg. Dziś musiał wyjść ze stadionu szybciej niż zwykle, ponieważ przed meczem jest umówiony na spotkanie w praskim hotelu Majestic z Gośćmi z planety F. Przebiegł ostatni odcinek i otarł pot z czoła. Z radością poszedł pod prysznic. W kabinie zdjął przepoconą koszulkę i spodenki, po czym puścił na siebie strumień gorącej wody. Ogarnęło go mdłe zmęczenie, nieprzyjemny kwaśny zapach potu zniknął, woda wciskała Jakuba w wykafelkowaną podłogę, najchętniej skuliłby się w kłębek

i pozwolił omywać się kojącemu prysznicowi. Przeżywał jedno z najprzyjemniejszych uczuć. Ten smak pięknego zmęczenia, potu wyciekającego z otwartych porów. Naprzemienne stosowanie letniej i przenikliwie zimnej wody z pewnością znali już rzymscy gladiatorzy.

Wsiadł do statku, włączył silnik. Zdecydował, że nie pójdzie dziś na obiad. Czasami męczyły go wystawne posiłki w susowych restauracjach. Mógłby zażyć dwie pożywne tabletki z cielęciny lub baraniny, ale na nie również nie miał ochoty. Woli pomarańcze, na obiad najchętniej jadł owoce. Machinalnie obierał skórkę i obserwował nieprzerwany sznur statków powietrznych lecących do Pragi. Skończył jeść trzecią pomarańczę i również wzbił się w górę – dołączył do statków zmierzających ku Nowemu Południowemu Miastu. Po treningu czuł się wspaniale.

W dole wyłoniło się Nowe Południowe Miasto Praskie. Domki i wille wśród zieleni sadów i lasu były niemal niewidoczne, wyraźnie zarysowywały się tylko największe budynki.

Jednym z nich był hotel Majestic.

Jakub wylądował na olbrzymim parkingu.

Przywitał się z portierem i wszedł do sali głównej, wypełnionej po brzegi. Goście z planety F w trakcie swojego miesięcznego pobytu nie powiedzieli o sobie prawie nic, tak jakby bali się mieszkańców Ziemi. Dziś mieli po raz pierwszy opowiedzieć o tym, jak na ich planecie uprawia się sport.

– Witamy redaktora Nowaka – przywitał Jakuba kelner i od razu postawił przed nim szklankę soku Racus, będącego jednocześnie prewencyjnym lekiem na raka. Oczywistym było, że kelner go zna, Jakub należał do najpopularniejszych osób w kraju.

Kiedy Goście z planety F weszli na salę, przywitały ich oklaski. Jakub znał ich już z transmisji telewizyjnych – ten tysiąclatek nazywał się Dot,

a jego trochę starszy kompan to Kan. Mierzyli dobre trzy metry, byli szczupli i wspaniali z tymi swoimi czerwonymi oczami. Jakub po raz pierwszy widział ich z bliska i odczuwał lekki strach. Ogarnęło go przerażenie na myśl, że tacy Goście mogliby zaatakować jego już bardzo pokojową planetę. Lecz obecnie nikt najwyraźniej się tego nie obawiał, ponieważ Goście zaraz po przylocie oświadczyli, że nie wiedzą, co to jest wojna. Kan odpowiadał na pytania wspólnym językiem całej Ziemi, czyli nauczył się go bardzo szybko. Opowiadał o tym, że jedynymi dwiema dyscyplinami uprawianymi na planecie F są biegi i jakaś piłka nożna.

Jakub żadnej z tych sensacyjnych wiadomości nie zapisał, bowiem wszystko, co zostanie tu powiedziane, dostanie przy wyjściu w formie wydruku.

Dziennikarz z Afryki poprosił o wyjaśnienie zasad piłki nożnej.

Kan wyjaśnił, że na wynik składa się ilość zdobytych bramek oraz ocena piękna gry.

Następnie Dot opowiadał o biegach na krótkie i długie dystanse. Wygrywa w nich zawodnik z najlepszym czasem, ale do wyniku wlicza się także współczynnik określający talent z czasów, kiedy biegacz zaczynał uprawiać sport. Na planecie F osiągano fantastyczne rezultaty. Odcinek o długości stu metrów przebiegali tam w niecałe trzy sekundy. Nawet tysiącletni Dot zaprezentuje na olimpiadzie sto metrów w cztery sekundy – jak pokazał to niedawno podczas zawodów w San Francisco. Ale na planecie F Dot bynajmniej nie należał do najlepszych sprinterów, zbyt dużo czasu poświęcał lotom kosmicznym.

Jakub zapytał, w jaki sposób na planecie F mierzy się talent. Odpowiedziano mu, że posiadają tam mierniki talentu we wszystkich F-dziedzinach.

Przy wyjściu Jakub Nowak wziął zapis rozmowy, pożyczył od recepcjonisty dyktafon i udał się na taras. Usiadł przy stoliku i zaczął nagrywać komentarz poświęcony sportowi na planecie F:

– Mieszkańcy planety F są ubożsi pod względem dyscyplin sportowych. Znają tylko dwie, ale pozostałe chcą wprowadzić na podstawie tego, co zobaczyli u nas na Ziemi. Wspaniały jest ich miernik talentu. Na planecie F zwycięzcą zostaje ten, kto podczas treningu i zawodów wykonuje największą pracę. Talent się odlicza, co bez wątpienia jest sprawiedliwe.

Jakub zakończył artykuł stwierdzeniem, że Ziemianie powinni wydobyć od Gości z planety F zasady działania mierników talentu.

Taśmę zaniósł sekretarce hotelu Majestic, a ona natychmiast wysłała ją pocztą rurkową do redakcji „Nowego Świata".

Potem Jakub poleciał na mecz piłki nożnej. Stadion widział już z daleka, topił się w powodzi śnieżnobiałych flag olimpijskich.

Zaparkował statek i ruszył w stronę trybuny prasowej.

Trybuny były pełne, na spotkanie Angola – Anglia przyszło ponad sto dziesięć tysięcy osób. Piłkarze już grali. Jakub zajął miejsce, ale mecz jakby w ogóle go nie interesował. Urzekł go natomiast widok jasnej murawy zalanej słońcem. Po niej, jak po ogromnej zielonej szachownicy, poruszały się białe i czarne figurki. Jakub zmrużył oczy i pozwolił, by jego duszę wypełnił spokój i błogość. Długo nie odwiedzał tego miejsca, dlatego ten obraz tak bardzo go podekscytował. Na razie nie chciał myśleć o grze, wystarczało mu, że jest na meczu.

Lecz po chwili jednak skupił się na boiskowych wydarzeniach. W tym meczu, w którym pokonany odpadał z turnieju, faworytami byli czarnoskórzy piłkarze Angoli. Na poprzedniej olimpiadzie pokonali Anglików. Kiedyś, w czasach, kiedy piłka nożna dzieliła się jeszcze na

amatorską i zawodową, Anglicy wygrali nawet mistrzostwa świata, ale to było dawno temu.

Angolczycy właśnie rozpoczynali atak.

Podawali sobie piłkę głowami, potem piętami, posyłali długie podania albo klepali między sobą.

Anglicy byli chwilami bezsilni.

Na czarnej tablicy pojawiały się nazwiska zawodników, którzy są akurat przy piłce. SULI – KAMEL – ALI – GOL. Kamel posłał Aliemu górną piłkę, a on przewrotką umieścił ją w okienku angielskiej bramki. Angolczycy wyszli na prowadzenie i od tej chwili całkowicie zdominowali przeciwnika. Rozgrywali piękne akcje i zbierali burzliwe owacje publiczności.

W przerwie meczu na tablicy pojawiały się wyniki zawodów lekkoatletycznych i pływackich.

Tylko jedno zdanie pozostało tu z wcześniejszych wieków – hasło Pierra de Coubertina:

W IGRZYSKACH OLIMPIJSKICH
NAJWAŻNIEJSZY JEST UDZIAŁ,
NIE ZWYCIĘSTWO,
PONIEWAŻ W ŻYCIU TO NIE WYGRYWANIE
JEST NAJWAŻNIEJSZE,
TYLKO WALKA.

Hasło towarzyszyło igrzyskom olimpijskim od wieków, ale w pełni zostało zrealizowane dopiero w obecnym stuleciu, bowiem dopiero teraz wszyscy mają do uprawiania sportu takie same warunki.

W olimpijskie szranki stawali, podobnie jak przed czterema laty, przedstawiciele wszystkich krajów świata. Nie tylko brali w nich udział, ale walczyli, tak jak chciał Coubertin. Nie istniał już podział na biedne i bogate narody. Od kiedy z dna mórz i oceanów wydobyto olbrzymie wartości materialne, a statki kosmiczne przywiozły z niezamieszkałych planet miliony ton wartościowego pożywienia, potwierdziło się, że doskonali sportowcy rodzą się również w krajach, które niegdyś były biedne. Skończyła się sportowa hegemonia Związku Radzieckiego i USA. Na tablicy za nazwiskami sportowców przewijały się nazwy krajów, które wcześniej nie zdobyły na olimpiadach ani jednego medalu.

MAROKO – PAKISTAN – MALI – AFGANISTAN – GRENLANDIA

Jakub niecierpliwie czekał, aż na tablicy pojawią się zwycięzcy biegu na sto metrów. Wreszcie rozbłysły świecące cyfry i litery:

Finał na 100 metrów:

ZAKI	SENEGAL	8,92
SALEM	INDIE	9,01
NEFAD	JORDANIA	9,03
CONRAD	USA	9,20
TROJNIKOV	ZSRR	9,22
DEMOKRITOS	GRECJA	9,29

Zatem bieg zakończył się zgodnie z oczekiwaniami. Wygrał światowy rekordzista – Senegalczyk ZAKI, który jako jedyny na świecie potrafił przebiec sto metrów w 8,80 sekundy. USA i ZSRR nie znalazły się na podium. Nazwisko Zaki leciało teraz przez świat, ale flagi Senegalu na

stadionie nie wywieszono, nie zagrano hymnu, bowiem zgodnie z uchwałą RADY ŚWIATOWEJ żaden naród nie mógł wywyższać się nad innymi narodami.

Rozpoczęła się druga połowa meczu.

Angolczycy znów atakowali. SULI urywał się obrońcom, dryblował, strzelał, a angielski bramkarz BRUKE odbijał jedną piłkę za drugą. Potem Anglicy wyrównali grę, białe i czerwone koszulki przesuwały się teraz z jednej strony na drugą, przypominało to sztandary trzepoczące na wietrze.

Trzy minuty przed końcem KAMEL strzelił drugą bramkę. Angola wyeliminowała Anglię. Oba zespoły pożegnały się z publicznością i na tym mecz się zakończył.

Jakub Nowak wstał, skinął kolegom dziennikarzom na pożegnanie i udał się z tłumem do wyjścia. Poleci do domu. Bardzo się cieszył, że mieszka za miastem. Podróż powietrzna uspokajała go, włączył silnik i ruszył w kierunku obwodnicy. Pod łodzią znikały osiedla, pojawiła się rzeka, po chwili wpadała do niej inna – Berounka. Jakub mknął nad wodą i zastanawiał się, ile w tym roku jest w niej ryb. Pod nim przelatywał Radotin i Czarnoszyce.

Przed swoją niedużą willą zaczął schodzić do lądowania na malutkim parkingu. Julia wróciła już z zawodów pływackich, jej niebieski statek powietrzny już tu był. Jakub wszedł do domu, Julia akurat szykowała kolację. Poszedł do kuchni i pocałował żonę. – Dobry wieczór, kochanie.

– Dobry wieczór, Jakubie. Jak ci minął dzień?

– Mecz wspaniały, Julio. Angolczycy są wyśmienici. A co u ciebie?

– Izraelczycy i Arabowie to świetni pływacy. Nikt nie miał z nimi szans.

– Gdzie są chłopcy?

– Kąpią się w rzece.

– Mam ci w czymś pomóc?

– Nie, robię tylko befsztyki.

– Duże?

– Olbrzymie, skarbie.

Jakub wyszedł na werandę i usiadł w fotelu na biegunach, bujał się i wsłuchiwał w odgłosy rzeki. Dochodził do niego też piskliwy głos Józefa. Najmłodszego Jurka nie było słychać, pewnie znów siedział na brzegu i obserwował. Jedyne, co go interesowało, to książki i malowanie. Teraz malował rabusiów z wielkimi brzuchami i ogromnymi nożami. Wieczorem Jakub mu poczyta – wczoraj przywiózł przepiękne diabelskie bajki Jana Drdy.

Zapalił fajkę, nie było to zbyt zdrowe, ale raz dziennie sobie na to pozwalał. Wypuszczał chmurki dymu i obserwował, jak rozpływają się w nadchodzącym zmroku.

Odgłosy znad rzeki ucichły, gdzieś w trzcinie zaczynała skrzeczeć żaba. Jakub pomyślał o tym, jak wspaniały to był dzień. Zaczęły mu się zamykać oczy; drzemał, fajka wypadła mu z dłoni, spadła na podłogę, a jej zawartość rozsypała się…

Najpiękniejszy dzień Daniela Groussarda

Udział w jednoetapowym wyścigu z czeskiego miasta M. do miasta S. zgłosił Francuz, obywatel kraju słynącego z doskonałych kolarzy – Louisona Bobeta, Jacquesa Anquetila i Rogera Rivière'ego. Podobno będzie jechać na rowerze rochet-special. Wygrał wyścigi w środkowej Francji. Jest doskonałym taktykiem i odrzutowym sprinterem.

Tyle że nikt nie potrafił tych informacji potwierdzić, na razie była to tylko fama.

Pozostali zawodnicy kontynuowali więc pożywny obiad, cierpliwie gryząc olbrzymie befsztyki.

Nagle drzwi jadłodajni otworzyły się, a w nich stanął on. Błękitny strój. Wokół piersi trzy pasy w barwach narodowych. Na białym pasie dumnie prężył się napis AC, na różowym – DAGNE, a na jasnoniebieskim – FRANCE. Niżej spodenki z literami MERCIER HUTCHINSON w kolorze atramentu i nowiutkie czarne buty kolarskie. Ręce bawiły się bidonem firmy LE PARISIEN. Mężczyzna ukłonił się sali i dopiero wtedy mogliśmy przyjrzeć się jego przyjemnej twarzy, ciału, a przede wszystkim nogom. Miał mocne kolarskie uda z wyraźnie zarysowanymi mięśniami. Wprawdzie nie był tak wysoki jak Louison Bobet, którego znamy ze zdjęć,

ale za to tułów wydawał się bardziej proporcjonalny. Miał ładną twarz i olśniewający uśmiech. Zrobił wielkie wrażenie; ktoś z przestrachu czknął, a Jarek Zielony, uparcie jeżdżący zawsze na końcu peletonu, wypowiedział te obawy głośno:

– Panowie, to będzie torpeda!

Przy narożnym stole zajmowanym przez najlepszych kolarzy rosło podekscytowanie. Nagle Józek Mróz wstał i poszedł do biurka organizatorów.

– Witam, towarzysze!

Skinęli mu głową i zapytali:

– O co chodzi, Józku?

– Na mecie czeka na zwycięzcę radio tranzystorowe. Zgodnie z regulaminem jest to wyścig krajowy. A teraz przyciągacie tu tego Francuza!

Dyrekcja wyścigu udała się na krótką naradę, a następnie oświadczyła, że radio tranzystorowe dziś otrzyma wyjątkowo również kolarz, który przyjedzie jako drugi.

W pozornym spokoju wszyscy opuścili jadłodajnię i godzinę później zameldowali się na starcie. Na linię startową każdy szedł osobno i przedstawiał się w ten sposób kibicom po obu stronach kolumnady.

Jako pierwszy szedł Francuz – sprawdziliśmy już, jak się nazywa – Groussard, Daniel Groussard. Kiedy kroczył obok swojego roweru rochet-special, przypominał czerwoną boję unoszącą się nad przybojem. Wszystko to działo się w mieście sanatoryjnym dla pań i dziewcząt, gdzie każdy mężczyzna, a tym bardziej Francuz, był niezwykłym rarytasem. Niosły go burzliwe brawa. Zdjął z głowy bialutką czapkę i najpierw przyłożył ją do serca, a następnie gestem d'Artagnana zamachał nią w dół i w górę. Kobiety piszczały, a żaden inny kolarz nie zebrał nawet jednej setnej tych oklasków.

Ruszyli.

I jak można było się spodziewać – Groussard zajął miejsce na przodzie. Na ulicach miasta urwał się nawet od peletonu, a pozostali kolarze przez chwilę widzieli tylko chmurę jego pleców. Nogi pracowały mu lekko, a rower dosłownie unosił się nad kocimi łbami. Dotychczas trasa biegła po równinie, ale teraz domki zaczęły się zmniejszać, na przedmieściach pojawiały się pierwsze ogródki, a z nich ciekawsko zaglądały słoneczniki.

Wjeżdżali na pierwszą górkę. Nawet ci najsłabsi mieli jeszcze wystarczająco dużo sił, by wjechać na siodełku; wyglądali teraz jak stadko pracowitych mrówek wdrapujących się na szczyt swojej piramidy.

Lecz Groussard niespodziewanie zaczął stawać na pedałach i kołysać się nad ramą. Jadący za nim Mróz miał wrażenie, że Francuz zwolnił. Czech go wyprzedził. Pozostali również najpierw go obserwowali, a później wyprzedzali.

Co się dzieje z tym Francuzem? Czy taką ma taktykę?

Już zamykał stawkę. Miał bardzo poważną minę i zaciskał usta.

Jarek Zielony pedałował obok niego na szarym końcu peletonu (jeździł na zawody głównie dlatego, że zawsze było wesoło, a ponadto dawali darmowe jedzenie). Miał wyblakły niebieski strój i kiepski rower firmy Ideał. Stukał jak klekotka, a przy francuskim rochet-special wyglądał jak wóz drabiniasty przy cadillacu. Jeszcze przez chwilę obaj trzymali się na ogonie peletonu, ale dystans między nimi i resztą wyścigu nieubłaganie się powiększał, aż wreszcie zostali na szosie całkiem sami. Tuż za nimi z zadowoleniem brzęczała jawa sierżanta tutejszego komisariatu – Dolejsza. Wiózł flagę z szachownicą i zamykał cały konwój.

Groussard jechał jako ostatni i strasznie się pocił. Co jakiś czas wstawał z siodełka i całą wagą naciskał na pedały, a rower rochet-special zrywami podskakiwał za starutkim Ideałem.

Jurek Zielony spojrzał za siebie i uśmiechnął się do Groussarda.

– No ruchy, żabojadzie, przed nami jeszcze kawał drogi.

Groussard skinął, jakby rozumiał. Było mu przykro, że jedzie na końcu. Za miasteczkiem ostatkiem sił dogonił Zielonego i wysapał do niego po czesku:

– Te szwiry fprzodzie. Przyśpisz!

Jego czeszczyzna prawie powaliła Zielonego na ziemię. Nie mógł wydusić z siebie ani słowa. A Groussard kontynuował:

– Jak się naszywasz?

– Zielony… Ale ty mówisz po czesku? Nie jesteś żadnym pieprzonym Francuzem, tylko robisz sobie z nas jaja, tak?

– Ja Francuz. Ja tu na wizyta u ciotki. Kupiłam sobie we Francji nowy strój i rower, żeby móc się tu ścigać. Myślałam, że u was lud na rower nie umieć.

– A, w ten sposób. To co innego. Nie poddawaj się, przyjacielu.

Zielony wspierał Groussarda na duchu. Przez kolejną wioskę znów przejechał jako pierwszy, a Groussard znów go dogonił:

– Sielony, ja przes miasto pierszy, żeby ludzie nie mówili, że Francuz koniec. Za miastem ty znów fprzodzie, a ja drugi. Wysłałam ci za to z Francji perfum – szanel pięć.

Zielony nie miał pojęcia, co to są perfumy Chanel 5, ale zgodził się i na kolejną wieś oddał Groussardowi swoją przedostatnią pozycję. Ludzie im machali, krzyczeli do nich, a Francuz wyglądał na niezmiernie zadowolonego.

Znów zagaił rozmowę:

– Jak daleko do jakieś jedzenie?

– Meta za jakieś pięćdziesiąt kilometrów. Ale tam i tak nic dla nas nie zostanie.

Groussard puścił jedną ręką kierownicę i uderzył się w piersi:

– Dla mnie na pewno zostanie. Ja Francuz.

– Nie bój się, ciebie też oleją – powiedział zrezygnowany Zielony.

Przejechali kolejnych dziesięć kilometrów, a Groussard zaczął stękać:

– Sielony, teraz kawałek na nogach. Bardzo bolą mnie uda.

Zielony, który już też miał tego wszystkiego po dziurki w nosie, zgodził się. Zsiadł z roweru. Teraz szli obok rowerów i podnosili nogi wysoko jak bociany na podmokłej łące. Groussard dopingował: – Jeszcze wyszej! Żeby krew krążyła!

Za nimi od górki do górki jechał milicjant Dolejsz i tylko kręcił głową nad tym widowiskiem.

Kiedy przeszli około stu metrów, Groussard oświadczył:

– Już nie idziemy. Mam nowe buty kolarskie. Zniszczyłabym je.

Rower rochet-special nie mógł już dogonić nawet starego Ideału. Zielony odjechał Groussardowi, a na pożegnanie rzucił:

– Nie złość się, przyjacielu, ale muszę jechać, bo zeżrą na tej mecie wszystko.

I tak na szosie został osamotniony milicjant Dolejsz na swojej jawie i kolarz Groussard. Francuz posmutniał. Jechali długo, aż wreszcie dobrodusznemu milicjantowi zrobiło się cudzoziemca żal. Podjechał do niego i pokazał, żeby się chwycił. Kiedy usłyszał, że mówi po czesku, powiedział:

– Złap się. Jak będzie przejeżdżać jakieś auto, puść, a potem znowu pod ciebie podjadę.

Jechali zgodnie i zbliżali się do peletonu.

Razem z redaktorem z radia poszliśmy do lasu się wysikać. Kiedy nas mijali, zasuwali sześćdziesiątką. Francuz Daniel Groussard trzymał Dolejsza za kaburę pistoletu, kaliber 7,65 mm.

To wszystko działo się w czasie, kiedy między socjalistyczną Czechosłowacją i kapitalistyczną Francją wisiała żelazna kurtyna, a mnie potwierdziła się teoria, że sport zbliża ludzi i narody.

Dzięki sierżantowi Dolejszowi Groussard przyjechał na stadion S. przed zmrokiem. Ludzie jeszcze na niego czekali, ponieważ w tym kraju dobrym zwyczajem jest witanie nawet ostatniego zawodnika. W barze nie było już żadnych parówek, ostatnią zjadł Jarek Zielony. Ale Groussard oświadczył:

– Nie szkoci.

Podbiegł do dziewczyny, której wcześniej Józef Mróz podarował swój bukiet zwycięzcy, z francuską nonszalancją pożyczył kwiaty i rozpoczął rundę honorową wokół stadionu.

Ludzie klaskali, gratulowali mu, że się nie poddał, a Groussard (później powiedział mi, że to był jego pierwszy wyścig) przeżył u nas w Czechosłowacji w ten sierpniowy czwartek 1957 roku najpiękniejszy dzień w swoim życiu.

Puchar od Pana Boga

To było mieszkanie w bloku, jakie albo dostaje się przydziałowo za darmo, albo płaci się za nie fortunę. Piotr, główna postać naszej opowieści (A może główną postacią jest jego żona Alena? Oceńcie sami.) dostał to mieszkanie za darmo, ponieważ jest piłkarzem. Jest też moim dobrym kolegą, wiem o nim sporo, ale nie wiem wszystkiego, tak jak nie wiem wszystkiego o sobie. Wciąż odkrywam w sobie coś nowego i nie są to bynajmniej rzeczy miłe, czasem zbiera mi się od nich na wymioty.

PIOTR HENDRYCH

Jeszcze nikogo nie ma w domu. Alena jest u sąsiadki, pani Stratnej (kobiety około czterdziestki, już dość zniszczonej, często chodzącej w pocerowanych rajstopach, mającej dwoje dzieci i męża w Pofisie), pokazuje jej Burdę – czasopismo o modzie, które Piotr przywiózł z Niemiec Zachodnich. Popijają przy tym cinzano kupione w Peweksie. Pani Stratna wygląda na wniebowziętą przy tej Burdzie i cinzano, przy opowieściach o ubraniach, które Alena zamówiła sobie u krawcowej – czasem aż podskakuje na kanapie z okrzykami podziwu, ale kąciki ust ma nieruchome, a w głębi oczu lśni jej zazdrość o każdą drobnostkę oraz nienawiść do swojego męża Czesława, który na Zachód nie pojechał nigdy, najdalej był w Warszawie, a na dodatek poderwał tam sobie w barze jakąś kelnerkę

i korespondował z nią prawie pół roku, dopóki pani Stratna nie powiedziała: dość! Wizyta Aleny nie potrwa już długo, jeszcze najwyżej pięć minut. Chciała tylko sprawić sąsiadce trochę radości i odrobinę złości. Cinzano tu zostawi, zresztą i tak wypiły prawie wszystko, mężuś pani Stratnej upora się z tą resztką raz dwa, podobno najwięcej czasu spędza w barach. Tak czy inaczej, Alena musi już iść do domu, chce obejrzeć mecz o piątej, Piotr gra dziś w Pradze. Mówi więc pani Stratnej:

– Przepraszam, ale muszę już iść.

– Pani Alenko, niech pani zostanie, nam jest z panią tak miło.

– Chcę obejrzeć mecz. Wie pani, Piotr dziś gra. On nie wie, że go oglądam. Trzy razy byłam nawet na stadionie. Zawsze wracam taksówką i jestem w domu przed nim.

– Ależ pani Alenko, przecież może pani oglądać u nas. My się tak cieszymy, kiedy pani nas odwiedza.

– Ja najbardziej lubię oglądać sama, szczególnie gdy gra Piotr. Mogę go wtedy mieć tylko dla siebie, chociaż on mnie nie widzi i nie słyszy. – I dodaje zdecydowanie: – Jeszcze trzy minuty i idę.

Pani Stratna trochę się naburmusza, że Alena nie chce u nich zostać, bo mają gorszy telewizor niż Hendrychowie. Styl odmowy również jest zbyt ostry dla przeciętnych ludzi, którzy sami na takie zachowanie nie mogą sobie pozwolić. Pociesza się więc, jak już setki razy wcześniej: *Poczekaj no, królewno, ja ci pokażę.* Ale mówi:

– Oczywiście, rozumiem, tak będzie dla pani lepiej. Jest pani rozsądną i mądrą dziewczyną.

Alena się uśmiecha, ponieważ te swoje cechy zna od dawna, i dolewa resztkę wina. Przecież szkoda zostawiać je dla szanownego Czesławka, będzie musiał zadowolić się piwem. I zaczyna snuć rozważania na temat sukienki, którą pójdzie sobie jutro zamówić. Będzie fioletowa jak wiosenne

krokusy, a guziki w dwóch rzędach pójdą z góry na dół, tylko na piersiach bez guzików, bo mogłyby je optycznie powiększać, a przy ich rozmiarach to nie byłoby wskazane. Alena wiedziała, że ma duży biust, jego pani Stratna również jej zazdrości.

Na dole pod blokiem zaparkował jasnoniebieski samochód – Simca 1301. Tak, to auto Piotra, kapitana Niebieskich, reprezentanta kraju i mojego przyjaciela. Piotr wyłączył silnik, ale nie wysiadł. Było mu dobrze w środku, podobnie jak jest mu ostatnio dobrze wszędzie, gdzie jest sam. Nie krzyczy tu żaden trener, uszu nie rozrywa przenikliwy dźwięk jego gwizdka, nie ryczą tu kibice. Przy zamkniętych oknach czuł się tak dobrze, jak czują się inni, gdy wchodzą do lasu i szukają grzybów. On ostatnio był w lesie, kiedy był jeszcze chłopcem. Od tego czasu co niedzielę przez prawie cały rok gra w piłkę. Czuł, że w swoim wieku potrzebuje więcej odpoczynku, ale nie pozwalali mu na to, ponieważ większość drużyny odpoczynku nie potrzebowała. Jeszcze przez chwilę siedział, aż poczuł, że już się uspokoił i że może iść do domu i porozmawiać z Aleną. Wysiadł, zamknął wóz, nie miał siły jechać do garażu, a przede wszystkim wracać stamtąd piechotą. Znał go tu każdy chłopiec i każdy pijak, więc po drodze nie miałby tego spokoju, który miał w swoim aucie.

Teraz stał na chodniku, nogi trochę mu drżały, a on przeciągnął się jak przed wejściem na boisko.

Ma ciemne włosy, nie jest wysoki. Jest raczej siłaczem z olbrzymią wypracowaną klatką piersiową i mocnymi wypracowanymi nogami. Tak, wypracowane, to jest dobre słowo. Wszystko, co ma w sobie i na sobie, łącznie z tym gabardynowym płaszczem, sam wypracował. Nie był utalentowany. O piłkę się raczej potykał. Ale był zawzięty. Harował i wszystkich utalentowanych po kolei przeskakiwał, ale o tym jeszcze będzie mowa.

Piotr spojrzał na blok. Chyba we wszystkich mieszkaniach świeciły ekrany, ludzie czekali, aż wbiegnie na boisko. A tymczasem on stał pod ich oknami i do tego boiska miał równie daleko jak oni. Gdyby otworzyli okna, mogliby zobaczyć go na żywo. A potem pomyślał jeszcze, że być może niektórzy z nich, a może nawet wszyscy, oglądali go tylko po to, żeby któregoś dnia móc zobaczyć, że już na ten ekran nie wybiega.

Westchnął i wszedł na klatkę schodową. Kiedy po kolei mijał drzwi sąsiadów, słyszał, jak wszędzie telewizory ryczą na cały regulator, jedynie za drzwiami pana Opędzacza – księgowego, który nigdy nie ściągał okularów – panowała cisza, on z pewnością meczu nie ogląda. Gdy kiedyś wrócili z Chile i nieśli Piotra na rękach aż do mieszkania, pan Opędzacz oświadczył, że jego ten teatrzyk nie interesuje, bo ten kraj potrzebuje czegoś więcej niż doskonałych skórokopów. Zastanawiające było to, że Piotr nie chował wobec księgowego urazy, a teraz był mu wręcz wdzięczny, że nie ma włączonego telewizora. Za drzwiami szczekał pies, taki słodziutki foksterierek z wesołymi oczami. Lecz szczekać zbytnio nie umiał, było to tylko takie *hau,* jakby na podłogę spadł worek z mąką.

Piotr wyciągnął klucze i spojrzał na wizytówkę na drzwiach. Uświadomił sobie, że przy swoim nazwisku nie ma żadnego tytułu. Wprawdzie już nie pisywało się tego tak jak kiedyś, dziś tylko lekarze mieli to swoje lek. med., ale i tak wiadomo było, że każdy mieszkaniec bloku łączy swoje nazwisko przynajmniej z zawodem: aptekarz, pułkownik, portier, księgowy. A na wizytówce Piotra mogłoby być napisane:

PIOTR HENDRYCH

0

Wydawało mu się, że to zero widzi tam bardzo wyraźnie i że jest ono dość duże. Opuścił głowę, jak kiedyś w wojsku, gdy wystrzelił serię

z pistoletu i chciał spocząć zgodnie z rozkazem stojącego za nim generała. Gdy podniósł wzrok znad kamiennej podłogi, zero zniknęło. Zostało tylko imię i nazwisko:

PIOTR HENDRYCH

Wszedł do mieszkania. Rozejrzał się, jakby widział je po raz pierwszy, było to piękne mieszkanie, jakie miewają artyści albo ludzie mający dużo pieniędzy. Architekta Buresza załatwił mu piosenkarz Dostal. Wszystko było tu wyliczone, wymierzone, biblioteczka z kilkoma pięknymi tomami klasyków, owalny stolik z czerwono-brązowym marmurowym blatem przypominającym mapę morskiego dna, starodawno-nowoczesny komplet wypoczynkowy, a w rogu stolik z trzema pucharami. W drugim pokoju całą ścianę zajmowały radiole. Piotr zawsze był z tego mieszkania dumny, wypracował je ciałem i nogami. Kiedy przyprowadzał tu kogoś, obserwował, jakie wrażenie na nim wywrze. Dziś spojrzał na pokój przelotnie, jakby to było lokum pod mostem. Szukał tylko karteczki, gdzie jest Alena. Ale nie znalazł jej, więc zgasił światło, usiadł w tym staro-nowym fotelu i czekał. Panował spokój, ale Piotr nie mógł zasnąć, miał wrażenie, że głowa mu pęka, jakby mózg chciał wyskoczyć i pobiec z powrotem na boisko, chociaż dobrze wiedział, że nic tam po nim.

Usłyszał, jak zamykają się drzwi.

Alena spojrzała na niego wielkimi brązowymi oczami. Była korpulentna i ładna, Piotr zdobył ją dokładnie tak samo, jak wszystko inne. Najpierw wykopał sobie sławę, potem pieniądze, a potem żonę. Ale byli razem dość szczęśliwi. Jemu trochę przeszkadzało to, że jest bardzo inteligentna, mądra, a jej wydawało się, że jest trochę prymitywny. Ona podziwiała tylko jego ciało, on podziwiał jej ciało, a jej mózgu czasami nienawidził. I to w sumie wszystko, trzeba przecież mówić tak, jak jest.

Kiedy Alena zobaczyła męża, zapytała oczywiście:

– Co ty tu robisz?

Piotr milczał i tylko patrzył na nią badawczo. Przecież musiała od razu zrozumieć, dlaczego nie jest teraz na boisku.

– Dlaczego nie grasz?

Milczał i wciąż ją obserwował, jak siada i jak jest przestraszona. Ale zbytnio przestraszona nie była, musiała przecież wiedzieć od dawna, że nadchodzi kres. Nagle zrozumiał, że nie mógł usnąć w tym fotelu, bo to wszystko gromadziło się w nim już długo, to takie głupie, nie chce być z nią sam na sam i kłaść jej głowy na kolanach, wręcz przeciwnie, chce mówić, bronić się i atakować ją, ponieważ dziś był właśnie ten dzień, w którym nienawidził całego świata i siebie również. Dlatego czekał i obserwował Alenę, kąciki ust zastygły mu w ironicznym uśmieszku.

– Dlaczego nie jesteś na boisku? – nie odpuszczała Alena.

Odpowiedział prosto, w trybie oznajmującym:

– Nie wystawili mnie. Na mojej pozycji gra młody Bruzda, co ma włosy jak słoma i wygląda jak zboczeniec. Włącz sobie telewizję, skarbie, i sama zobacz.

Na uwagę o telewizji Alena w ogóle nie zareagowała:

– Jak to cię nie wystawili? Wczoraj pisali w gazecie, że będziesz grać.

– To był chyba taki chwyt pod kibiców. Ludzie wciąż chcą mnie oglądać, dlatego byłem w składzie. Prawdziwych kibiców nie interesuje Bruzda, tylko ja. Godzinę przed meczem przyszedł trener i powiedział: Lekarz wyjaśni ci, dlaczego dziś nie zagrasz. Lekarz, lekarz, lekarz! – Piotr zaczynał się gorączkować i podnosić głos. – Nasz lekarz Plocek, nasz pocieszyciel, nasz kapelan!

– No przecież on jest taki sympatyczny – sprzeciwiła się Alena.

– Sympatyczny? Według ciebie wszyscy są sympatyczni, a najbardziej lekarze. Mam gdzieś to, że jest sympatyczny. Ma mnie leczyć, a nie wygadywać te swoje brednie. Dziś znów to samo. Pomyślałem, że jeśli najpierw nazwie mnie Piotrusiem, a potem w pierwszym zdaniu użyje jakiegoś zagranicznego słowa, to normalnie dam mu w pysk. Na szczęście dla siebie powiedział je dopiero w drugim zdaniu. Zaczął tak: Dziś nie możesz grać. To było pierwsze zdanie. A potem: Jesteś zmęczony psychicznie, Piotrusiu. A ja na to: Doktorze, jeśli natychmiast się pan stąd nie zabierze, rozwalę panu facjatę i podpiszę, że jestem zmęczony psychicznie i moje miejsce jest w domu wariatów.

– Piotrze… – powiedziała z niedowierzaniem w głosie Alena – przecież nic takiego mu nie powiedziałeś.

– A właśnie że powiedziałem, Ty tego nie rozumiesz. To jest skomplikowane. Ja mam na lekarzy sposób, szczególnie na Plocka. Już kiedy byłem młody, zawsze próbował mi się przymilić i do dziś w ogóle się nie zmienił. Może powinien był powiedzieć po prostu: Jesteś już stary, nie możesz grać. I koniec.

Po tych zdaniach, których w pokoju z trzema reprezentacyjnymi pucharami nikt wcześniej na głos nie wymówił, nastała cisza, słychać było tylko cichutki dźwięk – na ścianie tykał kolorowy zegar przywieziony przez Piotra z Argentyny. Piotr wypowiedział te słowa o starości w taki sposób, że włożył je do ust lekarzowi, a kiedy już zostały wypowiedziane, przestraszył się ich i czekał, co na to powie Alena. Ona wiedziała, że Piotr jest już stary, a teraz była świetna okazja, by pomóc mu się z tym pogodzić. Lecz rozumiała również, że dziś Piotr potrzebuje przede wszystkim pocieszenia. Odparła więc obojętnie:

– Nie jesteś stary. Pamiętasz, jak mówiłeś, że jesteś stary, kiedy byliśmy w Wiedniu, a potem przez całą noc nie dałeś mi zmrużyć oka?

Otworzyły się drzwi i wszedł ich syn Karol. Miał na sobie puchowy szkocki sweter i niebieskie znoszone dżinsy, a w ręce trzymał brudną futbolówkę i bawił się nią.

– Cześć, mamo. Cześć, tato.

Chciał iść do łazienki, umyć się i szybko siadać przed telewizorem. Nagle zorientował się, że ojca właściwie nie powinno tu być, że powinien biegać po boisku i po ekranie. Na twarzy odmalowało mu się zdziwienie i zapytał:

– Tato, dlaczego ty nie grasz?

Zaskoczony Piotr nie wiedział, co odpowiedzieć, ponieważ nigdy Karola nie okłamywał. Myślał, że go w ten sposób wychowuje, chociaż później, kiedy był starszy, zrozumiał, że nie jest tak, jak wmawiała mu jego kierująca się wyświechtanymi hasłami matka: Z prawdą zajdziesz najdalej. Wręcz przeciwnie, jeśli kłamstwo było sprytne, a przede wszystkim była szansa, że zostanie wykryte późno lub wcale, należało z niego skorzystać.

Piotr odezwał się dość sucho:

– Karolu, moment. Gdzie byłeś?

To pytanie zawierało wszystko. Zostało wypowiedziane w sposób właściwy jedynie esbekom. Piotr doskonale wiedział, że jego syn grał w piłkę nożną. Brudne kolana, ubłocona piłka, szczęśliwa mina. Piotr przechodził przez to tysiące razy. Alena wiedziała, że między synem i ojcem istnieje niebezpieczeństwo wybuchu. Karol, który nie mógł zrozumieć, dlaczego ojciec nie jest teraz na boisku, powiedział po prostu:

– Graliśmy mecz z Górką.

Piotr przełknął ślinę, jakby czegoś szukał w gardle.

– I jak ci poszło?

– Nieźle, tato. Strzeliłem sześć goli. Niekół mówił, że gram prawie tak jak ty.

– To wcale mnie nie cieszy – odparł podrażniony Piotr.

Alena już przeczuwała, dokąd ta rozmowa zmierza, i chciała temu zapobiec. Bała się skandalu, gdy jej mąż zacznie wydzierać się na tego drobnego chłopca, który wyglądał raczej na syna jakiegoś naukowca niż piłkarza, i który uwielbiał swojego ojca. Alena wiedziała, że w ostatnich latach jej mąż nie chciał, żeby Karol został piłkarzem z najwyższej półki. W młodości to było jego marzenie, ale potem zrozumiał niektóre minusy futbolu. Chyba był trochę jak rolnik, który śni o tym, żeby jego syn został lekarzem. A przecież Karol miał to, czego nie miał jego ojciec: talent. Olbrzymi talent. Po kim go odziedziczył – tego nie wie nikt. Mógł wyrosnąć na piłkarza trzy razy lepszego niż ojciec, pracując na to trzy razy lżej. Czasami Piotr był z niego dumny, ale dziś był akurat taki dzień, że go to przerażało i denerwowało. A kiedy Alena powiedziała:

– Piotrze, proszę cię, daj mu spokój.

Piotr bardzo głośno odparł:

– Rozmawiamy o piłce nożnej, nie mieszaj się do tego.

A potem zapytał Karola:

– Ty już nie chodzisz do tego Wołka bawić się probówkami?

– Nie.

– A dlaczego nie?

– Znudziło mi się to.

– Przykro mi – powiedział już spokojniejszym głosem Piotr. – Może przez jakiś czas by cię to nudziło, a potem znów zaczęłoby interesować. Ja też tak mam. Podczas wojny musiałem pracować w kopalni i właściwie to tam nauczyłem się trenować i wygrywać. Wytrwałość mogłaby doprowadzić cię do tego, że zostałbyś chemikiem albo lekarzem, albo jeszcze kimś ważniejszym, tak jak profesor Heyrowski. (Piotr z naukowców

znał tylko profesora Heyrowskiego, który jako pierwszy Czech dostał Nagrodę Nobla.) Miałbyś porządny fach na całe życie, naprawdę.

– Tato, ja to wiem.

– Co wiesz? Nic nie wiesz. A co cię teraz nie nudzi? Tylko nie mów, że piłka.

– Nic, tatusiu.

– Karol, nie kłam. Przecież wiesz, że my dwaj nigdy się nie okłamujemy.

– Nie kłamię, tato. Nie nudzi mnie piłka.

– Piłka! Co ci się w niej tak podoba?

– To coś wspaniałego, kiedy walniesz gola między te dwa słupki. I w ogóle, w piłce jest wiele świetnych rzeczy.

Piotr długo nie odpowiadał. Chyba po raz pierwszy, od kiedy rozmawiają razem o futbolu, wczuwał się w tę dyskusję, jakby chodziło o niego, gdy był mały i pędził z piłką przed siebie i nikt nie mógł go dogonić. Gdzieś w mózgu komórki wydawały okrzyki euforii, jak to jest biec, uciekać, dryblować, a potem strzelić tę decydującą i wspaniałą bramkę, o którą walczy się przez wiele godzin, a czasem przez wiele miesięcy – tę cudowną, wyjątkową bramkę. Gola, o którym się marzy. Futbol miał dużo minusów, lecz teraz Piotr ujrzał wszystko tak, jakby to on był Karolem i jakby wszystko było piękne, i jakby wyszedł na łąkę, na której kwiaty kwitną piłkami. W ciszy pokoju przemówił głosem brzmiącym tak, jakby słowa nie były skierowane do Karola:

– To jest piękne, przepiękne to jest.

A kiedy Piotr to przyznał, Karol od razu chciał wykorzystać tę szansę i powiedział:

– Tato, ja chcę być taki jak ty. Jesteś sławny. Uwielbiają cię wszyscy chłopcy.

Piotr otrząsnął się z zamyślenia:

– Kolego, nie masz pojęcia, co to znaczy być sławnym, i nie możesz tego rozumieć. Powiem ci, jakim świństwem jest sława.

Ale Alena mu przerwała:

– Karolku, idź do łazienki! – I zwróciła się do Piotra: – Po co prowadzisz takie dyskusje z jedenastoletnim chłopcem?

– Chcę mu wyjaśnić, że probówki albo dłubanie się w bebechach myszy mogą być zajęciem na całe życie, a piłka nożna tylko na pół.

– Dlaczego tobie nikt nie wyjaśnił, że to nie jest na całe życie?

– Mój ojciec tego nie pojmował. On też widział w tym tylko sławę i pieniądze.

– Piotrze, jesteś trochę zmęczony. Kiedy odpoczniesz, znów będziesz mógł grać. Może nawet za granicą, tak jak inni. Albo tutaj.

– Aleno, oni przestali we mnie wierzyć.

– Przecież już się to zdarzało. Jakiś rok temu trener Dejmek też posadził cię na ławkę, a ty się wkurzyłeś i wróciłeś do domu. A potem, kiedy nie dawali sobie rady, przysłali po ciebie auto i prosili, żebyś wszedł w drugiej połowie.

– Masz rację, ale teraz będzie inaczej. Teraz nie zmienią zdania.

– Mogą zmienić – sprzeciwiła się Alena.

– Mogliby, gdybym był przynajmniej trzy lata młodszy.

– Piotrze, włączę telewizor, dobrze? Może kibice znów będą krzyczeć, żeby wpuścili cię na boisko.

– Nie włączaj go. Dziś pójdzie im dobrze. Trzech starych odsunęli, trzech młodych wstawili. Chcą, żeby tak już zostało. A ja czuję, że to się im uda. Czuję, że dziś zagrają dobrze. Wiedziałem to już podczas rozgrzewki.

Robiło mi się od tego niedobrze. Byli jak młode tygrysy, które kiedyś widziałem w zoo. Jeden czeka, aż drugi padnie. Czekali, aż się zestarzeję.

Alena nalega:

– Mogę włączyć telewizor?

– Przecież mówię, że nie. Nie chcę oglądać własnego pogrzebu. A ja wyczuwam pogrzeby, mógłbym być grabarzem.

– Piotruś, może bez ciebie sobie nie poradzą. Może na ciebie czekają.

– Na mnie nikt dziś nie czeka. Tylko łóżko.

– Mogę włączyć ten telewizor? Ja go włączę.

Alena wstaje i wciska przycisk w półmroku pokoju z firankami. Ciszę wypełnia głos komentatora:

– W trzynastej minucie Niebiescy znów atakują. Piłka chodzi od nogi do nogi. Piękna akcja. Młodzi grają dziś jak z nut. Znów mają piłkę przy nodze, są jak lawina…

Piotr się obraca i patrzy na sylwetki pojawiające się na ekranie. Zaczyna komentować razem z redaktorem.

– Znamy to. Lawina. Co za bujda. O mnie też tak pisał jeden dziennikarz, kiedy miałem dwadzieścia lat. Mówiłem. Dobrze im idzie. Wiedziałem. Spójrz tylko na mojego następcę Bruzdę. Wprawdzie wygląda, jakby wolał chłopców, ale ma niesamowicie długie ręce, a przede wszystkim piękne, silne nogi. Wiesz, ile waży? Tylko sześćdziesiąt kilo, a nasz klub kupił go za sześćdziesiąt tysięcy. Tysiąc za kilogram młodego mięsa. To chyba najdroższe mięso w kraju. I nigdzie nie można go kupić. Tylko stare mięso jest na sprzedaż. Moje mięso.

Komentator:

– Obserwujemy atak młodego duetu Starek – Bruzda. Starek podaje do Bruzdy, a on zdobywa trzecią bramkę.

Załamana Alena milczy. A Piotr kontynuuje:

– No i wszystko jasne. W trzydziestej piątej minucie trzy – zero. Tak właściwie to naprawdę jest mój pogrzeb. Piękny pogrzeb, ludzie na trybunach świętują, a młodzież na boisku daje popis. Aleno! Dlaczego to włączyłaś? Przecież mówiłem, żebyś tego nie robiła!

Alena wstaje i powoli podchodzi do telewizora, a komentator w tym czasie znów podkreśla, że ataki młodych piłkarzy suną jak lawina. Alena wciska przycisk, a pokój pogrąża się w mroku i jakimś dziwnym smutku kończącej się niedzieli.

Alena podchodzi do szafy w przedpokoju.

– Dokąd idziesz?

– Przejść się.

Piotr zaczyna krzyczeć:

– Nigdzie nie pójdziesz! Muszę z tobą porozmawiać.

Takie momenty Alena już dobrze zna i wie, że nie może się sprzeciwiać, ponieważ Piotr zdenerwowałby się jeszcze bardziej, a ona dziś się o niego boi, bo mąż zachowuje się zupełnie inaczej niż zwykle. Dlatego od razu kapituluje i mówi:

– Rozmawiamy już długo, a ja wciąż nic nie wiem. Dlaczego nie zostałeś na ławce, skoro to twoja praca?

– Aleno, nie wychodź. Chcę ci powiedzieć, że mnie zwolnili. Wyrzucili mnie. Nie podpisali ze mną nowej umowy.

– Przecież nie mogą tego zrobić – mówi przerażona Alena. – Wiosną zapewniali cię, że będziesz grać jeszcze ze dwa lata. Dali ci puchar i dyplom. Obiecali, że będziesz mógł zrobić kurs trenerski.

– No właśnie, obiecali, ale na piśmie nie dali nic. To było niezłe świństwo. Wiesz, co Emil robi z pucharami? Rozdaje je. Chcesz puchar? Proszę, weź go sobie! Po co mu one? Wszyscy wiedzą, co wygrał,

i wszyscy o tym pamiętają. Puchary są potrzebne tylko do ścierania z nich kurzu. A dyplomy po co? Pamiętaj, że jeśli człowiek jest w czymś dobry, dostaje za to forsę. Przez piętnaście lat mi płacili, a teraz będą mi dawać dyplomy i tytuły honorowe. A ja mam je gdzieś! Nie jestem aż taki głupi. Wiem, że jeśli w życiu wygra się jakiś mecz, trzeba za to zapłacić.

Alena słuchała właściwie tylko jednym uchem, znała te długie przemowy i monologi, z góry wiedziała, na kogo jej mąż będzie narzekać. Myślała o sobie i ich synu, o Piotrze także, ale o nim najmniej, ponieważ Alena, mimo iż nigdy by tego przed sobą nie przyznała, była tak naprawdę taka sama, jak my wszyscy – kiedy dzieje się coś złego, zastanawiamy się, w jaki sposób dotknie to nas. Nie mogła więc zapytać o nic innego niż:

– Piotrze, co w takim razie będziesz teraz robić?

W tym pytaniu zawarte było wszystko, także zmartwienia i obawy o to, jak będzie wyglądać ich jutro.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. W przedpokoju na pięknej zabytkowej konsoli zadzwonił telefon. Małżeństwo nie zauważyło, jak Karol wślizgiwał się do swojego pokoiku, ale telefon był uparty i dzwonił wyzywająco. Alena powiedziała z nadzieją w głosie:

– Chyba jest przerwa. Na pewno dzwoni trener.

– Po co miałby do mnie dzwonić?

– Ot tak, chce, żebyś tam był, bo jesteś częścią drużyny. Wiedzą, że jesteś im jeszcze potrzebny. Że możesz jeszcze wrócić do formy, tak jak wtedy.

Alena szybkim krokiem podchodzi do telefonu, ale sama zbytnio nie wierzy w to, co mówi. To pewnie któryś z tych natrętnych fanów, którzy tak ogłupili jej męża, że zaczął myśleć, że jest bogiem i przez dziesięć lat nie nauczył się nawet niemieckiego. Przy telefonie, który wciąż dzwoni,

zastanawia się, czy powinna w ogóle odbierać, ale w końcu podnosi słuchawkę i przedstawia się:

– Hendrych.

– To ja, Stratna. Nie chciałam do was iść, złociutka, żeby wam nie przeszkadzać. Pomyślałam, że zadzwonię, zostawiła pani u nas to piękne czasopismo.

– Dziękuję pani, pani Stratna, ale już go nie potrzebuję, już wiem, jak ta sukienka z guzikami ma być uszyta. Może je pani sobie spokojnie zatrzymać.

Lecz Stratna dobrze wie, co się święci, ponieważ jej mąż komentował to, co widział na ekranie. Mimo to mówi słodziutko:

– To miłe z pani strony, ale…?

– Drobnostka.

Stratna na drugim końcu kabla uśmiecha się, ponieważ nadchodzi czas urzeczywistnienia pogróżki *Poczekaj no, królewno, ja ci pokażę*. Nie odpuszcza więc sobie:

– Mąż prosił, żebym zapytała, dlaczego szanowny małżonek nie gra w tak ważnym meczu. Wie pani, ja się na tym nie znam, ale Czesław pani męża wprost uwielbia – mówi pani Stratna, myśląc, co też by Hendrych powiedział, gdyby słyszał, jak Czesław wyzywa go od nieudaczników.

– Nie czuje się dobrze. Ma kontuzję. Muszę już kończyć – dodaje zdecydowanym głosem Alena, dając pani Stratnej do zrozumienia, że jeszcze nie wszystko skończone i że świat wciąż bierze ich pod uwagę.

Panią Stratną te słowa zaskakują, ale odpowiada jeszcze szybko:

– Bardzo nam przykro. Proszę przekazać mu nasze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

– Do widzenia, pani Stratna.

– Do widzenia, moje dziecko.

Podczas gdy pani Stratna, tylko połowicznie usatysfakcjonowana, odkłada słuchawkę i idzie zdać mężowi relację z rozmowy, Alena wraca do Piotra. Piotr uśmiecha się kwaśno i mówi:

– No widzisz, spodziewałaś się trenera, a dzwoni największa wiedźma z bloku. Dlaczego ją okłamałaś? Dlaczego nie powiedziałaś, że mnie wyrzucili? Cała ulica czeka na to, aż będę stary, a przede wszystkim, aż przestanę jeździć po całym świecie z wypchanymi walizkami. Wszystkim facecikom ulży wreszcie, ponieważ ich żonki przestaną zazdrościć ci ubrań i w końcu będzie spokój.

– Piotrze?

– Słucham, Aleno?

– Dobrze się czujesz?

– Tak, ale teraz idę pod prysznic – mówi i idzie do łazienki. Rozbiera się do naga i obserwuje swoje ciało, jest olbrzymie i zdrowe i wciąż może się podobać, ponieważ widać na nim wypracowane mięśnie, ale nie są to takie mięśnie, jakie mają kulturyści – są to mięśnie piękne, reszta też jest taka, jak ma być, nawet członek nie jest ani za duży, ani za mały, ale tak w sam raz, jak ma Dawid wyrzeźbiony przez Michelangela (Piotr widział go we Włoszech) i pasuje do całego ciała. Ciekawe – myśli Piotr – że na zewnątrz ciało wygląda tak pięknie, a w środku – w sercu, mięśniach, mózgu i tkankach – są zużyte elementy. Utracił to, co było w ciele najcenniejsze, a w zamian nie dostał w sumie nic, ponieważ w tym kraju przez dziesięć lat bredziło się o jakimś sporcie amatorskim.

Wszedł do wanny i odkręcił wodę, ale po raz pierwszy od dawna nie czuł tej ulgi, którą przynosi prysznic, ponieważ nie wypocił podczas meczu złego potu i nie spływał mu ze skóry brud boiska. Cała ta kąpiel tylko kamuflowała coś, czego tak naprawdę nie było. Piotr usiadł i przestał

polewać się wodą – płynęła do wanny, jej poziom podnosił się na udach i na przyrodzeniu w stronę twardego brzucha, klatki piersiowej i jeszcze wyżej. Usłyszał, że Alena rozmawia przez telefon, i szybko zakręcił kurek.

Alena wykręciła numer i zapytała szeptem:

– Czy to stadion?

– Tak.

– Proszę dać mi doktora Plocka. Mówi Alena Hendrych.

Została przy słuchawce sama, z drugiej strony dochodził tylko szum. Zastanawiała się, co powie. Długo nikt się nie odzywał, już myślała, że nie przekazali jej prośby lekarzowi albo nie chciał z nią rozmawiać. Już miała się rozłączyć, gdy usłyszała:

– Halo, kto mówi?

– Z tej strony Hendrych.

– O, Alenka.

– Panie doktorze, nie jestem dziś w nastroju do żartów. Boję się o Piotra. Mówi dziwne rzeczy. Słyszy mnie pan, panie doktorze? Coś się z nim dzieje. Boję się.

Doktor Plocek gładzi sobie swoje i tak już gładkie włosy i mówi coś, co często mówią lekarze:

– Malutka, bądź spokojna.

To sformułowanie denerwuje Alenę, nie chodzi przecież o jej spokój, tylko o Piotra. Lecz po chwili przyznaje, że chodzi też o nią, że czegoś się boi. Krzyczy do telefonu słowa, które słyszy nawet Piotr w łazience:

– Panie doktorze, ja nie potrzebuję pańskiego uspokajania. Potrzebuję rady.

Doktor Plocek wyczuwa z tonu jej głosu, że tym razem najwyraźniej chodzi o coś poważniejszego, i że może jej teraz powiedzieć coś, czego

dotychczas jej nie mówił, a przede wszystkim przekazać to bardzo stanowczo:

– Proszę więc słuchać uważnie. Niech pani mu wyjaśni, że jest na piłkę nożną za stary. Ma wyczerpane mięśnie, żyły i chyba również mózg. Jestem jego lekarzem, więc wiem, co mówię. W ostatnich pięciu meczach grał katastrofalnie. Wystawialiśmy go tylko ze względu na jego dokonania. I bardzo go lubimy.

Alena widzi, że wszystko znów spada na nią, tak jak zawsze spada na kobietę od pradawnych czasów, kiedy mężczyzna wraca z wojny ranny, z pracy wyczerpany albo z baru pijany. Ona ma być latarnią świecącą na morzu, podczas gdy ci, którzy spędzali z jej mężem większość czasu, którzy z nim pracowali i imprezowali, chcą czmychnąć przez uchylone drzwi i zostawić go uwieszonego jej na szyi, bezsilnego i być może chorego, i nie są nawet w stanie powiedzieć mu o tym, chociaż nazywają się jego przyjaciółmi. – Dlaczego pan mu tego nie wyjaśni?

– Nam już nie wierzy. Myśli, że wolimy, żeby grali młodsi.

– I to wszystko, co ma pan do powiedzenia, panie doktorze? – mówi kąśliwie Alena, kładąc szczególny akcent na słowo *doktor.*

– Tak – odpowiada pokornie Plocek i nie chce już kontynuować tej rozmowy. Lecz po chwili zmienia zdanie i dodaje: – Właściwie nie. Powinna pani mu pomóc w odnalezieniu dalszej drogi. Sam sobie z tym nie poradzi.

Alena już krzyczy do słuchawki, zapomina, że za ścianą mieszkają ludzie i że w łazience jest Piotr, który leży w wannie, wyczerpany i u kresu sił, choć nie grał dziś w żadnym ważnym meczu.

– Wie pan, kim pan jest, doktorze? Pan, trener, kierownictwo tego waszego wielkiego klubu, wszyscy jesteście zwykłymi łajdakami. Wycisnęliście z niego wszystko jak kapitaliści, ale nigdy nie daliście mu

tyle, żeby coś miał, kiedy przestanie grać. Nigdy mu też nie powiedzieliście, że kiedy go wyrzucicie, nie będzie mógł znaleźć sobie porządnej pracy. Tylko ja powtarzałam mu przez wszystkie te lata, żeby uczył się jeszcze czegoś, żeby poszedł na studia. Ale kiedy tylko wracał między was, moje starania szły na marne. Karty, żarciki i mnóstwo czasu na wszystko. Był leniwy, a wy to w nim umacnialiście. A kiedy się zestarzał, wieszacie mi go na szyi.

Doktor Plocek nie potrafił na to nic powiedzieć. Wiedział, że Alena ma sporo racji, ale przecież nie do końca, ponieważ niemiłość, jak dałoby się w łagodny sposób określić obecne relacje między lekarzem i Piotrem, zrodziła się właśnie wtedy, gdy Plocek powtarzał mu, że powinien mieć oprócz piłki jakieś zajęcie. Zatem teraz lekarz milczał i zastanawiał się, jak to wyjaśnić, a obok kabiny telefonicznej rozlegały się głośne kroki w korkotrampkach – zawodnicy wychodzili na drugą połowę. A lekarz w tej chwili uświadomił sobie, że jego życie jest parszywe, bo przyłapał się na tym, że ważniejsi są dla niego ci, którzy przechodzą obok, a nie ten, który załamany pojechał do domu. Myślał też o innych rzeczach, na przykład o tym, że człowiek jest szanowany proporcjonalnie do tego, na ile jest społeczeństwu potrzebny, a Piotra w tej chwili nie potrzebował już nikt. Na to, co usłyszał, odpowiedział więc:

– Pani Alenko, życie takie już jest. Mówiłem o tym pani wtedy w kawiarni. Życie takie jest. Mnie też to dotyczy. Halo, słyszy mnie pani?

To była kropka za wszystkim, co chciał jej powiedzieć, a Alena uświadomiła sobie, że została sama, tylko z Piotrem. Rozpłakała się i słyszała, jak z bardzo daleka doktor Plocek krzyczy:

– Halo, jest tam pani?

– Jestem – i odłożyła słuchawkę. Usiadła na krześle przy telefonie. Na drugim końcu kabla doktor Plocek pomyślał, że powinien chyba wsiąść do

swojej białej cortiny i jechać do Piotra. Ale bał się atmosfery panującej teraz u Hendrychów, taki wyjazd nie należałby z pewnością do przyjemnych. Usprawiedliwił się więc sam przed sobą, że trenerowi na pewno by się to nie spodobało. Wyszedł z kabiny, działacze przy wyjściu na boisko uśmiechali się do niego, ludzie witali się z nim serdecznie. Niósł swoją walizeczkę i znów czuł się dobrze. O Piotrze szybko zapomniał, bowiem Piotr już nie miał stroju klubowego, tylko leżał w tej chwili nagi w wannie i odpoczywał. Alena wytarła łzy i zajrzała do niego:

– Jeszcze się kąpiesz?

Nie odpowiedział, usiadł i zapytał cicho:

– Do kogo dzwoniłaś?

Zbladła, zrozumiała, że zostawiła uchylone drzwi i że Piotr prawdopodobnie słyszał jej rozmowę, nie wiedziała tylko, jak dużo usłyszał i co na to powie. Oparła się o futrynę, milczała i patrzyła na męża. Przyłapała się na myśli, że chyba i dla niego, i dla niej byłoby lepiej, gdyby napuścił sobie pełną wannę wody, utopił się w niej i wszystko byłoby skończone. Ale był to tylko moment, jaki dopada chyba wiele osób, one się przerażają, odganiają to od siebie i nie wiedzą, czy ta myśl naprawdę się w nich zrodziła, czy może tylko sobie z nią igrali.

– Dlaczego nic nie mówisz, do cholery? Dzwoniłaś do tego łajdaka, prawda?!

– Prawda.

To było tylko jedno słowo, ale Piotra rozsierdziło. Stanął w wannie, żeby prosto w oczy wygarnąć jej to, o czym ostatnio tak często myślał:

– No proszę, wszystko jasne. Jak w mariaszu. Za moimi plecami dzwonisz do mojego lekarza i nawet się za to nie wstydzisz. Od młodości masz fioła na punkcie panów lekarzy, twoja szacowna mamusia wtłukła ci

do pięknej główki, że to najszlachetniejszy zawód na świecie. Tylko czemu, na Boga, nie wyszłaś za lekarza, tylko za piłkarza?

Nie odpowiadała, miała wrażenie, że uderzy męża swoją drobniutką rączką w jego silne szczęki i silne piękne zęby, które na nią szczerzył, ale potem znów się opanowała i milczała.

– Tyle że, malutka, nie wszyscy lekarze są tacy sami. Jedni ludzi ratują, a inni ogłupiają. Biegają wokół boiska i smarują im łydki, a my musimy przed każdym meczem pokazywać im język. Plocek należy do tych drugich. No i oczywiście wino i dziewczynki. Raz na dwa tygodnie, częściej nie potrzebuje. Bez przeciągania i długich namawiań. Myślisz, że nie wiem, że się z nim spotkałaś?

Alena znów odpowiedziała spokojnie, trybem oznajmującym:

– Spotkałam się z nim dwa razy. – I dodała bardzo dobitnie: – W kawiarni.

Piotr, który aż do dziś w to wątpił, teraz jakby nabrał pewności, że naprawdę chodziło tylko o kawiarnię. Natychmiast zapomniał, że uraził swoją żonę. Sięgnął po ręcznik w kolorze pomarańczy i zapytał tonem prawie obojętnym:

– A po co, jeśli mogę spytać?

– W twojej sprawie. Chciałam, żeby poradził mi, jak mam ci pomóc. On cię lubi.

– Do cholery, nie mów tak jak on. On lubi mnie równie mocno, jak ja jego. Kiedy byłem na fali i piąłem się coraz wyżej, wiedziałem, jak traktować ludzi, bo wiedziałem, że kiedyś po tych schodach będę szedł w dół i będą mi wtedy potrzebni. Nie jestem takim idiotą, by zadzierać nosa, zapominając, co może nadejść. On był od tej zasady jedynym wyjątkiem i teraz się na mnie mści.

– Wstawiał się za tym, żebyś grał – sprzeciwiła się Alena.

– Raz! – odciął się butnie Piotr. Uświadomił sobie, że Alena ma rację.

– Piotrze, nas może uratować tylko prawda. Prawda może nas uratować, tak jak mogłaby uratować cały świat.

– Nie pleć tych bzdur. Wisi mi, czy świat się uratuje. Ten świat jest tak okropny, że sprawiedliwością absolutną byłoby, gdyby wszystkich zabiła jakaś bomba. Wszystkich. Bogatych i biednych. Wtedy zapanowałby porządek i wszyscy mieliby wszystkiego po równo. Mnie jest teraz najgorzej, a żeby zrobiło mi się lepiej, wyślę Karola po piwo. Teraz już mogę pić, nie czeka mnie żaden mecz, jedynie wieczorem z tobą, a to są najpiękniejsze mecze, jakie na tym świecie przeżyłem.

Alena milczy, rozmowa z Piotrem zeszła na zupełnie inne tory. Jakby zboczyli z drogi wiodącej przez las i zbliżyli się do przepaści, na której dnie jest ciemność, kamienie i samotność. Wróciła na fotel, skuliła się w kłębek i patrzyła przez okno na kończący się jesienny dzień, pozornie piękny, z dojrzałym słońcem, a wewnątrz smutny przez to, jak oboje się czuli. Wiele razy już myślała o tym, że przyroda jest wciąż taka sama, niezmienna, a zmieniają się tylko nastroje ludzi. Przed ich blokiem stał olbrzymi orzech, teraz opadały z niego liście, a Alenie przyszło do głowy, że zanim minie noc i nadejdzie ranek, drzewo będzie gołe i smutne. Z rozważań wyrwał ją głos Piotra:

– Karol!

Drzwi pokoju dziecięcego otworzyły się i przyszedł Karol, najwyraźniej drzemał na tapczanie po swoim chłopięcym meczu.

– Przynieś mi dwa litry piwa. W kuchni jest dzbanek i pieniądze. Karol nie wiedział, co ma o tym myśleć, nigdy nie chodził po piwo, ponieważ jego tata od dawna piwa nie pił. Kiedyś owszem, ale w ostatnich latach nigdy go do baru nie posyłał. Chłopiec zapytał więc:

– Mam wziąć też wodę sodową?

– Nie, Karolu – odpowiada zdecydowanie Piotr. – Od dziś będę pić piwo tak jak wszyscy inni na naszej ulicy.

– Dobrze, tato – powiedział Karol i wyszedł.

Alena oprzytomniała i powiedziała, już zrezygnowana:

– Dlaczego posłałeś go po piwo? Kocha cię tak bardzo między innymi dlatego, że nie pijesz i nie palisz. Sama bym ci je przyniosła.

– Niech się przyzwyczaja. Będę pić. Będę palić. I inne rzeczy też będę robić. Bardzo długo żyłem jak pustelnik. Tego, że o dziewiątej chodziłem spać, cała ulica mi nie zazdrościła? Tego, że wypiłem tysiące butelek wody, mi nie zazdrościli? A przecież ile razy miałem taką chęć na piwo, właśnie dlatego, że go sobie zabroniłem. Kręciło mi się w głowie na samą myśl o tym, jak spływa mi po przełyku i chłodzi.

Alena w ogóle go nie słuchała, ponieważ słyszała to już tysiąc razy. Zapytała prosto z mostu:

– Z czego będziemy żyć?

– Pójdę do pracy – powiedział Piotr takim głosem, jakim ludzie mówią, że pójdą się utopić. Brzmiał w nim sprzeciw, a poza tym była to nieprawda, a Piotr wiedział to równie dobrze jak Alena.

– Tego już nie umiesz. Kiedy jesienią trzeba przekopać ogródek, musi przychodzić twój wujek.

Powiedziała to z przekąsem, żeby te słowa zabolały, ale też po to, żeby doprowadzić męża do prawdy, którą mało kto z nas chciałby kiedykolwiek usłyszeć. Lecz tym razem Piotr na jej uwagę w ogóle nie zareagował i powiedział:

– Przyzwyczaję się i do łopaty. Mnie już wszystko jedno.

– Ani tobie nie jest wszystko jedno, ani my z tego nie wyżyjemy.

– Jak nie wyżyjemy?! Przecież żyją z tego tysiące ludzi – w jego głosie brzmiała wściekłość, odezwały się w nim resztki byłego robotnika,

dumnego i przekonanego, że utrzyma się z pracy własnych rąk. – Będziemy musieli się przyzwyczaić. Wiadomo, że skończą się te twoje zakupy w Peweksie. O ile mi wiadomo, normalni robotnicy tam nie chodzą.

– Piotrze, to twoja wina, że nic nie umiesz – Alena powiedziała zdanie, za które mógł ją uderzyć, ale on tylko się rozwścieczył.

– Jak to nic? – krzyczał, jednocześnie uświadamiając sobie cień prawdy, ale jeszcze nie całą prawdę. I dodał półgłosem: – Umiem grać w piłkę.

– Myślę, że to za mało. Dla wielu osób nie znaczysz nic. Nie potrafią zrozumieć, że ganiacie po murawie z jednego końca na drugi tylko po to, żeby któraś z drużyn wygrała. A co się stanie, kiedy któraś drużyna wygra? Nic.

– Jesteś głupia! – wykrzyknął Piotr.

– Śmiało, możesz mnie obrażać, ale ludzi, dla których nic nie znaczysz, są tysiące. Dla nich jesteś zerem.

– A czym jestem dla ciebie? Też zerem? – wciąż krzyczy Piotr.

– Nie, dla mnie nie. Kocham cię.

– Nie ogłupisz mnie takimi gadkami – mówi Piotr już łagodniej, ale mimo to dodaje ze złością: – Tak to sobie możesz rozmawiać z doktorem Plockiem. Powiem ci, kim dla ciebie jestem. Miłym głupkiem. Wprawdzie nie podoba ci się to, że jestem piłkarzem, ale jakoś dotychczas aż tak bardzo ci to nie przeszkadzało, bo zarabiałem kupę kasy. Bo przywiozłem ci kożuch z Nowego Jorku, sweterki z Austrii, materiały z Paryża. I przez całe lata wszystko kupowaliśmy w Peweksie, aż dziw, że nie kupowałaś tam też chleba. Dlaczego nie odmówiłaś przyjęcia wszystkich tych pieniędzy i bonów, skoro pochodziły z tej obrzydliwej piłki? Brałaś je, ale teraz się skończyły. Ja to przeżyję, wiedziałem, że mój kres kiedyś nadejdzie, liczyłem się z tym, ale ty się z tym nie pogodzisz.

– Pogodzę. Brałam życie takim, jakie było i za każdą rzecz byłam wdzięczna – mówi spokojnie Alena. – Musieliśmy z czegoś żyć, a większości kobiet jest obojętne z czego. – I dodała: – O ile ich mąż nie jest katem. Musiałam dbać o rodzinę, o swój wygląd i uśmiechać się, kiedy wrócisz z treningu albo z meczu. I czekałam na ciebie całymi miesiącami, a ty często wracałeś zmęczony i tylko mi tu stękałeś, nie kręć głową, to jest odpowiednie słowo, stękałeś. Poznałam ten cały wasz futbol od innej strony niż wasi fani, którzy widzą w was bohaterów. Ile razy byłeś z nami na spacerze? Ile razy na wycieczce? Ja sobie te pieniądze zarobiłam. Zapłaciłam za nie cholernie dużo. Co chcesz mi wyrzucać?

Piotr obserwuje żonę i pojmuje, że ona ma rację, taką rację, której on nie chce do siebie dopuścić, ponieważ byłby gorszy, niż za jakiego się uważa. Dlatego dodaje:

– W ten sposób umiesz zarabiać. To kobiety potrafią bardzo dobrze. Jeszcze zapomniałaś do tej pracy doliczyć łóżko, to jest teraz w modzie.

– Łóżka doliczać nie będę, to było przyjemne dla nas obojga, przynajmniej tak zawsze mówiłeś. Ale większość spraw tak przyjemna nie była.

A potem długo mówili sobie rzeczy, których tu powtarzać nie będę, ponieważ zostały już napisane w licznych opracowaniach i książkach, a wy, jeśli jesteście żonaci lub zamężne, znacie je przecież dobrze z domu z tych chwil, kiedy dzieci poszły spać albo kiedy zamykacie drzwi, żeby was nie słyszały. Ciekawsze było chyba to, co Alena powiedziała Piotrowi o sławie. Zaczęła tymi słowy:

– Kiedy dorosłam, żadnej kobiecie nie zazdrościłam sławnego męża, bo popularność to tylko okno wystawowe, które widać z ulicy. Pewnego dnia zrozumiałam, że ludzie cię rozpieścili i przeraziło mnie to. Naprawdę przeraziło. Dlaczego chciałam, żebyś oprócz grania skończył jakąś szkołę?

Nauczył się języka obcego? Grałeś w piłkę kilka godzin dziennie, a potem nie robiłeś nic. Miałeś wokół siebie koleżków, którzy poklepywali cię po plecach, i to ci wystarczało. Tyle że oni są jak muchy siadające na słodkie ciasto, a kiedy przestaje być słodkie, odlatują. Byłam na to przygotowana, ale myślałam, że stanie się to później, za jakieś dwa lata. Myślałam, że jeszcze się czegoś nauczysz. Dziś nie umiesz nic.

To słówko „nic" rezonowało w ciszy pokoju i może dlatego, że było takie krótkie i że miało tylko trzy litery, było bardzo mocne i zadziałało na Piotra zupełnie inaczej, niż planowała Alena.

– Nic? – krzyknął i poderwał się. – A to ci nowina. I chyba nigdy nie umiałem, skoro piłka nożna też jest według ciebie gówno warta! To za co dostałem ten puchar?! Za nic?

Wziął puchar i cisnął nim o ścianę, a on stłukł się, różnej wielkości odłamki spadły Piotrowi pod nogi i pokryły miodowy dywan. Chwycił drugi, podniósł go nad głowę i rzucił nim w to samo miejsce. Ten puchar był z ciężkiego kryształowego szkła, więc on się nie rozbił, pękł tylko na pół jak lód na rzece. Alena doskoczyła, ale nie miała siły podnieść rąk, by powstrzymać męża, ponieważ ostatni puchar, który był najbardziej kruchy, ze szkła cieniutkiego jak delikatna pajęczynka, Piotr trzymał już w dłoniach, a ona przestraszyła się, że ciśnie nim w jej głowę, ale w tym ułamku sekundy nie myślała o sobie, o siebie się nie bała, pewnie dlatego, że wydawało się jej, że w tej chwili jej życie się kończy, i myślała o Karolu, że nie miałby kto się nim zająć, i myślała o Piotrze, że nie miałby kto się nim zająć. I złożyła tylko ręce jak człowiek w kościele, który oczekuje ratunku, i szeptała słowa, których Piotr nie przyjmował do wiadomości:

– Piotrze, nie! Proszę cię, nie!

A on stał i krzyczał na cały pokój, na cały blok, a właściwie na cały świat:

– A ten mam za co? Też za nic?

Trzymał puchar nad głową, ale potem opuścił ręce, jakby podświadomie rozumiał, że w jego zachowaniu jest jakiś nonsens. Był wyczerpany i zdyszany, a pomarańczowy puchar z jedwabnego szkła wyślizgnął mu się z bezwładnych dłoni i rozsypał na miliard kawałków, tworząc mały kopczyk, jakby zbudowały go tu szklane mrówki. Lecz przecież takie mrówki nie istnieją. Te odłamki i kawałki szkła rozrzucone po pokoju wraz z całym tym szklanym pyłem przyniosły jednak coś szczególnego. Jak kiedy mężczyzna uderzy kobietę, a potem tego żałuje albo kiedy człowiek odchodzi od grobu, wypłakuje się i czuję ulgę. W pokoju nastał dziwny spokój, jakby wszystko zostało powiedziane i tak właściwie nie trzeba było już o niczym mówić. Zapanowała długa cisza, Piotr dowlókł się do fotela i rozpiął białą koszulę, guzik po guziku, ukazując klatkę piersiową z ciemnymi włosami, było widać, jak wdycha i wydycha powietrze całym ciałem, które zmęczyło się chyba bardziej niż podczas meczu. A Alena, której po policzkach płynęły łzy, mówiła:

– Przepraszam, nie to chciałam powiedzieć.

A potem Piotr przemówił głosem, jakim opowiadał Karolowi bajki, kiedy był jeszcze małym chłopcem i ssał w łóżku kciuk:

– Nic nie mów. Kiedy ludzie mnie oglądali, mieli rozrywkę i na dwie godziny zapominali o problemach w pracy albo o tym, że dzieci kiepsko się uczą. Przez dwie godziny brali opium, po którym nie bolała ich głowa. Dawałem im podobną zabawę jak cyrkowcy. Już chyba nie jestem piłkarzem, jestem klaunem. Moją areną jest zielona murawa. Praca jak każda inna. A przecież lubię ludzi, tylko czasem ich nienawidzę i nie umiem sobie tego wyjaśnić. Ale zazwyczaj nie czuję do nich nienawiści, nawet doktor Plocek zazwyczaj mnie tak nie wkurza. Po prostu myślę, że

jako lekarz klubowy był hołubiony przez cały kraj, a to mu się nie należy. I powinien mówić swoim pacjentom prawdę.

– Piotrze, przecież nie chciałeś jej słyszeć.

– Kiedy wiele lat temu powiedział mi, żebym oprócz piłki robił coś innego, rzuciłem w niego korkami – powiedział Piotr pokorniej. – Wziąłem buty i cisnąłem nimi w niego. I od tego czasu się nie lubiliśmy. A najgorsze było to, że właściwie miał rację. Może nie jest takim łajdakiem, jak myślę. A ja nie jestem takim łajdakiem, jak myśli on. Ogólnie ludzie nie są dobrzy albo źli. Każdy jest jednocześnie dobry i zły. Wiesz, ja nie chciałem wtedy słyszeć, że mój zawód jest właściwie dość kiepski i że kiedy człowiek go wykonuje, powinien budować sobie jeszcze coś innego. Wierzyłem też, że socjalizm o mnie zadba, a niektórzy ludzie mnie w tym utwierdzali. Ale to była głupota. Ten socjalizm jest na razie taki, że nie potrafi zadbać o nikogo. Oboje szukamy teraz prawdy – powiedział Piotr i dodał: – To dlatego rozwaliłem te puchary.

– Nie powinieneś ich niszczyć, Piotrze. Były piękne.

– Zniszczyłem je w furii, ale wiem, dlaczego to zrobiłem, mimo że teraz już jestem spokojny. Były za coś, co przestało istnieć. A to, dlaczego i jak grałem, zostanie we wspomnieniach ludzi – mówił, jakby był poetą, a nie piłkarzem Niebieskich. – Ja nie mogę wspominać, ludzie mogą. Nie mogę w wieku trzydziestu sześciu lat rozsiąść się w fotelu i patrzeć na puchary. Wierzenie tylko w to, czym człowiek był, oznaczałoby śmierć. Co mi z tego przyjdzie? Ważna jest teraźniejszość. Ten mecz nie skończy się nawet na łożu śmierci, a kiedy człowiek już zamknie oczy, chyba tylko Bóg będzie mógł osądzić, jaki kto był, jak grał i czy dostanie jakiś puchar. Puchar od Pana Boga przyjąłbym bez wahania!

Alena siedziała już spokojnie i myślała o słowach męża, a kiedy na chwilę zamilkł, powiedziała:

– Piotrze, może taki dostaniesz. Może każdy z nas dostanie puchar od Pana Boga, ale będą one różnej wielkości w zależności od tego, jak zachowywaliśmy się na tym świecie. Jeden będzie zrobiony na przykład z nieba. Inny ze złotych gwiazd. A jeszcze inny z Drogi Mlecznej.

– To byłoby piękne, Aleno. Ja chciałbym ten z Drogi Mlecznej. Muszę posprzątać to szkło, zanim wróci Karol.

– Co mu powiesz, kiedy zapyta, gdzie są puchary?

– Będę kłamał. Skoro nie przeszkadzają mi kłamstwa w sprawach istotnych, dlaczego nie mógłbym kłamać przy takiej drobnostce. Powiem mu, że były tylko pożyczone.

Piotr schyla się i zaczyna zbierać na papier duże odłamki. Obraca się do Aleny:

– Włącz ten telewizor. Ciekawe, ile jeszcze wbili.

Alena włącza telewizor, ale już za późno, mecz się skończył, obraz znika, słychać jeszcze tylko głos komentatora:

– …wynikiem pięć do jednego dla Niebieskich. Był to pokaz młodzieńczego zapału i energii. Musi cieszyć, że mamy tak dobrze rokujących młodych piłkarzy, którzy są przyszłością tej drużyny i całego kraju. Pozdrawiam wszystkich kibiców sportowych. Do widzenia!

Piotr zbiera szkło i znów obraca się do Aleny:

– Co za bzdury wygaduje ten reporter. W każdym razie mnie już pochowali. Kiedy tak o tym myślę, to w sumie dobrze, człowiek może odetchnąć, że pogrzeb ma już za sobą. Wyniosę to szkło na śmietnik. Kto otwiera drzwi?

– No przecież Karol. Wziął ze sobą klucz. Mama mówiła, że dziś nie przyjdzie.

– Zamiotę to szkło pod kanapę – mówi Piotr.

– Karol! – krzyczy Alena, widząc Karola z dzbanem piwa. – Co się stało? Dlaczego jesteś taki zapłakany?

Karol odstawia dzban z piwem na tapczan, kuli się w kłębek i płacze. Alena głaszcze go po głowie. Podchodzi Piotr, podnosi synowi twarz i wyciera mu chustką policzki.

– Mamo – syn zanosi się płaczem – mamo, w barze podszedł do mnie jeden pan i powiedział, że tata… – mówi Karol i znów wpada w szloch.

– Co ci powiedział?

– Powiedział, że tata jest już skończony i że powinni wyrzucić go już dawno. A potem mówił o tacie takie dziwne rzeczy.

Piotr milczał, patrzył gdzieś w ścianę i przestępował z nogi na nogę jak bokser, który chce wejść na ring na kolejną rundę lub wyprowadzić akcję, która zdecyduje o wyniku walki, ale nie może, ponieważ jest ogłuszony i właściwie już znokautowany. Milczał i stał. Alena mówiła do Karola, Piotra, a także do siebie:

– Ten człowiek był pijany. Ktoś, kto mówi coś takiego, sam raczej niczego konkretnego w życiu nie osiągnął, potrafi tylko oczerniać w barze tych, którzy coś potrafią.

– Przecież taty nie wyrzucili – powiedział Karol. Było to pytanie i była w nim nadzieja.

Teraz przemówił Piotr:

– Nie, wciąż jestem zawodnikiem Niebieskich.

– To dlaczego nie grałeś?

– Źle się czułem. Byłem zmęczony.

– A jak długo będziesz jeszcze grać, tato?

– Nie wiem – powiedział zrezygnowany Piotr.

– Dwadzieścia lat? – zapytał Karol, znów z nadzieją w głosie.

– Być może. Ale nie będę grać zawsze w tak słynnym klubie jak Niebiescy. Najchętniej wyjechałbym na dwa lata za granicę, a potem może wrócił do kraju i grał w mniejszych klubach, aż kiedyś będę grać w takim klubie, który będzie mieć boisko za rozpadającym się murem, i na który nie będą przychodzić żadni kibice. Ale będę tam grać dla przyjemności, tak jak wtedy, gdy byłem jeszcze małym chłopcem.

– Tato – powiedział Karol, wycierając rękawem buzię – chciałbym cię o coś poprosić.

– O co?

– Tato, skoro jeszcze grasz, chciałbym cię poprosić, żebyś nie pił tego piwa. Przyniosłem ci też wodę. Zostawiłem ją przed drzwiami.

Piotr milczał i myślał, co też dzieje się w tej małej duszyczce, która nie wie, że kiedy człowiek jest na końcu swej drogi, nie ma już znaczenia, czy pije piwo, czy wodę sodową. Lecz już kiedyś planował przenosiny do jakiegoś małego klubu w Szwajcarii, gdzie przez jakiś czas mógłby zarabiać tyle co tutaj, a może nawet więcej, a w takim przypadku lepiej byłoby do piwa się nie przyzwyczajać. Wiedział również, że nawet Szwajcaria nie jest ratunkiem, bo za dwa lata znajdzie się w takiej samej sytuacji, a być może nawet jeszcze gorszej. Potem spojrzał na Karola i te jego proszące i smutne oczy, jakie widział też kiedyś u foksteriera pana Opędzacza. Piotr schodził wtedy po schodach i jadł parówkę, a ten pies siedział i tak na niego patrzył, że Piotr dał mu połowę tej parówki, a był wtedy jakiś taki wkurzony na ludzi, że pomyślał, że psy są lepsze niż ludzie, zresztą wiele osób tak sądziło. I właśnie tak, jak wtedy pies sąsiada, wyglądał teraz Karol, a Piotr źle go wychowywał i nigdy nie potrafił mu niczego odmówić, poszedł więc do łazienki, mówiąc:

– W takim razie ja to piwo wyleję.

Przymknął drzwi i odkręcił kurek w umywalce, żeby woda szumiała, a potem pił piwo prosto z dzbanka, a było tak dobre i delikatne, że zapomniał o wszystkich smutkach dnia. Piwo gorzkniało mu w ustach i przynosiło słodycz podniebieniu i gardłu. Spływało, a szkło dzbanka również miało jakiś chłodny smak i był to smak chyba pieca szklarskiego, ponieważ kiedyś po jakimś meczu wyjazdowym poszli na wycieczkę do huty i tam na oczach Piotra został zrobiony ten dzbanek. A kiedy już raz na bardzo długi czas z niego pił, zawsze przypominał mu się ten pomarańczowo-czerwony piec, i tym chłodniejsze i łagodniejsze było piwo.

Dzień już zbliżał się ku końcowi. Piotr wylał resztę piwa do umywalki, żeby zmniejszyć wymiar swojego kłamstwa, wrócił do pokoju i zapytał:

– Jesteś zadowolony?

Szczęśliwy Karol przytaknął, usta rozciągnęły mu się w uśmiech, za którym jeszcze gdzieś z tyłu schowane był łzy i naiwność dzieciństwa i chłopięctwa, nie wiedzących, że dorośli oszukują bardziej niż dzieci, ale w taki sposób, że nikt się o tych kłamstwach nie dowiaduje.

– Tato, to ja przyniosę te butelki – powiedział Karol.

– Nie chcę teraz wody. Idź sobie poczytać – odparł Piotr.

Karol wyszedł, a Alena, która przyglądała się całej tej scenie i milczała, tak jak milczy się w kinie lub w teatrze, zapytała:

– Kto był w tym barze? Może stary Kratochwil? Co za drań.

– Nie tylko jego byłoby na to stać. Być może są to ci, którzy kiedyś śpiewali na moją cześć. Oni najchętniej budują stosy i palą. Nie mówiłem ci, jak krzyczeli na mnie w ostatnich meczach. Cieniasie! To było przepiękne uczucie – dodał Piotr ironicznie.

– Wiem o tym – powiedziała spokojnie Alena.

– Skąd? – zapytał Piotr.

– Byłam na trybunach i wracałam do domu taksówką.

– Ty byłaś na stadionie? – powiedział Piotr, a na twarzy rozlała mu się błogość i może nawet piękno, przez całe lata na to czekał, ponieważ zawsze marzył o tym, żeby grać w piłkę tylko dla Aleny. Zazdrościł pisarzom, którzy mogli napisać w książce dedykację *Mojej kochanej żonie* lub coś w tym stylu.

Lecz Alena poszła na mecz z innych pobudek, co zresztą przyznała:

– Chciałam zrozumieć, czym żyłeś, zanim z tym skończysz. W gazetach napisali potem, że grałeś źle. Nie wiem, nie znam się na tym. Według mnie grałeś pięknie. Musiałeś w sobie mieć olbrzymią siłę, żeby wytrzymać te okrzyki. Miałam ochotę przejść przez siatkę, wziąć cię za rękę i powiedzieć, że to nie jest miejsce dla ciebie. Zabrać cię stamtąd. To było tylko marzenie, ale zrozumiałam, że muszę znaleźć pociąg, do którego będziesz mógł się przesiąść i jechać dalej.

– Wiesz, Aleno – powiedział Piotr i powiedział to tak miękko, jakby znów rozumieli się tak jak kiedyś – ja też tak myślę. Potrzebuję tylko odpocząć od tej dwudziestoletniej gonitwy. Może ten doktor Plocek nie jest aż takim złym lekarzem. Może i postawił dobrą diagnozę. Jestem zmęczony psychicznie. Tego dnia, kiedy mnie wyrzucili, śniła mi się rampa na dworcu, po której mógłbym przejść i czekać na inny pociąg, ten, o którym mówisz, choćby do Nibylandii. Nibylandia byłaby najsprawiedliwszym piłkarskim krajem świata, gdzie przed pełnymi trybunami graliby nawet starzy piłkarze, którzy mają już wszystko za sobą, ale kopią dla mądrości i piękna. Gra miałaby smak starego wina, a za swój wysiłek dostawaliby tyle samo pieniędzy co w młodości.

Alena słuchała, chciała coś na to powiedzieć, ale nie wiedziała co, ponieważ to była przecież tylko bajka, która nigdy nie mogła się urzeczywistnić. Życie było inne, dużo bardziej skomplikowane. Naprawdę nie wiedziała, co powiedzieć, uratował ją dzwonek u drzwi. Zadzwonił

jeszcze raz, brzmiało to jak karylion. Piotr przywiózł ten dzwonek z Paryża. Ich listonoszka zawsze dzwoniła kilka razy, ponieważ bardzo podobał jej się ten dźwięk. Twierdziła, że przypomina jej młodość, kiedy chodziła z mamą do kościoła.

Alena poszła otworzyć, za drzwiami stali dwaj mężczyźni i trzymali jakieś zawiniątko. Powiedzieli:

– Dobry wieczór – a ona im nie odpowiedziała, tylko z miejsca zapytała:

– Słucham?

Ten pierwszy, który był szczupły, miał niebieskie oczy i brązowy pilśniowy kapelusz osunięty na czoło, zaczął:

– Pani Hendrych, jesteśmy z Klubu Przyjaciół Niebieskich. Chcielibyśmy porozmawiać z pani mężem.

– Panowie, on jest zmęczony – odparła Alena.

– My tylko na chwilkę – powiedział ten niższy, bardziej korpulentny, i również uśmiechnął się takim miłym uśmiechem, jak przed momentem jego kolega.

– Proszę, wejdźcie – prowadziła ich do pokoju. Piotr wstał, wymienił z gośćmi typowe grzecznościowe formułki, a potem zapytał rzeczowo jak sklepikarz stojący za ladą:

– W czym mogę pomóc?

– Panie Hendrych, właśnie mija dwadzieścia lat od dnia, kiedy zaczął pan bronić naszych niebieskich barw. Przyszliśmy podziękować panu w imieniu Klubu Przyjaciół. Chcieliśmy to zrobić na boisku przed meczem, ale nie było tam pana.

Piotr uśmiechnął się lekko, ucieszyło go, że pamiętali, ale nie powiedział nic, tylko zwrócił się do Aleny, która stała oparta o biblioteczkę i obserwowała ich:

– Podaj nam koniak i szklaneczki.

Obaj bronili się, że nie będą pić, a ten z niebieskimi oczami powiedział:

– Chcemy panu tylko coś przekazać i idziemy.

– Przekazać?

– Puchar – powiedział grubszy podekscytowany i zaczął rozpakowywać puchar ze specjalnego fioletowego papieru. Piotra oblał pot i powiedział zdecydowanym głosem:

– Panowie, ja nie zbieram pucharów. Naprawdę nie. Proszę się rozejrzeć, nie ma tu ani jednego.

– Ale jeśli przyjąłby pan od nas ten puchar, sprawiłby pan nam dużą przyjemność – odparł niższy. Powiedział to takim tonem, że Alenie, która milcząco obserwowała całą tę scenę, zdawało się, że ten mężczyzna się rozpłacze, jeśli Piotr mu odmówi. I rzeczywiście, ten mały facecik nalegał, mówiąc coś w stylu: – My tych przyjemności mamy niewiele, ciągle tylko harówka i użeranie się z ludźmi. Wie pan, Klub Przyjaciół.

A ten wysoki dodał:

– Byłoby nam naprawdę bardzo miło.

Piotr milczał, myślał, zaczynał rozumieć, że im chodzi o coś więcej niż o puchar. Być może to nie był taki puchar, jaki kupuje się za ministerialne albo klubowe pieniądze, może ten puchar był cenniejszy, bo zbierało się na niego grosz do grosza, tak jak zbiera się na biednych. Może nie będzie tak piękny jak te, które Piotr zniszczył, ale będzie dany z serca, a nie z jakichś bezpańskich budżetów. Myślał o tym, a oni milczeli i nie odważyli się rozpakować tego pucharu, ponieważ widzieli, że Piotr jest zdenerwowany i wyczerpany, widzieli, jak bezsilnie siedzi. Piotr myślał tak długo, jak potrafił, aż w końcu powiedział:

– Zgoda. Postawcie go tutaj. – I nawet nie poprosił ich, żeby go wypakowali, a oni chyba nawet nie chcieli tego robić, bali się, że mógłby

się nie spodobać. Piotr, jakby pragnął usłyszeć coś innego, niż mówił komentator telewizyjny, zapytał: – Jaki był mecz, panowie? – a oni odpowiedzieli: – Nie było to złe spotkanie. Młodzi grali dobrze. Ale nie są tacy jak pan. Pan gra całym sercem, można by wręcz powiedzieć, że pan gra, jakby bronił pan prawdy.

Piotr uśmiechnął się od ucha do ucha, ponieważ to było dokładnie to, co myślał o sobie od lat i był to jego największy powód do dumy, ale nikt nigdy tego nie powiedział, nikt nigdzie tego nie napisał. On sam też nie mógł tego powiedzieć, ponieważ człowiek czasami wstydzi się powiedzieć to, co o sobie myśli. Zatem teraz też nie chciał tego powtarzać, przytaknął tylko i znów zapytał:

– Na pewno się panowie nie napiją? Mam wyśmienity koniak. Przyleciał z Paryża. Remy Martin.

– My już pójdziemy – powiedział ten wyższy. Pożegnali się uściskiem dłoni i wychodzili prawie na palcach, jakby nie chcieli nikomu przeszkadzać. Alena odprowadziła ich do drzwi, a kiedy wróciła do pokoju, zobaczyła, jak Piotr rozpakowuje puchar i mówi:

– No to nieźle. Znów mam puchar. Mam co rozwalać.

Ale to *rozwalać* powiedział takim innym, raczej dowcipnym tonem, więc Alena pozostała spokojna, usiadła i patrzyła, jak Piotr zrywa papier za papierem, aż pojawił się prosty puchar z gładkiego szkła o szczególnej barwie. Piotr obracał go w rękach, a nagle powiedział ostro:

– Aleno, odsłoń firankę!

– Po co miałabym ją odsłaniać? Przecież jest jasno.

– Odsłoń, mówię ci. Zapada zmrok. Ten puchar wydaje mi się jakiś dziwny.

Alena wstała, odsłoniła firankę, do pokoju wpadło więcej światła, a jej mąż podszedł do okna, podniósł puchar, aż przeszyły go promienie słońca.

Piotr trzymał puchar w wyciągniętej ręce i podziwiał:

– Widzisz to piękno? Wygląda, jakby został wycięty z gwiazd. Popatrz – powiedział i kręcił nim tak, jak kręci się latarnia morska. Potem oznajmił: – A teraz ma kolor błękitnego nieba.

A nagle, jakby przestraszył się tego, co powiedział, a przede wszystkim tego, co zobaczył, krzyknął głosem, w którym był lęk, a nawet coś więcej niż lęk – coś jak strach, przerażenie i zaskoczenie:

– Zasłoń okno! Do cholery, zasłoń to okno!

I szybko podszedł do stolika, odstawił puchar i zakrył oczy rękami. Alena natychmiast zaciągnęła firankę i podbiegła przez cały pokój do męża, uklękła u jego nóg, i próbując oderwać mu ręce od oczu, dopytywała się:

– Co ci jest? Co się stało?

Piotr po chwili zdjął dłonie z twarzy i powiedział cicho:

– Oblał mnie pot. Aleno?

– Słucham, Piotrze.

– Jak nazywali się ci faceci?

– Nie przedstawili się. Powiedzieli tylko, że są z Klubu Przyjaciół Niebieskich.

– A widziałaś ich kiedyś na naszych imprezach klubowych?

Alena lekko pokręciła głową, jakby nie mogła sobie przypomnieć, a Piotr kontynuował:

– Przyszło mi do głowy coś strasznego.

– Co mogłoby ci jeszcze przyjść do głowy?

– Aleno, mówiłaś, że kiedy umrzemy, dostaniemy puchar od Pana Boga i będzie on z niebieskiego nieba i złotych gwiazd i…

– Nie! Nie! – krzyknęła Alena. – Nie kończ, Piotrze!

– Cicho bądź! – zaczął krzyczeć również Piotr, wstał i od razu wypełnił pokój swym olbrzymim ciałem. Ciągnął: – …ze złotych gwiazd i Drogi Mlecznej. A co mówili ci faceci! Słuchałaś ich w ogóle? Że latają po świecie i że mają z ludźmi strasznie dużo pracy. Owszem, latają – dodał i położył na słowo *latają* taki akcent, że samo to słowo uniosło się w powietrze i przedzierało na zewnątrz. Alenę ogarnęło przerażenie wielkie jak nigdy wcześniej podczas tych piętnastu lat wspólnego życia. Wydawało się jej, że nadchodzi to, czego boi się mnóstwo ludzi i czego do siebie nie dopuszczają. Wtuliła się w męża, kiedy tak stał, objęła go wokół szyi i mówiła wyraźnie, jakby chciała odegnać wszystkie niebezpieczeństwa, które miał teraz w głowie.

– Piotrusiu, ja się tak bardzo boję, od kiedy jesteś taki smutny i krzyczą na ciebie z trybun. Na Boga, proszę cię, nic już nie mów, strasznie się boję.

Piotr nawet jej nie odsunął, tylko mówił, ale nie mówił do niej, patrzył w ścianę, jakby jego żony w ogóle tam nie było:

– Po prostu przyszło mi do głowy, że ci faceci przylecieli z góry. Że ja wkrótce umrę, a im się coś pomyliło i przynieśli mi ten puchar od Pana Boga wcześniej.

– Piotrze, oni nie mówili, że latają. Mówili tylko, że mają dużo pracy i że się użerają. Dziś wszyscy tak mają. To jest różnica, rozumiesz? Różnica!

Te ostatnie słowa Alena już wykrzyczała, jakby chciała wyryć je w jego mózgu. Nie wiedziała tylko, czy ten mózg jest tylko przeciążony, czy już chory. Lecz Piotr najwyraźniej w ogóle jej nie słuchał. Uwolnił się z objęcia i ponownie sięgnął po puchar. I przebąkiwał coś, bardziej do siebie niż do niej, jakby nie znajdował się już na tym świecie, ale na innym, który nie ma granic ani końców, i którego nikt nie zna:

– Zobaczę, czy jest tam jakiś napis. Nie ma. A może jest? – pytał sam siebie i mówił dalej: – A jednak jest. Tutaj. Niewyraźny: Prawda może nas uratować! A co ci dwaj mówili o prawdzie? Co mówili?

– Pokaż! To niemożliwie! – krzyknęła Alena i wzięła puchar. Podbiegła do okna i znów odsłoniła firankę i przyglądała się pucharowi ze wszystkich stron. A potem powiedziała z ulgą: – Nic tu nie ma. Przecież to ja, a nie oni, mówiłam ci, że prawda może nas uratować. Piotrusiu, nic tu nie ma, a ten puchar dla odmiany rozwalę ja – powiedziała już z większym zdecydowaniem i próbowała w panice szybko otworzyć okno: – Wyrzucę go na dwór.

– Niczego nie rozwalisz! To jest najpiękniejszy puchar, jaki dostałem. Pokaż, popatrzę jeszcze raz.

Ogląda puchar i mówi zaskoczony:

– Masz rację, nie ma tu żadnego napisu. Po prostu mi się przywidziało. Z tym pucharem też nie jest tak, jak mówiłem. To po prostu takie dziwne szkło, które mieni się różnymi kolorami. Dziś robi się takie puchary. A tych facetów już chyba gdzieś widziałem.

Alena czuje ulgę, wszystko z niej opada, nagle uświadamia sobie, że prawie wszystko jest w porządku i że ich jutro przecież może być dużo gorsze niż dzisiaj. Bierze męża za rękę i mówi:

– Rozbierz się. Pościelę ci łóżko.

Wychodzi, a Piotr zrzuca z siebie koszulę i spodnie, stoi tu nagi. Potem czuje, że bardzo chce mu się pić, idzie do przedpokoju i woła:

– Gdzie ten chłopak dał te butelki?

Alena odkrzykuje z sypialni:

– Do lodówki.

Piotr idzie nagi do kuchni, zapala światło, nie dba o to, że z bloków naprzeciwko wszystko widać. Otwiera lodówkę:

– Napiję się wody sodowej. Jestem uzależniony od wody. Wypiłem morze wody sodowej. Mogliby przyznać mi tytuł zasłużonego sodówkarza. Takiego tytułu jeszcze nie mam. A ten chłopak dzisiaj, kto by pomyślał? Jak on chciał, żebym wylał to piwo. Co za bestia!

Kończy ten monolog, którego nikt nie słyszy, i wypija jeszcze jedną wodę sodową. Potem idzie do sypialni, gdzie czeka na niego Alena z piżamą. Ubiera go jak małego chłopca i mówi:

– Musisz się położyć. Strasznie potrzebujesz odpoczynku. – Tego potrzebuję teraz najbardziej. Przyjdź potem do mnie.

– Dziś nie, kochanie – odpowiada miękko Alena, układa go do snu jak Karola i przykrywa go kocem w czerwono-białej poszwie. Wychodzi na palcach i gasi światło. Piotr kuli się, by złapać trochę ciepła, i cieszy się, że jest sam, zasypia, ale jeszcze przypomina mu się, że podobną poszwę mieli w domu, tylko w fioletowe prążki, ale to było bardzo dawno temu. Mama układała go wtedy do snu tak jak teraz Alena i całowała go w czoło. Może przyśni mu się bajkowa kraina, w której nawet starzy piłkarze grają dla przyjemności i dla pieniędzy, i gdzie jest inaczej niż w tym pokręconym świecie, w którym się jutro obudzi.

Flaga z niedźwiedziem

Wąska ścieżka wiodła pod górę. Jeszcze leżał na niej mokry śnieg, ale po bokach już prześwitywała młoda trawa. Nad szczytem pośpiesznie przelatywały obłoki, gnał je wiatr znad Gór Orlickich. Było przedwiośnie.

Po ścieżce biegł czteroosobowy patrol. Narciarz Toman, rolnik Batha, gaduła Piotr i sportowiec z wykształcenia Maciej. Czapka Tomana odsłaniała pierwszą falę jego czarnych włosów. Biegł jak kot, miękki, przygarbiony, wytrenowany z biegu na nartach. Za nim szybkim miarowym krokiem podążał Batha, jakby szedł na żniwa, a przed Piotra teraz wysunął się Maciej, który był z nich wszystkich najlepszy. Na końcu szedł Piotr. Z początku nawet sobie podśpiewywał tak, żeby pozostali go słyszeli: *Hej, hej, hej, jesteś młody, więc biegnij…*

Sam to wymyślił, zawsze dużo mówił i miał w zanadrzu mnóstwo podobnych mądrości. Dołączył do nich dopiero kilka dni temu, a już zgłosili go do zawodów, lubili go, ponieważ umiał ich rozbawić. Ale nie wiedzieli, w jakiej jest kondycji i czy poradzi sobie ze sportem. Zatem zapytali, a Piotr odpowiedział:

– Może na końcu nie trafię z karabinu, ale na pewno dojdę do mety. Uprawiałem atletykę i grałem w piłkę nożną…

Nie powiedział, że i z atletyki, i z futbolu szybko zrezygnował, ponieważ nigdy nie miał wystarczająco silnej woli. Wierzył jednak, że

w biegu na orientację ze strzelaniem sobie poradzi – przecież jakieś zacięcie i jakieś mięśnie musiały mu po tych wcześniejszych sportach pozostać. Siedział tam wtedy ich dowódca Kutnar i starszy sierżant Gbur. Obaj milczeli, dowódca patrolu Toman również milczał. Tylko ich oczy przyglądały się mu, jakby pytały: – Czy będzie coś wart?

Na to pytanie odpowiedzi udziela się zazwyczaj dopiero na szlaku lub na boisku.

Maciej szedł na końcu i zabezpieczał tyły. Chodził w podobny sposób jak Toman, ale był niższy i bardziej umięśniony. Studiował sport w teorii i praktyce, dlatego ten dwudziestopięciokilometrowy marsz sprawiał mu mniej problemów niż pozostałym – był dla niego jak spacer na Petrzyn i z powrotem. Co jakiś czas podrzucał na ramionach wypchany plecak, jakby sprawdzał jego wagę, i przekładał karabin do drugiej ręki. Karabin był teraz bezużyteczny, ale zeszłoroczny wyścig wygrał patrol Samka tylko dzięki temu, że Samko, pasterz owiec z Tatr, wziął na muszkę traktorzystę i zmusił go, żeby cały patrol zawiózł aż do mety. Traktorzysta wyklinał, na czym świat stoi, ale Samko nie odpuścił, pomimo że broń nie była nabita. Potem toczyły się długie dyskusje, czy Samkowi zostanie przyznane zwycięstwo, ale ostatecznie zostało ono przyznane, ponieważ regulamin mówi jasno: dostać się do mety jak najszybciej i za wszelką cenę. Lecz po tym wydarzeniu zakazano jeżdżenia autami, motocyklami i traktorami, zatem trzeba było maszerować. Maciejowi nie podobał się chód Piotra, na poprzednim szczycie widział, że coraz częściej ślizgają mu się nogi i że jego twarz oblewa pot. Było na to za wcześnie. Czas mieli na razie świetny, wyprzedzili ósmy patrol, a przecież na szlak wyruszyli dziesięć minut po nim.

Maciej postanowił dodać Piotrowi otuchy, poczekał więc na niego i zapytał:

– Jak ci się podoba?

– Jest wspaniale – odpowiedział Piotr, choć wiedział, że to już nieprawda; czuł, że ma nogi jak z gliny. Dystans między nim i resztą patrolu zwiększał się. Przyśpieszył, żeby dogonić towarzyszy. Wspinali się pod górę i zbiegali z niej. I tak cały czas. W górę i w dół. Tak jest w Górach Orlickich, które wybrano im, żeby zrobić z nich mężczyzn. Ale nie było to dobre ani dla nóg, ani dla płuc. Piotr widział korzenie przed sobą jako przeszkody leżące na jego drodze, były mokre i hamowały go. Tak ciężko podnosiło mu się nogi. Tymczasem Toman, Batha i Maciej kołysali się lekko, a Piotr miał wrażenie, że mają na stopach mokasyny i biegną jak Indianie, o których czytał w książkach Karola Maya. Ruszyli na ten trudny szlak bardzo szybkim tempem. Najpierw szosa zasypana żwirem i poprzecinana stróżkami wody, potem błotniste ścieżki, a następnie góry i doliny jak w bajce. W poprzednich latach ich patrol dwukrotnie wygrał. Tylko raz zwycięstwo odebrał im Samek, kiedy jechał tym traktorem. Tegoroczny wyścig był szczególny, nagrodą był tort wielkości koła wozu drabiniastego i piękna flaga z niedźwiedziem wykonana przez pewnego praskiego malarza, który miał tu domek letniskowy. Była to wspaniała flaga. Grizzly biegł na niej przez las iglasty. A na drugiej stronie widniał niebieski pstrąg. Jeśli dziś wygrają, ta flaga będzie ich. W poprzednich latach Kutnar sam przygotowywał swój patrol. Chodził ze swoimi zawodnikami na trudne wędrówki i wiedział, co w nich siedzi. W tym roku było inaczej, ponieważ przybyli później. Kutnar był surowy, sprawiedliwy i dobry, chcieli więc wygrać przede wszystkim dla niego, tak jak drużyna chce wygrywać dla swojego trenera. Chcieli zobaczyć, jak się śmieje i jak trzyma tę flagę.

Kolejną górę porastała brudna trawa. Bezładne zbocza miejscami pokryte były kikutami sosen oraz młodymi świerkami przypominającymi

olbrzymie grzyby. U podnóża góry bielił się betonowy schron z wyrwanymi kratami i czarną dziurą, ziejącą ciemnością. Dowódca patrolu Toman pomyślał, że ten schron i tak nie ma już sensu, ponieważ łatwo byłoby go sforsować. Potem nie myślał o niczym, tylko wdychał głęboko powietrze i długim wydechem wypuszczał je przed siebie. Toman lubił wyścigi z czasem i w ogóle wszelkie rywalizacje – przecież chłopcy uwielbiali konkurować ze sobą już w średniowieczu. Czuł, jak na powierzchni ud napinają mu się silne mięśnie. Karabin dusił go na szyi, zsunął go do ręki. Przyśpieszył, zaczął niemal biec, chciał dotrzeć do tych brzóz na szczycie szybciej niż pozostali, chciał wyznaczyć następny kierunek. Przy brzozach wyciągnął mapę i schylił się w półprzysiadzie.

– Czyli przy tej kapliczce skręcimy w prawo i damy im popalić. A potem znów wrócimy na ścieżkę.

Kiedy przyjrzał się uważniej, dostrzegł przy murze kapliczki małą kropkę, był to z pewnością kolejny punkt orientacyjny. Tam będą mieć za sobą dwadzieścia kilometrów. Pod nimi leżała dolina przecięta rzeką. Ale rzeka nie dzieliła doliny na równe połowy. Nagle jakby niespodziewanie wystraszyła się czegoś i skręcała w lewo, wiła się i tak naprawdę wyglądała raczej jak szosa. Na porośniętych trawą zboczach leżały połacie brudnego śniegu, a z kilku domków unosił się dym z komina, gotował się w nich niedzielny obiad. Toman oblizał się w duchu, znów poczuł ochotę na kapuśniak, na który zaprosili go mieszkańcy jednego z tych domów, gdy błąkał się kiedyś nad rzeką. Była to piękna dolina, potrzebowała tylko więcej słońca. Toman obrócił się i zobaczył rolnika Bathę.

– Świetnie sobie radzisz, Bathożku.

Batha mrugnął do Tomana i minął go. Nie lubił pochwał ani niepotrzebnej paplaniny. Od lat pracował na polu i nikt go nigdy nie chwalił, nie było u nich takiego zwyczaju, pracę i plony uważano za coś

oczywistego. Ten marsz również traktował jak pracę, którą musi wykonać, i nie znajdował w nim ani żadnego smutku, ani żadnej radości. Toman jeszcze odprowadził Bathę wzrokiem i pomyślał, że chyba właśnie tak wkraczają na arenę toreadorzy i byczki. Albo przetrwają, albo padną. Toman czekał na dwóch pozostałych towarzyszy. Maciej szedł, jak na sportowca przystało. Przenosił ciężar z nogi na nogę. Niósł dwa karabiny, ten drugi należał do Piotra.

Już z daleka krzyczał do Tomana:

– Ile jeszcze?

– Już tylko sześć!

– To wspaniale – odparł Maciej niemal szeptem i dodał: – Bo Piotr by nam chyba umarł.

Obaj obrócili się i spojrzeli na Piotra. Przedzierał się przez trawę, miał już wszystkiego dosyć. Przed chwilą powtarzał sobie, że da radę, ale nie dawał. Białe brzozy roztańczyły mu się przed oczami, a on miał wrażenie, że wierzchołkami smagają chmury, tak jak brzozowe miotły zamiatają podłogę. I po raz pierwszy zachciało mu się płakać, ponieważ nie mógł już dalej iść. Nie powinien był zgłaszać się do tych zawodów, przecież często jego przechwałki kończyły się właśnie w ten sposób. Kiedyś na Strachowie zgłosił się do biegu na tysiąc metrów dla początkujących. Organizował to wtedy ojciec Jandera. Na starcie Piotr tryskał humorem, wydawało mu się, że musi wygrać – oprócz niego startowali sami chudzielcy i zdechlaczki. A przynajmniej tak wyglądali na pierwszy rzut oka. Wystartowali, a Piotr znalazł się na czele. To było wspaniałe uczucie – być pierwszym. Być pierwszym i zwyciężyć. Być lepszym od pozostałych. Być w zwycięskim patrolu, w zwycięskiej drużynie, zdobywać wawrzyny. Tyle że potem zaczął biec w miejscu, a ci wszyscy chudzielcy i zdechlaczki wyprzedzali go jeden po drugim. W końcu Piotr się poddał. I podszedł do niego jeden

chłopak i powiedział mu, że jest mocny tylko w gębie. Kiedy Piotr wspominał później tę sytuację, myślał, że było wspaniale prowadzić chociaż przez chwilę. Dziś było tak samo. Przeżył piękne chwile, kiedy dobrze mu szło. Myślał, że tak zostanie do końca wyścigu. Lecz teraz był u kresu sił. Znów szedł w miejscu, a nad nim gnały obłoki, które mogły sobie tak lecieć, ponieważ nie miały serca ani płuc. Przecenił swoje możliwości, nie wygrają, wszystko im popsuł. Słyszał, jak krzyczą:

– Piotrusiu, musisz iść!

Wciąż mówią do niego *Piotrusiu, więc jeszcze* nie są na niego WŚCIEKLI. Musi teraz chwycić się oczami pleców Macieja i wdrapać się na tę górę. Zacisnął zęby i pochylił się. Przygarbiony brodził w kępach starej trawy. Przy każdym kroku chwytał się jej i był o kawałek dalej. Przyśpieszył, więc pozostali trzej towarzysze z przodu też ruszyli. A dowódca Toman powiedział do siebie:

– Znowu złapał wiatr w żagle. Poradzi sobie.

A kiedy tylko wypowiedział ostatnie słowo, ktoś z tyłu krzyknął. Toman odwrócił się i zobaczył Piotra, jak słania się na szczycie góry, w samym niebie. Wciąż podnosił nogi jak w niemym filmie. Chciał iść, ale nie szedł. Znów zrobił krok w powietrzu, zachwiał się i upadł. Na ziemi się przeturlał. Stali nad nim, a on mówił:

– Chłopaki, ja już nigdzie nie dojdę.

Toman wziął jego plecak, a Maciej rozpiął mu bluzę i koszulę. Batha podniósł go za bluzę na kolana, a kiedy Piotr klęczał, Batha wymierzył mu policzek. Był to taki policzek, jaki daje się na wiejskich bijatykach, a ten, kto go dostaje, leci przez stół albo wypada z gospody przez okno. I był to też pierwszy policzek w życiu Piotra. W domu był pieszczoszkiem rodziców i nie uderzyli go ani razu. Ale cios, miast go powalić, postawił go

na nogi. Wstał i ruszył dalej. Poły bluzy powiewały mu na boki. Szedł teraz całkiem nieźle, więc jeszcze nie wszystko było stracone.

Przeszli obok kapliczki. Na schodach pod papierowym obrazem Maryi Panny siedział kontroler. Na nosie miał zatknięte okulary. Zapisał czas i krzyknął:

– Dobrze wam idzie, chłopaki – chociaż właściwie nie powinien zdradzać wyników. Ale potem zobaczył chwiejny krok Piotra i zrozumiał, że aż tak dobrze im nie idzie, bo ostatni członek patrolu był wyczerpany.

Zbliża się najcięższy odcinek. Setki metrów wiodące wzdłuż Dzikiej Orlicy. Toman uginał się pod oboma plecakami. Zaczynało brakować mu sił. Za nim szedł Maciej i niósł dwa karabiny. A na końcu ta dziwna para: Batha prowadził, a właściwie ciągnął na rzemieniu Piotra. Uwiązał go tak, jak niedźwiedziarze uwiązują niedźwiedzia. Zrobił to, żeby nie wpadł im do rzeki, bo nie mieliby już siły go ratować.

Usłyszeli strzały. Tam kończy się las. Odbiją od rzeki, przejdą przez wijący się potok, wdrapią się na ostatnie wzgórze i będą na strzelnicy. Doszli do potoku. Był już rozmarznięty, wąski, dało się go przeskoczyć. Batha spuścił Piotra z rzemienia. Toman i Maciej stali już na drugim brzegu. Potem skoczył Batha. A po nim Piotr. Było zadziwiające, że on również przeskoczył nurt. Tak jakby wciąż był pod wpływem tego policzka. Ale kiedy upadł na drugim brzegu, złapał go skurcz nogi. Stał na niej i czekał, aż skurcz minie – a pozostali również stali i czekali. Trwało to wieczność. Wyżej, na zboczu, pojawił się jakiś obcy chłopak kibicujący innemu patrolowi. Krzyknął:

– A niech mnie, niedźwiedzie, coś wam zaczyna brakować werwy!

Nikt mu nie odpowiedział, bo miał rację. Może i z początku mieli dobry czas, z początku wyglądało to obiecująco, lecz teraz wszystko zmniejszało

się i robiło się coraz cieńsze, zawsze tak coś się zmniejsza, aż w końcu pozostaje tylko nadzieja.

Szli, a im więcej rozbrzmiewało wystrzałów, tym bardziej Piotr dochodził do siebie. Zapiął guziki koszuli, bluzy, już nie trzymał się rzemienia, szedł o własnych siłach. A potem wziął od Macieja broń, a od Tomana plecak. Pokonał kryzys. I znów gonili to, co już stracili, i nikt nie mógł im powiedzieć, czy będzie jeszcze dobrze, czy już tylko źle.

Strzały rozlegały się blisko. Brali głębokie oddechy, dla lepszej koncentracji, żeby nie drgała im muszka. I każdy trochę poprawiał swój wygląd. Ścieżka zrobiła się szeroka jak w parku zamkowym i wiodła przez piękny świerkowy las.

Na równinę prowadził drewniany mostek z okrąglaków. Przeszli po nim nad Potokiem Pstrągów i już wbiegali na strzelnicę. Przypominała owalny półmisek. Jeden bok stanowiło zbocze, a drugi – potok. Na zboczu siedzieli ich koledzy i rywale. Koledzy wołali:

– Chłopaki, strzelajcie i mamy niedźwiedzia!

Brali naboje. Piotra przeszywał chłód, bo wiedział, że broń nie była jego silną stroną. Myślał, że zawody wygrają dzięki biegom, a teraz o wszystkim miało zadecydować strzelanie. O tym, że nie jest w tym dobry, wiedzieli wszyscy, nawet dowódca to wiedział, nawet starszy sierżant Gbur. Ale znów pojawiła się nadzieja, że mogłoby się jednak udać, przecież według przysłowia to Pan Bóg kule nosi. Brał od starszego sierżanta Gbura stalowe walce. Dwa, pięć, dziesięć. Dwanaście. Piętnaście! Jak to piętnaście? Przecież powinien dostać ich tylko dziesięć. Podniósł wzrok i ujrzał oczy starego człowieka, który zna się na rzeczy i potrafi już poradzić sobie ze światem. Oczy Gbura są nieruchome, a jego ręka zamyka pięść Piotra.

– Nie bój się. To idzie seriami. Nikt się nie zorientuje.

Kto to mówił? I czy ktoś to w ogóle powiedział?

Karabin ładuje się dopiero na stanowisku strzeleckim. Piotr ma dłoń pełną naboi. Nie może dać ich tam piętnastu! Pięć schowa do kieszeni bluzy, a potem wrzuci je do Potoku Pstrągów. Powoli podchodzi do linii, z której będą strzelać. Jest daleko od wszystkich. Położył się i zaczął nabijać. Jeśli włoży tam piętnaście naboi, będzie miał olbrzymią szansę, by zniwelować nieudany bieg. Wsuwa do magazynku jeden walec za drugim. Wsuwa je tam wszystkie. Podnosi rękę na znak, że jest gotów. Wszędzie rozściela się cisza, teraz ma rozstrzygnąć się całe niedzielne popołudnie.

– Niezakryta pozycja leżąca, seriami, pal!

Równina zadrżała, echa strzałów niosły się aż do przeciwległych skał, po czym wracały do strzelców. Wyszedł chłopiec i liczył dziurki.

Tarcza Tomana: Sześć!

Macieja: Osiem!

Batha: Trzy!

Przy tym słowie przez widownię przebiegł szept. Potem strzelnica ucichła, ponieważ chłopak zmierzał ku ostatniej tarczy. Liczył. Coś tam było. Liczył długo. Mogło ich tam być dużo. Jakby z niedowierzaniem policzył raz jeszcze. A potem w dolinie rozległ się krzyk niczym ostatni strzał:

– Dziewięć!

Piotr trafił dziewięć. Wszyscy ich koledzy na zboczu poderwali się i pędzili w dół. Biegli tu. Piotr już rozpoznawał twarze. Pulchne oblicze Jelonka i wysuszone Chętnego. Podbiegli, wzięli go na ręce i nieśli. Było to piękne uczucie, takie jak kiedyś, gdy biegł na Strachowie na czele. Tomana, Bathę i Macieja też nieśli. Potem postawili ich na ziemię i razem z pozostałymi patrolami czekali na wyniki. Po chwili poinformowano, że ich patrol naprawdę wygrał. Podszedł do nich Kutnar i pogratulował im. I

śmiał się tak, jak o tym marzyli, i jakby był małym chłopcem – chociaż na skroniach miał już siwiznę. Powiedział Piotrowi:

– Piotrze, dziewięć to duże osiągnięcie!

Po raz pierwszy powiedział do niego po imieniu. A potem rozbiegli się i zaczęli gnać na pagórek, na którym powiewała flaga z niedźwiedziem. Grizzly gdzieś się śpieszył, a pstrąg wyskoczył nad powierzchnię wody. Piotr biegł na końcu. Biegł koło ośmiu pokonanych patroli, które uśmiechały się tak, jak uśmiechają się pokonani. Nagle zatrzymał się i pojął, że oni wszyscy biegli na próżno. Na Boga, przecież wszyscy biegli na próżno. Chmury zaczęły jakoś tak dziwnie mknąć po niebie, a żołądek podchodzi mu do gardła. Chwiejnym krokiem idzie aż do potoku, jest mu niedobrze, strasznie niedobrze, jakby nadchodził koniec świata. Otwiera usta i wypływają z niego ohydztwa i brud. Chmury kręcą się jak na karuzeli, a pomiędzy nimi płynie potok, od wieków czysty, jego środkiem pędzi przejrzysty nurt. A w toni, w której bez ruchu tkwi przy kamieniu duży pstrąg z czerwonymi kropkami, odbijają się twarze wszystkich tych, którzy biegli na próżno.

Kopnięcie za 3000 dolarów

Mieszkaliśmy w Empire Hotel – przypominał stare i sfatygowane pudełko na cygara. Ale było tam cicho, przed nami mieszkały tam zakonnice. Leżeliśmy na wysokich kanapach i oglądaliśmy w telewizji western, kiedy nasz trener Sławek krzyknął:

– Chłopaki! Za pięć minut na recepcji!

Czasami zabierali mnie ze sobą, biegałem z nimi i kopałem, chciałem przecież napisać o nich najlepszą sportową książkę na świecie – a przynajmniej obiecałem im to, chociaż oczywiście nigdy tej obietnicy nie spełniłem. Pędziliśmy w koszulkach i krótkich spodenkach przez Nowy Jork. Tu nawet pies nie zwraca na nikogo uwagi. Jakaś dama ciągnęła na rzemyku królika angorskiego z różową kokardą i na nią też nikt nie zwracał uwagi – nikt oprócz nas, bo my jesteśmy z Czech. Zatem biegliśmy truchtem w strojach sportowych, w tym upale nie dało się chodzić, a kiedy człowiek biegł, czuł przynajmniej wietrzyk pod koszulką. Dobiegliśmy do Central Parku i zaczęliśmy trenować sprint. Odstawałem od zawodników, przebiegłem się tam i z powrotem, zasapałem i miałem dość. Czekałem, aż będą grać starzy na młodych, to była taka luźna gierka: dziadkowie z zespołu kontra młodzież. Za słupki robiły kosze na śmieci.

Kiedy się rozglądałem, zauważyłem starszego, siwego pana, stał tam z taką kanciastą walizeczką lekarską, jakby szedł na jakąś operację. Minę

miał nabożną, uśmiechał się i gładził swoje szpakowate włosy. Kiedy chłopcy przestali biegać, podszedłem do Pawła i zapytałem:

– Co to za typek?

– Przychodzi na każdy nasz trening – odparł Paweł.

Zaczynali szykować się do tego nieistotnego meczu. Patrzę na tego pana, miał na sobie tylko żółtą koszulkę i białe spodnie. Zmierza wprost do mnie. Mówi po czesku:

– Przepraszam, czy mógłbym z wami pokopać?

Zaskoczyło mnie, że jakiś staruszek chce grać z jednym z najlepszych zespołów piłkarskich na świecie, ale po tych kilku dniach przywykłem trochę do amerykańskich realiów. Powiedziałem więc:

– Proszę poczekać, spytam trenera.

– Oczywiście, rozumiem… – rzekł pokornie i czekał, aż wrócę.

– Sławku, tamten Amerykanin jest Czechem i chciałby z nami pograć.

– No, przychodzi tu codziennie.

Widziałem, jak głośne tryby pracują w głowie Sławka, ale nie mógł wymyślić nic sensownego. Miał tę główkę małą – czasami tworzyły się w niej świetne pomysły, ale zazwyczaj były to pomysły piłkarskie, a to zaczynało mnie już niekiedy nudzić, bo on potrafił gadać o futbolu przez cały wieczór. Ale miał też lepsze chwile, kiedy akurat nie dokręcał nikomu śruby i kiedy potrafił trochę odpuścić. I nagle ta jedna, szlachetna myśl najwyraźniej zaświtała mu w głowie, ponieważ rzekł:

– To niech przyjdzie, i tak gramy na luziku.

Przekazałem wiadomość szpakowatemu panu, a on w tym upale zrobił minę, jakby został wybrany na prezydenta całych Stanów Zjednoczonych. Chyba trzy razy ściskał mi rękę:

– Dziękuję panu – po czym otworzył swoją czarną walizeczkę i zaczął się przebierać. Zobaczyłem stare buty piłkarskie, w jakich grało się w Czechach kiedyś, przed wojną, i wyblakły niebieski strój. Ubierał się starannie, a ja podszedłem do chłopaków bawiących się piłkami. Paweł nachylił się do mnie i powiedział:

– To jakiś wariat.

Ten szpakowaty pan przebrał się, walizeczkę włożył do kosza na śmieci, a trener Sławek pokazał mu, w której drużynie będzie zasuwać. Zaczął się mecz. Ten pan właściwie nie grał, tylko biegał między zawodnikami, było oczywiste, że nie ma szans nawet dotknąć piłki. Ja miałem tak samo – piłka przelatywała powoli kilka centymetrów ode mnie, kopnięta wyćwiczoną, profesjonalną nogą, a ja nigdy nie mogłem jej dopaść. Obie strony tak wczuły się w grę, że zapomniały o swoim sentymentalnym postanowieniu, żeby temu panu też pozwolić kopnąć. Biegaliśmy więc we dwójkę wśród piłkarzy i tylko co jakiś czas przystawałem i przyglądałem się naszemu gościowi. To było ciekawsze niż obserwowanie zawodników jednego z najsłynniejszych klubów na świecie. Biegał między Józkiem, Władkiem i Frankiem, policzki płonęły mu z zachwytu, siwe włosy powiewały, śmiał się, ciągle coś krzyczał, przypominał mi małego chłopca i jednocześnie kogoś, kogo nigdy wcześniej nie widziałem. W pewnej chwili napatoczył się do świetnej sytuacji strzeleckiej przed bramką Pawła, a Józek, który zawsze długo się przyglądał, zanim do kogoś podał, oświecony niespodziewanym szlachectwem posłał mu cudowne podanie, idealne na prawą nogę. A on – rzeczywiście musiał kiedyś w Czechach grać – trafił w piłkę i posłał ją na bramkę. Z Pawła był niezły zgrywus, i pomimo iż strzał nie należał do mocnych, zrobił z tego dramat, wypuścił piłkę z rąk i pozwolił jej toczyć się w stronę wyimaginowanej linii bramkowej, że niby strzał był tak potężny, że nie dało się go zatrzymać i teraz piłka zmierza do

bramki. Ale jego bramkarskie serce nie pozwoliło mu wpuścić tak łatwego uderzenia, więc w ostatniej chwili skoczył na futbolówkę i złapał ją. To dobrze, bo gdyby ten nieznajomy strzelił gola, z pewnością by oszalał. Już teraz łapał się za głowę i rwał z niej włosy, do końca meczu uśmiechał się i paradował jak gladiator.

Kiedy mecz na luziku się skończył, mężczyzna podszedł do każdego z piłkarzy i podał mu rękę. Potem się przebrał, podziękował trenerowi Sławkowi, dał mu swoją wizytówkę i powiedział coś w stylu, że się jeszcze odezwie. Spojrzeliśmy trenerowi przez ramię, było tam napisane:

PROFESSOR WACŁAW HANOUSEK MD

– Odezwie? Znamy to…

Nazajutrz jakiś pan w liberii i w cudownym aucie przywiózł nam zaproszenie na kolację. Nie dla kierownictwa, jak to było w zwyczaju, ale dla całej drużyny.

To była świetna okazja, by zaoszczędzić nasze żałosne czeskie diety. Przecież gdy trzy dni wcześniej weszliśmy na kolację do wspaniałej restauracji hotelu Sheraton w Chicago, uprzejmie nas wyproszono, mówiąc, że kwota, którą chcemy zainwestować w nasze żołądki, wystarczy jedynie na przystawki. Ale trener Sławek był nieufny. Nie dziwiłem mu się. Kilka dni wcześniej widziałem i słyszałem, jak milioner pan Williams przez trzy godziny wykłócał się o dziesięć dolarów. Chłopcy żywiołowo przekonywali Sławka, że z tą kolacją to może być prawda, przecież nie wszyscy milionerzy są tacy sami. Lecz trener nie chciał ustąpić i najpierw tego pana gdzieś sprawdził. Okazało się, że Wacław Hanousek MD jest jednym z najsłynniejszych chirurgów w Stanach Zjednoczonych, a przede wszystkim – w znanej restauracji naprawdę została zarezerwowana osobna sala i kolacja dla trzydziestu osób.

Przyjęliśmy zaproszenie.

Wszyscy ubraliśmy się w oficjalne stroje, żeby nie przynieść temu panu wstydu, dołączyło do nas kilku Czechów i Słowaków z naszych urzędów i czescy dziennikarze, więc było nas trzydziestu pięciu. Jechaliśmy taksówkami – przecież skoro zaoszczędzimy na jedzeniu, możemy trochę zaszaleć.

Pan Wacław Hanousek MD czekał na nas przy drzwiach we fraku i wyglądał bajkowo. Wszystko miał czarne, tylko koszula świeciła na nim bielą, siwe włosy odrobinę lśniły, wyglądał jak Frank Sinatra albo Maurice Chevalier. Każdemu z nas podał rękę i powiedział:

– Witam pana.

Nie drgnęła mu nawet brew, gdy okazało się, że jest nas trzydziestu pięciu, a potem na dodatek przyszedł jeszcze jeden czeski dziennikarz, i to z dzieckiem. Profesor tylko lekko skinął kelnerowi, a on przyniósł do sali kolejne starodawne krzesło z dermą na oparciach. A kiedy ten chirurg lekko skinął ręką, spostrzegłem, że jego palce były cienkie i białe, jakby były z soli. Przypominały chińskie pałeczki, a podczas posiłku, kiedy też je obserwowałem, dosłownie tańczyły z widelcem i nożem. To były nadludzkie ręce.

Weszliśmy do sali.

Od dzieciństwa często słyszałem w życiu zdanie: było tam tyle jedzenia, że uginały się stoły. Ale nigdy tego nie widziałem – dopiero tutaj. To było coś fantastycznego, jak z filmów o królach. Kiedy później zacząłem zajmować się filmami i pisać scenariusze – zazwyczaj kończyło się to fiaskiem – okazało się, że filmowe jedzenie to jedynie rekwizyty, a większość tych udźców, baraniny i gęsi była z papieru, tkaniny i drewna. Ale tu było inaczej. Tu wszystko było prawdziwe. Stanęliśmy jak wryci i nie mogliśmy się napatrzeć.

Na srebrnych półmiskach leżały złociste indyki, a na białych, porcelanowych półmiskach brązowe gęsi z powbijanymi malutkimi sztandarami naszego klubu. Między nimi leżały całe gotowane szynki z czerwono-niebiesko-białymi kokardami, czeskie knedle, miski oliwek z Hiszpanii i Francji oraz góry rosyjskiego kawioru na przemian z ananasami wznoszącymi bojowo twarde liście. Koło okna czekał kelner przy wielkiej beczce, gotów do nalewania oryginalnego Pilsner Beer, a obok znajdował się bar, a w nim alkohole z całego świata. Szkocka whisky. Francuski koniak. Czeska śliwowica.

Pan Wacław Hanousek MD rzekł:

– Smacznego.

I to była cała mowa powitalna. Zaczęliśmy ucztę. Kiedy zjadłem pół miski oliwek (uwielbiam je), dwa gęsie udka i jedno indycze, podniosłem oczy znad talerza, żeby odpocząć chociaż wzrokiem.

A co było dalej – już dokładnie nie pamiętam. Upiliśmy się. Wiem tylko, że ciągle coś jedliśmy i piliśmy, śpiewaliśmy i było bardzo pięknie. Od kelnerów dowiedzieliśmy się, że te gęsi mają czeskie pochodzenie tak jak my, pan Hanousek zamówił im samolot z jakiejś farmy na południu Stanów Zjednoczonych. Józek wyciągnął skrzypce i grał czeskie pieśni, a pan Hanousek wciąż tylko siedział, milczał i lekko się uśmiechał, jak tata patrzący na swoje dzieci. A potem, kiedy sączyliśmy koktajl Bloody Mary, czyli Krwawa Maria – wódkę wymieszaną z sokiem pomidorowym, pan Hanousek opowiadał nam, że grał w zachodnich Czechach w jakiejś drużynie z miasta powiatowego. Opowiadał też, że przy ich boisku stała najpiękniejsza lipa na świecie i zawsze wiosną bzyczały w niej pszczoły, a on chodził pod tę lipę wkuwać. Potem zwiał z Czech i już nigdy tego drzewa nie widział i zapewne nigdy już go nie zobaczy. Nie zwracaliśmy

zbytnio uwagi na to, co mówi, ani co to było za miasto, byliśmy już wstawieni jak należy.

Wieczór skończył się strasznie.

Bardzo spodobał mi się wspaniały inkrustowany nóż, którym odkrajałem uda tej największej gęsi, podniosłem go więc, pokazałem przez stół panu Hanouskowi, że chciałbym go sobie wziąć na pamiątkę, i powiedziałem przy tym jedno z nielicznych angielskich słów, jakie znałem:

– Sorry.

Pan Hanousek znów tylko lekko skinął ręką i wmusił mi jeszcze przez stół widelec. Potem wraz z szefem restauracji zaprowadzili nas do piwniczki, gdzie każdy mógł sobie wziąć tyle alkoholu, ile chciał, więc do każdej kieszeni marynarki włożyłem butelkę sześcioletniego bourbonu Old Fitzgerald. Tak uzbrojony, opuściłem salę. Jak wychodzili inni, nie mam pojęcia, ale podejrzewam, że wyczyściliśmy wszystko. Zbyszek taszczył całą szynkę, którą kroił potem w samolocie nad oceanem i częstował nie tylko nas, ale też pozostałych pasażerów. Byliśmy po prostu jak prawdziwa drużyna.

Od kelnera, z którym tego pamiętnego wieczoru nawiązaliśmy znajomość, dowiedzieliśmy się, że pan Hanousek zapłacił łącznie ponad trzy tysiące dolarów, więc patrząc na to po amerykańsku, to kopnięcie piłki w parku kosztowało go sporo kasy. Potem już pana profesora Hanouska nie widzieliśmy, nawet po pokonaniu Meksykanów i wielkiej imprezie z tej okazji. Zapomnieliśmy o nim i tylko kiedy opowiadaliśmy w Pradze o Nowym Jorku, wspominaliśmy tę fantastyczną kolację. Ja myślałem o nim również czasami, gdy spoglądałem na swoją inkrustowaną szafkę, na której obok rzeźby Maryi z Dzieciątkiem stoi piękna butelka Old Fitzgerald.

Pusta.

Potem nasz klub grał mecz finałowy w Pradze.

Był początek lata, ale zrobiło się wtedy dość chłodno, wiatr trzepotał flagami. W chwili, gdy piłka wyleciała z boiska, spojrzałem na widownię. Ujrzałem twarz, która wydała mi się znajoma. Rzeczywiście, stał tam, oparty w kącie trybuny

PROFESSOR WACŁAW HANOUSEK MD.

Zapewne nie dostał nawet biletu na miejsce siedzące, stał w nędznym płaszczyku, jakby wkradł się na stadion przez dziurę w płocie. Mecz mu się podobał, dostał od niego rumieńców, uśmiechał się i poruszał wargami. Siedziało tam mnóstwo działaczy klubowych, w tym również ci, którzy gościli się u profesora w Ameryce. Kiedy przekazałem im tę zaskakującą nowinę, ich wzrok uciekał, szybko przechodzili w głąb trybuny, nikt nie chciał się tu do profesora przyznawać. Nikt nie chciał pokazywać się w Pradze z Amerykaninem.

Lecz w końcu znaleźli się dwaj, którzy jednak podeszli do pana Hanouska, przywitali się i zaprosili go w przerwie do szatni. Przyjął zaproszenie z radością. Piłkarze przywitali go miło, głośno – oni zawsze wspominali go jako porządnego faceta, nie mieli obaw politycznych, bo przecież: kto by ich wyrzucił z klubu, skoro byli potrzebni?

Stała tam butelka po mleku – z herbatą, chyba z dzikiej róży. I żeby jakoś się panu Hanouskowi odwdzięczyć, poczęstowaliśmy go. Stał tam i popijał tę kiepską, gorzką herbatę, ale wyglądał na niezmiernie szczęśliwego. Dopił drugą szklankę, a potem najwyraźniej coś sobie przypomniał, obrócił się do mnie i powiedział:

– Sorry.

I wcisnął tę musztardówkę do kieszeni swojego starego płaszcza. Zanim wyszedł, spytał mnie:

– Jak pan myśli, czy lipy jeszcze kwitną?

Zapewniłem go, że kwitną, bo nad naszymi oknami kwitły. A potem już nigdy go nie widziałem. Słyszałem tylko, że wypożyczył sobie w wypożyczalni sześćset trójkę i pojechał do zachodnich Czech na to boisko i do tego miasteczka, w którym kiedyś mieszkali jego rodzice. Po drodze to auto rozwalił, bo był przyzwyczajony do większych szybkości. Zostawił je na szosie, a do miasteczka podrzucił go jakiś motocyklista. Najpierw poszedł na boisko, usiadł pod lipą i słuchał, jak w jej koronie bzyczą pszczoły. Przez chwilę znów był młody, znacie to. Spędził tam pół dnia, jak nam potem powiedziano, i z nikim nie zamienił ani słowa. Do Pragi wrócił nocnym pociągiem. Potem poszedł do wypożyczalni, a oni chcieli, żeby poczekał, dopóki nie sprawdzą, co stało się z uszkodzonym wozem. Wypisał im czek na dwa tysiące dolarów i powiedział, że jeśli naprawa będzie tańsza, resztę mogą sobie zatrzymać, a jeśli droższa, dopłaci im ze Stanów Zjednoczonych.

I odleciał.

Tak się złożyło, że odwiedził go kiedyś w Nowym Jorku mój znajomy lekarz Piotr Blaha. Mówił, że w najpiękniejszym pokoju profesora wśród unikatowych dzieł sztuki, dokładnie pod oryginalnym płótnem Pabla Picassa, na zielonej tacy stoi szklaneczka. Przyglądał się jej długo, ale nie dostrzegł w niej nic nadzwyczajnego. Podobno wyglądała jak słoiczek po czeskiej musztardzie.

Na szosie do Wrocławia

Przewalające się kłęby porannej mgły ustąpiły miejsca deszczowi. Z nasączonego wilgocią krajobrazu prześwituje lśniący dach domku, aleja niknie gdzieś w szarej kaszy rozproszonej pary i padającej wody. Długi wąż zawodników sunie zwarty, jedynie miejscami rozciąga się i znów kurczy. Pomimo iż kolarze mają za sobą już wiele kilometrów, wciąż jest im zimno. Teraz rowery podjeżdżają pod górę. Niektórzy zawodnicy unoszą się z siodełek i przenoszą wagę całego ciała na przemian na oba pedały. Hop i hop! Hop i hop! Zgięte grzbiety kołyszą się jak stado owieczek biegnących pod dach koliby swego pasterza. Na szczycie jedna gwałtownie odrywa się i ucieka. Peleton pozostaje niewzruszony. Barometr zastygniętych twarzy doświadczonych zawodników podpowiada im, że z tej chmury deszczu nie będzie. Do mety jest zbyt daleko, braknie sił. Uciekinier to najniższy uczestnik wyścigu – Tolek Piotrowski. Mówią na niego Chrząszcz. Wkrótce osiąga kilometr przewagi. Pędzi przed siebie i wszystko wydaje mu się takie łatwe. Powietrze rozstępuje się pod jego naporem, drzewa i słupy telegraficzne obwieszone oklapniętymi flagami mkną szybko w tył. Zaczyna opowiadać. Taki ma zwyczaj, gdy jedzie sam.

– No proszę. Frrrru! I zwiałeś im. Dawaj, Marinetto!

A rower, jego Marinetta, wyrywa się w przód.

Tolek calutki kuli się na siodełku, jakby chciał uciec przed gęstniejącym deszczem. Jego biała czapka z daszkiem obróconym nonszalancko na bok i strój w tym samym kolorze – wszystko zszarzało. Śniada, wąska twarz z małym szpiczastym noskiem zastygła w pełnym uporu uśmiechu. Drobne, ale żylaste i twarde ciało pracuje szybko. Czeka, kiedy zahuczy za nim wózek motorowy trenera Kowalskiego.

Słyszy silnik. Zwalnia i ogląda się.

– Proszę, proszę, tu jesteśmy.

Dzięki płóciennemu dachowi w kabriolecie jest sucho i ciepło. Za wachlarzem wycieraczek chmurzy się Kowalski. Zmarszczki na czole mu pociemniały. Prześmiewcy przepowiadają Kowalskiemu, że tegoroczny wyścig przypłaci ostatnią kępką włosów, która wciąż, pomimo różnych życiowych tarapatów, utrzymuje się na łysej czaszce. Trzech zawodników z jego drużyny już odpadło z powodu kontuzji, a uciekinier, na którego teraz wywala swoje wielkie, brązowe oczy, napędza mu porządnego strachu. Przy takiej pogodzie uciekł, niestety, za wcześnie. Tolek już znów patrzy przed siebie. Po chwili mówi:

– Jak widać, nie jest zbyt zachwycony. Ale nie da się nic zrobić, staruszku. Nie bój się. Wytrzymam. Ten etap, pierwszy na naszych szosach, będzie mój. Przecież jestem tu u siebie.

Znów przyśpiesza i rozważa:

– Staruszek jest dobry, naprawdę dobry. Gdyby umiał, modliłby się, żebym wygrał. Przecież zwycięzcy etapu wybaczy niezaplanowaną ucieczkę. Uroczyście wpadnę mu w ramiona i ucałuję go. Tak zrobię – mówi i cmoka, całuje mokre powietrze i śmieje się. Myśl o zwycięstwie wlewa mu w mięśnie kolejną dawkę energii. Raz – dwa! Rytmicznie jak maszyna. Raz – dwa! Tak ma być. Chce mu się śpiewać i gdyby go to

niepotrzebnie nie wyczerpywało, zaśpiewałby to swoje: *Na prawo most, na lewo most…*

– Tadadaa – zagwizdał i umilkł.

Uciszył go kolejny atak deszczu.

Mijały kolejne kilometry.

Samotnie przebija się do Wrocławia i zaczyna mu być w tej samotności ciężko. Nie ma do kogo kiwnąć, żeby go zmienił w rozrywaniu wiatru i deszczu. Do głowy dobija mu się myśl:

– Może powinienem uciec z kimś. We dwójkę lepiej by nam szło.

Lecz odgania ją:

– Przecież i tak nie jestem sam.

Rzeczywiście, w radiu już podali, że od peletonu urwał się polski kolarz, więc teraz jest z nim cały naród kochający ten sport. Ludzie, którym odbiorniki przyniosły tę wiadomość wprost do domów, niecierpliwie czekają na kolejne wieści.

A co dopiero dzieje się na szosie!

Kiedy zbliża się przemoczona postać na rowerze, szereg parasoli i gumowych płaszczy faluje, ludzie odrzucają nakrycia, biegną za nim i krzyczą:

– Trzymaj się, chłopcze! Wytrzymaj!

To są zastrzyki wzmacniające.

Tolek je rozważnie. Musi jeść, żeby nie osłabnąć. Kasza ryżowa przykleja mu się do zębów. W ustach mu wyschło. Popił łyk herbaty i znów pochyla się nad kierownicą.

Rytm jak w zegarku.

Minęła kolejna powolna godzina.

Tolek i jego pościg zbliżyli się do mety o dziesiątki kilometrów. Chłodny deszcz, wzmagający zmęczenie i zastyganie mięśni, przerzedził peleton do jedenastu kolarzy. Ci, którzy odpadli, łączyli się w dwu-trzyosobowe grupki.

Tylko Tolek wciąż jedzie sam. Skurczył się na siodełku, rower z przylepionym doń ciałem przywiera mocno do niekończącej się szarej wstęgi szosy. Ze śniadej twarzyczki zniknął uśmiech.

Na szosie monotonnie turkocze wóz trenera. Kowalskiego powoli ogarnia radosna nadzieja. Mocne, krótkie palce odkreślają jeden kilometr za drugim.

Do mety zostało ich trzydzieści dziewięć.

Minęli kolejne dwie wioski.

Nagle Tolek jakby natrafił stopą na pustkę. Przestaje czuć nogi, ale mimo to wie:

Jedzie!

To, że jedzie, potwierdzają kasztanowe, zroszone konie, stojące obojętnie na bocznej drodze. Uciekły gdzieś w tył, zniknęła też powiewająca biała chustka pielęgniarki z Czerwonego Krzyża. W ciało wdziera się nieubłagany ból, mięśnie kłują, a ręce słabną. Próbuje się wyprostować, strząsnąć z pleców wielkie zmęczenie.

Zwalnia, tak, jak gdy w aucie nie zmienimy w odpowiedniej chwili biegu z czwórki na trójkę lub zapomnimy nakarmić lokomotywę węglem. Lecz on nie chce zmniejszać prędkości, chce jechać!

– Marinetto, musisz… – cedzi przez zaciśnięte zęby. Rower tylko na garstkę sekund się rozpędza, ale potem znów jedzie coraz wolniej i wolniej.

Cyk-cak, Cyk-cak!

I tak przez wiele kilometrów.

Ludzie w autach dostrzegli, że przewaga się zmniejsza, a grupa pościgowa przestała pedałować obojętnie i przyśpieszyła. Tylko wysoki i chudy jak tyczka Gienek, kolega Tolka, co jakiś czas próbuje powstrzymać peleton. Wyjeżdża na szpicę, zwalnia, ale obok niego zaraz ktoś przemyka i narzuca piekielne tempo.

Tolek ma jeszcze trzy kilometry cennej przewagi. Zagryzł dolną wargę, na przekór wiatrowi i deszczowi wyprostował się i ze wszystkich sił zaczął naciskać pedały. Wreszcie po kilku kilometrach przełamuje kryzys. Siła woli gna go w przód. Nie dogonili go! Teraz jedzie mu się znacznie lżej. Opony mlaskają, wyrzucając w powietrze kropelki brudnej wody.

Minęło kolejne siedem kilometrów.

Jowen, jasnowłosy Duńczyk, odpadł z peletonu. Przewaga stopniała tylko nieznacznie.

A po tych siedmiu kilometrach Tolek znów przechodzi kryzys, tym razem większy. Zapasy energii zostały niemal wyczerpane. Na dnie studni jest mało wody. Co teraz? Znaleźć w sobie jeszcze siłę? – Tolku, wytrzymaj… Marinetto… – szepcze.

Obserwujący kolarza z troską Kowalski rozgryzł już końcówkę długopisu. Od dawna nie siedzi oparty – nos, który i tak ma już płaski, teraz rozpłaszcza na zimnej szybie. Nie, nie może na to patrzeć! Rozkazuje kierowcy:

– Wyprzedź go i zatrzymaj się!

Mijają Tolka.

Jest skulony, nogi powoli kreślą tak potrzebne teraz kręgi. Auto wyprzedziło go i zatrzymało się. Trener szybko otwiera drzwi i wyskakuje bez płaszcza, o którym w nerwach nie myśli. W ręce trzyma stoper, żeby zmierzyć przewagę.

Uczeń powoli zbliża się do swojego nauczyciela.

Spogląda na trenera pytająco, jakby chciał powiedzieć: Staruszku, doradź, co teraz? Kowalski przymruża prawe oko i zaciska pięść, z której sterczy w górę kciuk. Tutejsi kolarze znają to pozdrowienie. Jest lepsze niż wiele słów i oznacza: Trener w ciebie wierzy. Jest z tobą!

Postać powoli znika Kowalskiemu z oczu. On jednak wciąż stoi i mówi do niej:

– Ech, chłopaku. Serce masz waleczne, ale rozumu trochę ci brakuje.

Kolarz został na szosie sam.

Ten odcinek dobrze zna. Kiedy skończy się szpaler wysokich drzew, będzie zakręt i zjazd.

– Teraz depnę z całych sił.

Rower przyśpieszył. Niebezpieczna prędkość na tak śliskiej jezdni. Mknie ze zbocza niczym wystrzelony pocisk.

Wczoraj przebiegła mu przez drogę mała dziewczynka. Dziś znów biegnie. Powiewa jej niebieska sukienka… Uwaga! Nie, to tylko przywidzenie. Kierownica zatrzęsła mu się w rękach. A ta mała znów wbiega pod koła.

– Aaaaa.

Coś wyrzuca go z siodełka. Leci. Skulony upadł na mokrą trawę w rowie. Jest tu tak pięknie, że aż nie chce się wstawać. Nie musi pedałować. Ale przecież chciał jechać. Wygrać!

Z wysiłkiem staje na drżących nogach i rozgląda się za dziewczynką. Droga jest pusta. W tych miejscach zawodnicy tylko szybko przemykają, nie ma widzów.

Klnie, sprawdza, czy jest cały.

Kończyny są w porządku, tylko ze starych ran sączą się kropelki krwi. Krok za krokiem podchodzi do roweru, którego przednie koło wciąż się kręci.

Nagle – słyszysz?

Zbliża się lekki szum i urywki okrzyków. Jak dobrze zna ten dźwięk! Dogonili go! Już nie będzie pierwszy w swoim Wrocławiu. To tak strasznie niesprawiedliwe. Dlaczego nie mógł wygrać? Przyjedzie bez braw, gratulacji…

Przed oczami kręcą mu się wielkie koła, na których jadą jeden za drugim, zmęczeni, brudni, triumfujący…

Jeden się zatrzymuje.

Gienek. Częste próby spowalniania peletonu wyczerpały go, został z tyłu. Kiedy spostrzegł Tolka, poczuł ukłucie w sercu. Wszystko na próżno!

Krzyczy:

– Wstawaj, pojedziemy we dwójkę!

Tolek mamrocze, że musi odpocząć, popycha Gienka, żeby jechał sam. Gienek odjeżdża. Tolka mija autokar dziennikarzy. Sprawozdawcy relacjonują: koniec ucieczki. Około dwudziestu kilometrów przed metą Piotrowski spadł z roweru. Najprawdopodobniej zwycięzcę wyłonią dopiero ulice miasta.

W kolejnym wozie nadjeżdża staruszek.

Wyskakuje z auta, ale na widok zawodnika jego impet maleje. Chłopak siedzi na kupce piasku jak prawdziwy chrząszcz, którego grad zrzucił z soczystego, wiosennego liścia. Głowę ma tuż nad kolanami, rękami obejmuje łydki. Stary kolarz Kowalski zna to uczucie. Dusza pękła. Teraz pozostaje dojechać do mety. Zatem pyta:

– Dojedziesz? Bardzo cię potrzebujemy.

Tolek spogląda ze skruchą.

– Chwilę odpocznę i jadę.

Silnik zaturkotał, Tolek został sam. Wyprzedzają go pojedynczy zawodnicy. Finowie, Albańczyk, kontuzjowany Belg. A potem już tylko pojazdy techniczne.

Zatem on dojedzie do rodzinnego miasta jako jeden z ostatnich. To słowo *dojedzie* zostało mu w głowie. I dźwięczy, dźwięczy… Dojedzie, dojedzie… A właściwie po co? – przychodzi mu do głowy. Już nie wygra. Nie, nie dojedzie, przecież nie może nawet stać. Walczy ze sobą. Próbuje się podnieść, ale nogi są niepewne, trzęsą się.

– Nie, nie dojadę ani dziś, ani jutro czy pojutrze. Mam prawo nie dojechać, już w Berlinie podejrzewali, że się poddam. Tak, koniec z tym… – szepcze i żal mu zsiniałego ciała drżącego z głodu.

Podjął decyzję. Czeka na autobus dla zawodników, ale zamiast niego podjeżdża mały samochód. Słyszy kroki i głos mówiący po czesku:

– I co Piotrowski, poddajesz się? Kontuzja?

– Poddaję się.

Delikatne, ciepłe dłonie obmacują mu mięśnie szyi i ramiona. Podnosi wzrok. Spotyka się z uważnymi, sympatycznymi oczami. To lekarz czeskiej drużyny. Mówią na niego Emil. Zapalony kibic, kiedyś aktywny kolarz. Przez wiele lat mieszkał we Francji, a potem wrócił do ojczyzny.

Uśmiecha się.

– No, kolego, głowa do góry i jedź.

– Nie jadę, nie mogę.

– Powinieneś. Zostało was tylko trzech, a jeśli ty zrezygnujesz, po raz pierwszy jako zespół nie ukończycie wyścigu.

Czego on ode mnie chce? – zastanawia się Tolek. Niech się cieszy, że Czechom odpadnie rywal!

Wybucha:

– Nie prosiłem pana o rady! Słyszy pan! Niech pan idzie do diabła!

Wyczerpany Tolek zaczyna się trząść.

– Jedź, chłopcze, dasz radę. Wiem, że jest ci ciężko…

Mężczyzna mówi miękko, jakby głaskał go po włosach.

Pada deszcz, płaszczyk lekarza nasiąka wodą.

Przyjeżdża autobus zbierający zawodników. Żółty, wielki, a przede wszystkim – ma silnik. Nie trzeba pedałować. Cmentarzysko snów o zwycięstwach i bohaterstwie. Zbiera wyczerpanych i kontuzjowanych. Tolek widzi twarze wykrzywione z bólu, ale czasem schowane też pod maską fałszu. Dogoniony uciekinier nie udaje niczego. Dlaczego miałby coś udawać? Po prostu ma dosyć. Ale mimo to – kiedy skrzypią hamulce wozu, coś łapie Tolka za serce i ściska gardło. Co na to powie trener? Wstawił się za tobą, żebyś był w drużynie. Z drzwi autobusu kiwa na Tolka mechanik, żeby podał mu rower. Kiedy tak się pochyla, przypomina surowego ojca, zabierającego synowi ulubioną zabawkę. Nie, nie da mu Marinetty! Tolek przyciąga kierownicę do siebie. Z trudem wsiada na siodełko, rower zaczyna się kołysać, a pedały zataczają kręgi. Jedzie…

– Tak będzie lepiej. Siano – słoma. Słoma – siano – szepczą uparcie wargi, próbując narzucić tempo.

Powoli zbliża się do Wrocławia. Ruch za ruchem, metr za metrem.

Idzie mu niezmiernie ciężko. Kołysze się na boki, jakby wiózł olbrzymi worek.

Na pobocze opada mrok. Cienie drzew wydłużają się i zmęczone spoczywają na szosie. Widzów na trasie już niemal nie ma – komu przyszłoby do głowy, że został tam jeszcze jakiś kolarz. Tak samo jest na przedmieściach. Ludzie już przebiegają przez jezdnię.

Rower skacze po kocich łbach, kierownica trzęsie się w rękach. Może jednak nie powinien jechać dalej. Autobus dla zawodników huczy za nim

niczym wędkarz czekający na rybę.

Teraz skręci za róg i wjedzie na swoją ulicę.

Przyśpiesza i pochyla ze skruchą głowę aż do kierownicy. I nagle słyszy olbrzymie brawa. Biją mu brawo. Podnosi wzrok. Ulica jest pełna, chyba nawet pełniejsza niż w zeszłym roku, kiedy jeszcze jako kibic witał pierwszych zawodników. Krzyczą do niego i machają. Tak, chłopcy. A tam – mama. Drobna, w odświętnej sukience, z niebieską chustką. Stoi i klaszcze drobniutkimi dłońmi. Krzyczą, biją brawo! Dlaczego? Wierzyli w niego bardziej niż on sam. Tolek jedzie i płacze…

Ostatnia żwirowa uliczka prowadząca na stadion.

Ich wrocławski stadion, na który chciał dojechać jako pierwszy. Jeszcze dwieście metrów, sto, pięćdziesiąt i przejedzie przez bramę. Rower pokonał ostatni wybój, skręcił wzdłuż ogrodzenia i wjechał na bieżnię. Już go dostrzegli. Trybuny oszalały. Pełne trybuny!

Jeszcze parę metrów.

Meta!

Ktoś ściąga go z roweru i całuje. Kowalski. Ociera mu łzy i krzyczy:

– No przestań płakać, mazgaju. Najważniejsze, że dojechałeś, zaczynaliśmy się już o ciebie bać. I tak wygrałeś…

A orkiestra, czekająca już tylko na Tolka, zaczęła grać marsza do rytmu ludziom, którzy zaczęli się rozchodzić.

Jak człowiek najpierw przegrał, a potem wygrał

Najpierw jak przegrał

Zapukałem do pokoju hotelowego i wszedłem do środka. Belg siedział już umyty, odziany w jasnozieloną koszulę i białe spodnie. Był młody, miał nie więcej niż dwadzieścia trzy lata.

– Proszę usiąść. Obiecałem panu swoją historię…

Po tych słowach umilkł. Dopiero po chwili powoli zaczął opowiadać:

– Kiedy przyjechaliśmy do Warszawy, wiele osób patrzyło na mnie z podziwem. Znali mnie, wiedzieli, że wygrałem kilka wyścigów etapowych, a ja nie wątpiłem, że wygram również ten wasz. Potrzebowałem tego zwycięstwa – dopiero teraz jego ładne, piwne oczy odrobinę ożyły. – Peleton to żywe miasto na kółkach. Ma swoje prawa, regulaminy, bóle, płacz i śmiech. Jeździłem obok słabszych zawodników, grałem im palcem na nosie i meczałem na nich: Meee! Dla żartu wyciągałem im z kieszeni pomarańcze, ale nie oddawałem ich. Potrzebuję dużo energii. Do waszego Karela podjechałem czterdzieści kilometrów przed metą jednego z etapów górskich i poprosiłem go o wodę. *Wasser, bitte, Wasser*. Podał mi swój bidon, a ja wypiłem wszystko. I jechaliśmy dalej. On bez wody, a ja potem otworzyłem swój pełny bidon. Widział mnie, jak piję… Zawodnicy

milcząco wykluczyli mnie ze swojego kolektywu. Stałem z boku jak czarna owca. I co z tego! Wygram, a wy jeszcze usłyszycie, kto to jest van Ivens. Nie potrzebowałem nawet kolegów z zespołu. Nie potrzebowałem nikogo. Miałem plan, jak wygrać wyścig. Kiedy rozpoczęliśmy przedostatni etap, w klasyfikacji łącznej byłem trzeci. Powiedzieli nam, że teraz będą góry, a wiatr będzie wiał nam w plecy. Przy takiej trasie z długimi zjazdami można uciekać samemu. Nadeszła moja chwila. Przygotowałem duże przerzutki. Staliśmy w grupie przed białym kręgiem przecinającym szosę. I nagle ruszyliśmy jak lawina, przez kilka kilometrów wiatr pchał nas po równinie, a potem wlecieliśmy na pierwsze wzniesienie. I w dół! I w górę! To były te groźne wzgórza, o których Czesi opowiadali nam przed startem. Zabierają oddech, osłabiają mięśnie, i jedno po drugim, tak jak przychodzą, rozkruszają silną wolę. Peleton rozdzielił się na kilka grupek i przeczuwałem, że już raczej się nie scali. Tylko z przodu trzymała się duża grupa. Z niej uciekł Szwajcar i Bułgar. Przyszedł czas również na moją ucieczkę. Zwolniłem, żeby móc niespodziewanie zaatakować z tyłu i szybko przemknąć obok szpicy. Udało się. Zanim się zorientowali, byłem już daleko. Nie wierzyli, że wytrzymamy. Przecież etap dopiero się rozpoczynał.

Potem dogonił nas wasz Žán. Jechaliśmy piekielnie szybko, przewaga rosła. Z naszej czwórki pierwszy odpadł Szwajcar. Potem przestał się zmieniać Bułgar. Wkurzał mnie, ani na chwilę nie poszedł na szpicę rozrywać powietrza. Ja i Žán ciągnęliśmy go przez cały czas. Mieliśmy już dosyć, pot lał się z nas strumieniami. Bułgar przyssał się do nas jak kleszcz. Wciąż słyszałem za plecami jego dyszenie. Krzyczałem, żeby się od nas odczepił. Bluzgałem na niego. *Nom de Dieu!* A potem naprawdę miałem już dosyć. Žán pedałował z przodu, a my zostaliśmy na szosie sami.

Podjechałem do Bułgara, chwyciłem ramę jego roweru między kierownicą i siodełkiem, a kiedy nacisnął na pedały, spadł.

Van Ivens zamilkł, ciężko było mu przyznać się do winy.

– Tego się nauczyłem. Skargi na nic się nie zdadzą, skoro nikt niczego nie widział…

I znów chwila milczenia.

– Zostało nas dwóch. Žán się trzymał. Ale jeszcze nie miał tego sprytu. Jakiś czas przed tym, jak mu uciekłem, nie zmieniałem się z nim. Myślał, że już nie mogę, chwilowy kryzys miewają nawet najlepsi zawodnicy. Kiedy tylko się zmęczył, zacząłem mocniej pedałować i urwałem się mu. Krzyczał do mnie coś po czesku. Potem ja również opadłem z sił. Do mety wciąż pozostawało mnóstwo kilometrów. Wiedziałem, jak to przezwyciężyć, ale co z Žánem? Było mi go żal, a poza tym jeszcze go potrzebowałem. Zaproponowałem mu tabletki wzmacniające. Nie wziął ich. Tylko pokręcił smutno głową. Twarz miał już umęczoną. Mnie po tabletkach zrobiło się lepiej. Znów pedałowałem. Jakieś piętnaście kilometrów przed metą podjechał do mnie i kiepskim niemieckim powiedział: *Ich bin hier zu Hause. Ich will erste sein*. Czyli że musi wygrać. Kiwnąłem głową. Ale przed miastem zaczęła się walka. Na śmierć i życie. Nie odpuszczał ani centymetra. Chciał wygrać, był u siebie. Znam to uczucie. Mama, dziewczyna, koledzy. Nie pozwoliłem mu. Na stadion wjechałem pierwszy. Wygrałem i włożyłem żółtą koszulkę. Kolejnego dnia stałem na starcie ostatniego etapu. Coś wspaniałego. Kibice ściskają ci ręce, chcą autografy. Było chłodno, siąpił deszcz, ale ja czułem się świetnie. Zwycięstwo miałem w kieszeni, wystarczyło utrzymać się w grupie prowadzącej.

Kiedy van Ivens opowiadał to wszystko, uśmiechał się, ale później jego twarz znów zrobiła się poważna.

– Ruszyliśmy spokojnie, nie dało rady uciec tak jak wczoraj. Kiedy urwali się dwaj Polacy, pozwoliliśmy im jechać. Potem peleton trochę się porozrywał. Byłem akurat z tyłu. Duńczycy, którzy nadawali naszej grupce tempo, zwolnili, mieli jednego z przodu, a ja tego nie zauważyłem. To, że nie jechałem w grupie prowadzącej, to był szkolny błąd. Kiedy zorientowaliśmy się, jak dużą mają nad nami przewagę, byłem strasznie zaskoczony. *Ah, zut alors!* Wyrwałem do przodu i przez wiele kilometrów ciągnąłem całą naszą grupę. Po wczorajszej ucieczce nie miałem dziś sił na samotną gonitwę. Musiałem harować sam, chociaż jechało nas przynajmniej dwudziestu. Potem jeździłem od jednego do drugiego i prosiłem, żeby jechali ze mną. Prosiłem waszego Karela, żeby wasi chociaż przyśpieszyli. Spojrzał na mnie zdziwiony i powiedział tylko: *Wasser, bitte, Wasser.* Jechali w milczeniu i patrzyli przed siebie. Wszyscy mi odmówili. Rewanż? Jeszcze raz zdobyłem się na próbę ucieczki. Nie dałem rady. Rower jakby stał w miejscu, a grupa prowadząca boleśnie zwiększała przewagę. Duńczykowi na pewno pomagali wszyscy. Przyglądałem się rywalom – wyglądali jak bogowie zemsty. Poddałem się. Przez resztę trasy cierpiałem. Potem ujrzałem Pragę. Tyle o niej słyszałem, cieszyłem się, że ją zobaczę, ale teraz, kiedy na nią patrzyłem, wydawała mi się smutna. Ludzie nam machali, nigdy nie widziałem, żeby tylu ludzi machało kolarzom. Na stadion dojechałem chyba jako dwudziesty, a może jako trzydziesty, nawet nie wiem, nie interesowało mnie to. A potem wszystko się we mnie rozsypało…

Skończył. Podszedł do okna i patrzył na Pragę. Chłopiec, który dostał lekcję.

Może jeszcze nie jest za późno. Jego głos rozbrzmiał w pokoju:

– Wie pan, musiałem komuś o tym opowiedzieć. Musiałem. Rozumie pan? Jeśli przyjadę tu jeszcze kiedyś, a chciałbym przyjechać, pojadę

inaczej. Gdy człowiek jest odrzucony, różne myśli przychodzą mu do głowy…

A teraz jak wygrał

Zaczyna się to jak bajka. Peleton był wtedy długi jak Lovosice, było gorąco, asfalt roztapiał się pod oponami, a woda w bidonach wysychała. Kolarze narzekali, a ich nogi prawie stały w miejscu, ale jechali dalej, bo reprezentowali siebie i swoją ojczyznę. Aż dojechali nad taką niemal niebieską rzekę, gdzie stali ludzie w strojach kąpielowych, a jeden chłopiec trzymał duży, błękitny balon. Nagle prowadzący kolarz zatrzymuje się, a za nim hamuje cały peleton, czekając, co się wydarzy. Ten kolarz – nie wiem, kto to był – oparł rower o jabłoń, pomachał tym balonikiem, wszedł do rzeki, nie zdejmując nawet butów kolarskich, i zaczął się obmywać. Potem weszli tam również pozostali zawodnicy i zaczęli chlustać na siebie wodą. Duńczyk na Polaka, Czech na Niemca. Przestali ze sobą rywalizować, ścigać się, walczyć, stali tam jak dzieci i pluskali się jak kaczki. Czasami życie zwycięża nad rywalizacją.

Kiedyś widziałem również, jak wszyscy kolarze przestali pedałować i poszli na czereśnie. Ten, kto nie wie, jak ciężką harówką jest kolarstwo, nie zrozumie tego. A kiedy indziej zaraz na początku etapu urwał się Belg Hufkens. Fachowcy mówili, że to szaleniec i że nie ma szans, żeby to wytrzymał. A on powiększał przewagę. Wynosiła już trzy kilometry. To była fantastyczna ucieczka, jaką widuje się zaledwie raz na kilka lat. Siedzieliśmy w autach i czekaliśmy, kiedy ten chłopiec w belgijskim trykocie wyczerpany spadnie z roweru i wyzionie ducha. Sędziowie wciskali stopery, robili obliczenia, krótkofalówki pracowały pełną parą.

A potem stało się coś, czego nie zapomnę do końca życia. Wjechaliśmy do miasteczka z większym rynkiem. Ten Hufkens nagle skręcił i zjechał po

kocich łbach na drugą stronę placu. Jakby całkowicie oszalał. Podjechał do dziewczyny, która machała do niego bukietem kwiatów. Zatrzymał się, wziął od niej te kwiaty, pocałował ją, przymocował bukiet na plecach do jasnoniebieskiej koszulki i pojechał dalej.

Staliśmy jak zamurowani, ocieraliśmy z czoła krople potu i mieliśmy miękkie kolana. Przecież za tym chłopcem jechało stu kolarzy, którzy chcieli go dogonić i przegonić, a on zajeżdża sobie po kwiatuszki i dziewczęcy pocałunek. Może był to tylko gest, ale było to również wyjście z szeregu, gdy człowiek zwycięża. Być może chciał sprawić tej dziewczynie przyjemność. Może mu się podobała. A może chciał coś przez to powiedzieć. Nie pamiętam, czy wygrał ten etap, musiałbym odszukać wynik w archiwum, ale to, co ten chłopiec zrobił, pamiętać będę długo.

I teraz już wiem, że człowiek w swej ciągłej gonitwie i pośpiechu powinien spokojnie wysiąść z zatłoczonego tramwaju, do którego ledwo udało mu się wcisnąć, i pójść na przykład do kwiaciarni. Że powinien pomachać niebieskim balonikiem na znak, że wciąż żyje. Przynajmniej czasami powinien podać swoim życiowym rywalom pomarańczę lub bidon z wodą.

Odpuść nam nasze winy

Po wojnie pojechałem z Karolem w Alpy, wyposażeni byliśmy mizernie, ale wspinać się umieliśmy. Przez całą wojnę ćwiczyłem jak szalony. Zawsze po szkole zdobywaliśmy jedną iglicę za drugą. Przy tych niebezpiecznych wspinaczkach korzystaliśmy z liny pożyczonej z kościelnego dzwonu, a haki robił nam Oldek w kuźni.

Było tam pięknie. Pośród tych skał mieliśmy tuż nad ziemią takie małe gniazdo, o którym nikt inny nie wiedział. Tam się spotykaliśmy, śpiewaliśmy piosenki, opiekaliśmy chleb z czosnkiem i rozmawialiśmy o tym, co będzie po wojnie i jak pojedziemy na Nanga Parbat. Mieliśmy już mapy i planowaliśmy, co będzie nam potrzebne. Tylko jedzenia nie byliśmy w stanie obliczyć – nie potrafiliśmy sobie wyobrazić, że kiedyś sklepy znów będą pełne mięsa, konserw i kiełbas.

Wodzem naszej bandy był Józek Mrówka, uczył się na inżyniera, połowę miał już za sobą. Był wysoki i smukły, miał słomiane włosy, a kiedy słońce mu je oświetlało, płonęły złotem. Na skale radził sobie świetnie, ruszał się jak marionetka, którą ktoś pociąga za sznurki. Jako pierwszy zdobył szereg najtrudniejszych szczytów. Uczył mnie wspinaczki, wbijania haków, rozpoznania skały. I nie tylko. Gdy siedzieliśmy we dwójkę w naszym gnieździe, radził mi, jak mam postępować z dziewczynami, kiedy zaatakować od razu piersi lub niżej, a kiedy recytować poezję.

Pewnego razu umówiliśmy się na popołudnie, ale Józek Mrówka nie przyszedł. Tego dnia Niemcy zastrzelili mu tatę. Jego tato był członkiem jakiejś partii, a oni po niego przyszli. Stanęli po obu stronach ulicy przed ich żółtym domkiem na skraju miasta, a kiedy wyszedł, zaczęli strzelać. Podobno leżał twarzą ku ziemi i rył nogami w twardym bruku, jakby chciał przed tym swoim rodzinnym domkiem od razu wykopać sobie grób.

Od tego czasu Józek zachowywał się inaczej. Dziwne było, że innych takie przeżycie mogłoby wzmocnić, ale z nim stało się coś zupełnie innego. Na trudnych ścianach trząsł się, drżały mu ręce. Ten, o którym myśleliśmy, że po wojnie wprowadzi nas na Nanga Parbat, był po prostu załamany. A potem z tych trudnych ścian zrezygnował całkowicie. Musiał studiować i w dodatku zajmować się dwoma młodszymi braćmi. Czasem odwiedzał nas w naszym gnieździe i przynosił gałązki i kwiatki, z których plótł wieńce, żeby jego bracia mogli je sprzedać przed cmentarzem. Zazwyczaj milczał i słuchał naszych wywodów o wspinaczce górskiej, o Niemcach i o końcu wojny.

A potem przyszli Niemcy. Ktoś musiał im donieść, że się tu spotykamy i że mamy broń. Usłyszeliśmy niemieckie słowa, ale na ucieczkę było już za późno. Obstawili wyjście. Przez szpary widzieliśmy hełmy i karabiny. Potem do gniazda wszedł oficer z pięknymi niebieskimi oczami i rozkopał cmentarne wianuszki, jakby mogły w nich być ukryte strzelby, których oczywiście tam nie było. Kwiaty połamały się, wzleciały w powietrze i wraz z gałązkami opadły z powrotem na ziemię. Panowała cisza jak na cmentarzu. Z boku był w skale przesmyk, sądziliśmy, że Niemcy o nim nie wiedzą. Józek nagle poderwał się jak przerażone zwierzę i skoczył ku tej szczelinie. Żaden z żołnierzy nawet nie podniósł ręki, tylko patrzyli spokojnie, jak ucieka. Wtedy zrozumieliśmy. Mieli tam postawiony karabin

maszynowy. Usłyszeliśmy serię. Potem ciszę. Oficer z niebieskimi oczami powiedział:

– *Kommen sie mit!*

Szliśmy w rządku jak gęsi. Prowadzili nas obok Józka, leżał tak jak jego ojciec z twarzą ku ziemi, miał przestrzeloną szyję i piersi, a pod tą szyją już rozścielała się kałuża krwi niczym czerwony szal. A ręce mu nie drżały, jak kiedy ostatnio wspinał się na skały, tylko leżały spokojnie, pogodzone ze wszystkim, jak zresztą zawsze ręce są pogodzone, gdy człowiek umiera. Na białej wyszywanej chustce, którą dostał od dziewczyny, leżała jego broń. Był to niemal zabawkowy pistolecik z obrotowym bębenkiem, mieszczący się w chłopięcej dłoni, z którego raczej nie dałoby się nikogo zranić na odległość większą niż pięć metrów. Naboi nie widziałem, pewnie miał ich tam wciśniętych tylko kilka. Oficer zatrzymał nas, wskazał na Józka i powiedział, żebyśmy dobrze zrozumieli:

– *Bandit!*

Józka zawieźli na cmentarzyk, a nas do obozu koncentracyjnego, nikt z przesłuchujących nie wierzył, że w naszym gniazdku rozmawialiśmy przede wszystkim o tym, jak zdobyć Nanga Parbat.

Do końca wojny nie zostało dużo czasu. W jej ostatnich tygodniach myślałem o tym, że muszę pomścić Józka i jego tatę. Że muszę załatwić przynajmniej dwóch Szkopów. W nocy przed przyjazdem Amerykanów uciekłem z obozu, zwinąłem z dżipa spluwę, ale Niemca zabić nie mogłem – byli już chronieni. Kiedy wróciłem do Czech, tym bardziej nie było jak tego zrobić. Nie spełniłem obietnicy danej Józkowi.

Po wojnie musieliśmy pracować, a w wolnych chwilach znów wspinaliśmy na skały, szykując się na wyprawę w Himalaje. Ale na Nanga Parbat nie było szans – nie mieliśmy sprzętu ani pieniędzy, zaczęliśmy więc planować Alpy. I one, jak to się mówi, nam wyszły. Wybrałem się

z Karolem pociągiem na jedną z najtrudniejszych północnych ścian świata – na Wielką Niewiadomą. Po raz pierwszy zdobyli ją Francuzi, wejście zajęło im cztery dni. Potem wchodzono tam coraz szybciej, ale nikomu nie udała się ta sztuka w ciągu jednego dnia. Najlepsza ekipa potrzebowała dnia z kawałkiem. Powiedziałem Karolowi:

– Karolu, właśnie my moglibyśmy zrobić to jednego dnia. Mamy w sobie olbrzymią siłę nagromadzoną podczas wojny.

Do cudownego hotelu u podnóża tej góry wspinaliśmy się z plecakami na plecach. Nie chcieliśmy jechać kolejką – oszczędzaliśmy franki. Wokół nas rozpościerały się plakatowe łąki, a na nich świeża, zielona trawa, na której pasły się pyzate, plamiaste krowy z dzwonkami na szyi. Lał się z nas pot, plecaki uwierały, a Karol klął, dlaczego nie jedziemy kolejką, te kilka franków mogliśmy zaoszczędzić na czymś innym. Wyruszyliśmy rano, a do luksusowego hotelu dotarliśmy dopiero po południu. Na tarasie wypiliśmy wspaniałą oranżadę. Przysiadł się do nas pan, który przedstawił się jako Krull – dziennikarz wyznaczony specjalnie na tę ścianę. Ona była tego warta, zginęły na niej dziesiątki alpinistów. Kiedy powiedzieliśmy panu Krullowi, że jesteśmy z Czechosłowacji, zaintrygowało go to – podobno jesteśmy pierwszymi mężczyznami ze Wschodu, którzy się tu pojawili. Kiedyś po wojnie przyjechali Polacy, ale po trzech dniach uciekli, była wtedy straszna pogoda, a wspinaczka oznaczałaby samobójstwo. Krull popijał delikatny koniak Aussy, wyglądający jak miód pitny, natomiast my sączyliśmy oranżadę. Mierzył nas wzrokiem od stóp do głów. Nasze wyposażenie nie mogło zrobić na nim wrażenia, wyglądaliśmy jak włóczędzy, przecież sam szyłem sobie spodnie i wiatrówkę, a nasze buty były tylko z miękkiej, podniszczonej skóry. Dziennikarz traktował nas uprzejmie, przez te wszystkie lata przywykł do różnych dziwactw,

zaproponował nawet, że jeśli zdobędziemy ścianę w jeden dzień, kupi naszą opowieść i wszystkie zdjęcia, każde ujęcie za pięćdziesiąt dolarów.

Nawet nie mrugnąłem okiem, tylko policzyłem w duchu, że to byłoby kilkaset dolarów, za które mógłbym sobie kupić tę wspaniałą czerwoną puchową kurtkę Schustera, którą widziałem w Zurychu w sklepie z artykułami sportowymi. I jeszcze sporo by mi zostało, więc kupiłbym też wspaniały płaszcz zimowy dla mamy, żeby nie trzęsła się w tym wojennym, znoszonym prochowcu.

Pan Krull skinął głową, dopił koniak Aussy, wytrzepał fajkę i powiedział:

– Będę na was czekać. – A potem dodał obojętnie: – Przed wami ruszyli w górę dwaj Niemcy, ale nie mają zbytniego doświadczenia.

Tego się nie spodziewaliśmy. Według dostępnych informacji na tę ścianę od dwóch lat nikt się nie wspinał, pogoda cały czas była kiepska, a teraz nagle miały się tu spotkać dwie dwójki. Nie jest dobrze mieć kogoś przed sobą, może wam zrzucić na głowę kamień, a poza tym nie ma się już tego poczucia pustki i niezależności, niezbędnego przy tworzeniu wielkich rzeczy. Może też spowalniać na trasie. I tysiąc jeden innych rzeczy. Po prostu będzie inaczej, niż gdybyśmy byli tam sami.

Szliśmy wąziutką ścieżką do ostatniej chatki u podnóża góry. Była to chatka, w której sypiali alpiniści, taki kurnik na kurzej łapce dla Baby Jagi. W dole ciągnął się uskok, a nad chatką piętrzyła się północna ściana Wielkiej Niewiadomej. Ta chatka była ostatnią stacją przed wspinaczką.

Z kominowej rurki na dachu wylatywała wstążka dymu, czyli Niemcy palili sobie w piecu. Zastanawiałem się, jak będzie się wobec nich zachowywać Karol. Nie był z naszych okolic, nie znał Józka Mrówki, żył w Tatrach, w czasie wojny nie miał z Niemcami do czynienia. Kiedy zbliżaliśmy się do chatki, uśmiechnął się i powiedział:

– Niemcy robią nam kolację. Świetnie.

Nie odparłem nic, nie zamierzałem nawiązywać z Niemcami żadnej konwersacji, a moje zdanie było w tym temacie decydujące, bo Karol nie znał po niemiecku ani słowa, właściwie umiał *Guten Tag* i *Gute Nacht,* a poza tym tylko czesko-niemiecki wierszyk:

Stół to Tisch, ryba Fisch,
Skóra Leder, pióro Feder,
A ładna dziewczyna to schönes Mädel.

Zapukaliśmy do drzwi chatki. Zabrzmiało pewne siebie:

– *Weiter!*

Wszedłem pierwszy. Nie było prawie nic widać, świeciła tylko mała lampa olejna, a słaby blask niczym odbicie zachodzącego słońca dochodził przede wszystkim z rozgrzanego pieca. Niemcy siedzieli w swetrach na krzesłach, a na gwoździach wbitych w prycze wisiały piękne puchowe kurtki Schustera, jedna niebieska jak niebo, druga intensywnie czerwona. Na nogach mieli doskonałe buty do wspinaczki, kosztujące mnóstwo franków albo marek, a ten przyjemny widok przy świadomości, że są to akurat Niemcy i że jutro wyruszą przed nami, rozognił mnie tak, że przyszła mi do głowy myśl, która wtedy przychodziła do głowy wszystkim Czechom – że oni wywołali wojnę, przegrali ją i żyją sobie dostatnio.

Mieli równie zdziwioną minę jak my, kiedy dowiedzieliśmy się od tego koniakowego redaktora, że są tutaj. Karol się przywitał:

– *Guten Tag!*

Odpowiedzieli mu, ja nie powiedziałem nic. Ciekawe, że albo od pierwszej chwili się z kimś zaprzyjaźniasz, albo od pierwszej chwili znajomość jest gówno warta. To był raczej ten drugi wariant. Z pewnością

zauważyli, że ja się nie przywitałem i miałem zawziętą minę, ale nie powiedzieli ani słowa i zajmowali się swoimi sprawami. Nalewali sobie sok do plastikowych butelek, a ten starszy dokładał do pieca. Działało to tak, jak często w takich chatkach: do kasy wkłada się franki i za te franki można sobie napalić w piecu czy podłożyć wiązkę słomy, którą przynoszą tu na plecach szwajcarscy alpiniści. Ten starszy, wychudzony, który wyglądał jak rolnik, wziął garść franków i wsypał je do kasy, najwyraźniej z naszego sfatygowanego odzienia wywnioskował, że od nas nie doczeka się niczego. Karol uśmiechnął się i żeby zdobyć ich sympatię, powiedział ten wyświechtany wierszyk:

Stół to Tisch, ryba Fisch,
Skóra Leder, pióro Feder,
A ładna dziewczyna to schönes Mädel.

I po czesku dodał:

– Ja się dogadam wszędzie, to co potrzebuję, to znam.

Młodszy Niemiec, mięśniak z brodawką na nosie zbliżający się do czterdziestki, odrzekł jakby na wpół z podziwem, na wpół z pogardą:

– Brawo!

W tamtej chwili miałem ochotę ściągnąć Karola z pryczy i dać mu w pysk. Ale zrobiłem coś innego. Sięgnąłem do kieszeni wiatrówki, w której miałem franki zaoszczędzone na kolejce linowej, przez co musieliśmy pół dnia maszerować, i połowę tych pieniędzy wsypałem do kasy. Spostrzegłem, jak Karol wytrzeszcza oczy. Każdy frank, kiedy spadał, dźwięczał, jakby leciał z olbrzymiej wysokości. Niemcy milczeli, Karol również nic nie powiedział, nigdy później nie pytał mnie, dlaczego to zrobiłem.

Zjedliśmy kawałek kiełbasy, sera i poszliśmy spać. Nie życzyliśmy sobie dobrej nocy. Zazwyczaj w dzień wspinaczki wstawaliśmy przed świtem, ale tym razem spaliśmy, nie było sensu się zrywać. Niemcy mieli prawo iść pierwsi i musieliśmy zachować odpowiedni dystans. Wyszli chyba wcześnie, niech ich diabli wezmą z tym ich porządkiem, chatę zamietli. Nie zużyliśmy nawet jednej czwartej drewna, za które zapłaciliśmy. Nie umyliśmy się – nie było w czym. Znów zjedliśmy ser, kawałek kiełbasy i popiliśmy herbatą.

Szykowaliśmy się do wyjścia, kiedy mój wzrok padł na prycze. Ktoś kawałkiem sznurka przywiązał tam piękną rzeźbę Madonny, na głowie miała taką jakby pękniętą koronę, a na rękach trzymała dzieciątko, które też miało na głowie koronę i też jakby pękniętą. Madonna miała taką szczególnie cichą i spokojną minę, jakby całe zło miało zostać ludziom odpuszczone. Posłałem Karola przodem, a kiedy wyszedł, ukląkłem i modliłem się tak samo, jak gdy w czasie wojny latały nad nami eskadry srebrzystych amerykańskich samolotów. Modliłem się wtedy, żeby nie zrównały naszego miasteczka z ziemią i żeby mnie nie zabiły, bo po wojnie chciałem zdobyć ze swoimi przyjaciółmi Himalaje. W ogóle miałem do Boga taki dziwny stosunek, modliłem się, kiedy zaczynało robić się niebezpiecznie. Dziś również modliłem się do tej niezwykłej Madonny, bo wiedziałem, że mamy wyjątkową szansę, by zdobyć tę górę, a przede wszystkim zejść z niej tego samego dnia, co dotychczas nikomu się nie udało. I modliłem się też, żebyśmy nie zginęli:

Ojcze nasz, któryś jest w niebie,
święć się imię Twoje,
przyjdź królestwo Twoje,
bądź wola Twoja,

jako w niebie, tak i na ziemi…

Karol czekał na zewnątrz, przeczuwał, co robię. On wierzył w innych bogów, komunistycznych. Potem ruszyliśmy ku ścianie, już przywiązani jeden do drugiego, połączeni liną. I milczeliśmy, myślałem o tysiącu spraw, a przede wszystkim o tym, czy możemy osiągnąć swój cel jednego dnia, zwłaszcza kiedy przed nami są ci Niemcy. Może w którymś miejscu uda się nam ich wyprzedzić, ruszyć w górę, nawet jeśli byłoby to ryzykowne, i zaatakować szczyt tak szybko, by nie zdążył się zorientować.

Stanęliśmy przed ścianą. Pomimo iż wstaliśmy późno, dopiero świtało. Skała była niemal pionowa, bez bruzd. Po Niemcach ani śladu, musieli być gdzieś nad nami, innej drogi na szczyt nie było.

Ruszyliśmy. Zawsze, kiedy jestem z Karolem, idę pierwszy. Karol był takim byczkiem, w dobrym znaczeniu tego słowa, dźwigał większość bagaży jak wół, udźwignął więcej niż ja i miał więcej siły, ale na górach nie znał się zbyt dobrze. Nie miał do tego drygu, nie wyczuwał szybko, którędy iść i gdzie sięgnąć; kiedy musiał iść pierwszy, długo stał i zastanawiał się – dziwne, że jeszcze nie drapał się przy tym po głowie. Nie miał talentu. Talentu, który trzeba mieć do wspinaczki, do pisania, do malowania albo do noża chirurgicznego. Z drugiej strony – można mu było absolutnie zaufać, a to dodawało mi pewności. Kiedy wbił hak, trzymał się w skale jak zacementowany, a gdybym spadał, utrzymałby mnie w zębach i jeszcze by się przy tym uśmiechał. Dzięki temu mogłem pracować szybko. Byliśmy coraz wyżej. Wspinałem się jak wiewiórka, a on szedł za mną jak niedźwiedź. Dziś, kiedy się zestarzałem, wiem, że byliśmy jedną z najlepiej zgranych dwójek alpejskich na całym wielkim świecie. Najpierw usłyszeliśmy, a potem zobaczyliśmy Niemców. Od razu ogarnęła mnie wściekłość – za dużo od rana nie przeszli. Byli trzy długości liny przed nami, jakieś sto metrów. Wlekli się jak ślimaki. Nie wyglądali najlepiej, ta

pewność siebie, z jaką w chatce wrzucali franki do kasy, gdzieś się ulotniła. Z przodu szedł ten starszy, wychudzony, co wyglądał jak rolnik, na głowie miał lekki, jaskrawoczerwony kask Sport-Hu.

Szli teraz po podobnej bruździe jak my, korzystali z drabinki z aluminiowymi stopniami. My wspinaliśmy się po trudniejszej szczelinie – bez niczego. Wtykaliśmy czubki butów w szpary i poruszaliśmy się z zawrotną prędkością, jak kiedyś u nas, w Czechach. Potem nastał ten moment, w którym musieliśmy zdecydować, czy ich obejdziemy, czy będziemy iść za nimi.

Patrzyłem w górę i obserwowałem tego rolnika. Nagle oderwał się od ściany. Czerwony kask zakołysał się przy skale, a potem odkleił się od niej i opadł kilka metrów niżej. Mężczyzna wisiał na linie niemal głową w dół i kiwał się jak wahadło wielkiego zegara. Wstrząsnęło to mną jak zawsze widok czyjegoś upadku. Natychmiast pomyślałem, żeby im pomóc, bo taki jest kodeks alpinistów. Ale w ogóle nie chciało mi się tego robić, ponieważ miałem ich już po dziurki w nosie i ponieważ byli Niemcami. Lecz jednak coś się we mnie ruszyło, kiedy widziałem ciało szamocące się przy skale. Myślałem o podstawowej wartości: to jest człowiek. Karol też krzyczał z dołu coś o pomocy. Stałem i wkurzałem się, że to będzie nas kosztować dużo czasu, pieniądze za fotografie przepadną, sława za zdobycie tej ściany jednego dnia – również. A przecież było jasne, że w obecnej formie dalibyśmy radę tego dokonać. Cholera, po co ci Niemcy tu leźli, skoro są na to za słabi!

W końcu zdecydowałem, że im pomogę. Kiedy doszedłem do rolnika, stał już na występie skalnym. Był w szoku, miał rozszarpaną twarz, płynęła z niej krew, jęczał i macał swoje plecy. Dotarłem do niego i ujrzałem jego oczy, zupełnie inne niż te pewne siebie oczy wczoraj w chatce. Znałem je, widziałem je u Niemców, kiedy Amerykanie prowadzili ich na końcu

wojny. Przemyłem mu twarz alkoholem i zakleiłem ranę, przestała krwawić. Coś szepnął i próbował uścisnąć mi rękę, może w tamtej chwili wydało mi się to nawet miłe, był to taki nieznaczny plaster na wszystkie udręki, które na nas spadły. Odsunąłem dłoń i pokazałem mu, żeby się do nas przywiązali.

Tempo zmalało, było jasne, że w czwórkę w jednej drużynie nie mamy szans na zdobycie tej góry jednego dnia. Niemcy radzili sobie mizernie. Za każdym razem, kiedy spoglądałem w dół, ten mięśniak w niebieskim kasku szczerzył do mnie zęby, a ja wciąż widziałem tylko tę brodawkę. Ani razu mu tego uśmiechu nie odwzajemniłem. Rolnik nie reagował na nic, wspinał się mechanicznie, raz znów prawie zleciał, ale Karol go utrzymał. A przecież była na tę ścianę idealna pogoda, jaka zdarza się raz na wiele lat.

Trzy czwarte ściany mieliśmy za sobą i musieliśmy zacząć myśleć o noclegu. Znaleźliśmy półkę skalną i tam się rozbiliśmy. Wczoraj nie powiedzieliśmy sobie nawet dobranoc, a dziś będziemy spać jak bracia. Było to trochę śmieszne. Znaleźliśmy luksusową miejscówkę, jak zawsze mawia mój dziadek Alojzy, nawet tryskała tu ze skały woda. Przy odrobinie ryzyka i balansu ciałem można by było dojść do źródełka z butelką.

Usiedliśmy tyłem do ściany, wbiliśmy haki i zabezpieczyliśmy się, żeby w nocy nie spaść. Było to niewygodne, ale pozwalało na spokojną kilkugodzinną drzemkę. Tymczasem zapadł zmrok.

Kto nie spał na skale – nie zrozumie. Była piękna, jasna noc, a pod nami pobłyskiwały światełka hotelu, co dawało poczucie, że ludzie są blisko, choć nie było w tym ani krzty prawdy. Ludzie byli zbyt daleko, by w jakikolwiek sposób nam pomóc – równie dobrze mogliby być na Alasce. A jeszcze dalej, w głębi kotliny, ciągnął się szereg światełek aż do tej szwajcarskiej wioski, przez którą przechodziliśmy wczoraj po obiedzie.

Niemcy siedzieli po naszej lewej stronie. Temu, co wyglądał jak rolnik, a równie dobrze mógł być słynnym chemikiem albo doskonałym inżynierem, najwyraźniej już zrobiło się lepiej, zaczął sam:

– Bez was nigdzie byśmy nie doszli.

Zbyłem go banałem, że na naszym miejscu każdy zachowałby się tak samo. A potem zaczęła się rozmowa na wszelkie możliwe tematy. Byli to urzędnicy techniczni z Monachium, ich doświadczenie z trudnymi górami było znikome. Pomysł zdobycia Wielkiej Niewiadomej zrodził się kiedyś przy piwie jako zakład – gdy stukali się tymi swoimi kuflami z pokrywkami i śpiewali krzykliwe piosenki. Rolnik miał na imię Hort, a ten z brodawką – Toni. Toni był sympatyczniejszy, chciał się nam jakoś odwdzięczyć, a po posiłku przyniósł nam w starej manierce z wojny lodowatą wodę. Smaczną, choć była to tylko woda z topniejącego śniegu. Toni poszedł po nią dość daleko, najpierw przybił sobie hak, a potem szedł wzdłuż półki jak linoskoczek. Dla nas by to było jak splunąć, ale dla niego – wielkie wyzwanie. Kiedy podał mi tę wodę, znów się uśmiechnął. Po raz pierwszy mu podziękowałem.

Potem usiedliśmy i kręciliśmy się w puchowych kurtkach, jak kręci się w domu, zanim się uśnie. Mnie zajmuje to dużo czasu. Młodszy Karol i Toni już chrapali. Nie spałem tylko ja i Hort. On myślał, że ja też już śpię. Czuł się lepiej, może nawet całkiem dobrze, szok minął. Patrzył w dal i coś sobie nucił. Jakąś piosenkę, którą chyba znałem. To było dziwne – siedzieliśmy właściwie sami w obcym kraju, a nad szwajcarskim krajobrazem ciągnęła się melodia, którą obaj znaliśmy. Nie myliłem się, usłyszałem wyraźnie słowa:

Vor der Kaserne, vor dem grossen Tor…

Tak, to była *Lili Marleen. Ta piękna, zwycięska niemiecka pieśń,* z którą Hitler zdobywał świat. Słyszałem ją, kiedy jego żołnierze wkraczali do

naszego miasteczka, w filmowych dziennikach widziałem wojska maszerujące przez słodką Francję z ustami na oścież, słyszałem ją i jednocześnie widziałem rozstrzelane ciała ludzi i padające ściany domów. Ta pieśń napędzała żołnierzy bardziej niż inne pieśni, miała w sobie szczególny, niebezpieczny czar, nakręcała wojsko jak krzykliwe przemówienia Hitlera. Podświadomie lubiłem ją z powodu pięknej melodii, ale jednocześnie nie znosiłem za wszystko, z czym się wiązała.

Znów ogarnęła mnie wściekłość: Hort – po raz kolejny – zwyciężył!

Trząsłem się na całym ciele, myślałem też o tej ich manierce, którą wzięli ze sobą najprawdopodobniej jako talizman, i kojarzyłem ją z różnymi sytuacjami z wojny. Aż do rana nie udało mi się porządnie zasnąć, natomiast Hort spał. To, że nie zdrzemnąłem się ani przez chwilę, okazało się niemądre. Byłem rozdrażniony. Nad ranem trochę mi się poprawiło, myślałem już tylko o normalnych sprawach, o jakich myśli każdy człowiek. O swoim bracie, któremu muszę w Zurychu kupić amerykański model samolotu do sklejania, i o mamie – będę dla niej lepszy. Potem jeszcze o tysiącu rzeczy. Wreszcie zaczęło świtać, naprzeciw mnie pojawiła się zorza i przeganiała noc. Sąsiedzi jeden po drugim zaczynali się przebudzać.

Było pięknie jak na wycieczce i zamierzaliśmy dokończyć wspinaczkę na szczyt. Myślałem, że się rozdzielimy, ale ten sympatyczniejszy – Toni, powiedział:

– Możemy przywiązać się jeszcze na kawałek?

Było mi to już obojętne – i tak wszystko diabli wzięli. Zgodziliśmy się.

Wyruszyliśmy. Czekał nas jeszcze trudny odcinek i męcząca praca, wbijanie haków i wspinaczka, walka z górą.

Na szczyt ściany nie było daleko. Właściwie mieliśmy go już za sobą. Czekały już na nas inne kraje i inne góry. Niemcy odłączyli się od nas

i wspinali się sami. Świeciło słońce, puchową kurtkę schowałem do plecaka. Niemcy szli pode mną, wyżej był rolnik Hort. Raczej z nim nie rozmawiałem. Ale w pewnej chwili, kiedy przypadkowo spojrzałem w dół, zamarłem. Niemcy nierozsądnie wisieli na jednym haku, źle wbitym. Ten rolnik Hort patrzył akurat w dół, coś krzyczał i nie zauważył, że hak powoli wysuwa się ze ściany. W tym momencie mogłem jeszcze coś zrobić, ale nie zrobiłem niczego. Patrzyłem i nagle uświadomiłem sobie, że w uszach brzmi mi *Lili Marleen.* I wtedy po raz pierwszy przypomniałem sobie Józka Mrówkę i jego ojca. A *Lili Marleen* wciąż brzmiała:

Vor der Kaserne, vor dem grossen Tor…

Obserwowałem hak. Wystarczyłoby krzyknąć do tego rolnika Horta, który był tuż obok niego. Ale nie krzyknąłem. Po prostu tego nie zrobiłem. Patrzyłem, jak hak się wysuwa, chyba miałem zaciśnięte wargi.

A potem wypadł cały. Ciszę rozerwał krzyk, po raz ostatni zobaczyłem oczy i twarz rolnika. Miały w sobie coś szczególnego, coś jakby zdziwienie i coś, jak kiedy człowiek umiera. Obracali się i fikołkowali po wypustkach skał. Dźwięczały czekany i dudniły ciała, piękne wiatrówki strzępiły się o kamienie. Zniknęli gdzieś w dole.

Lili Marleen ucichła.

Tkwiliśmy w miejscu nieskończenie długo, a potem Karol potrząsnął sznurem.

Na szczyt góry było już niedaleko. Wspięliśmy się tam, podaliśmy sobie ręce i nie powiedzieliśmy ani słowa.

Na małej półce skalnej wyciągnąłem z aparatu rolkę filmu i zapaliłem zapałkę. Karol przyskoczył do mnie, próbował zgasić ogień i ryczał:

– Odbiło ci?! Za zdjęcia Niemców na ścianie dostaniesz od redaktorów olbrzymie pieniądze. – Odepchnąłem go, film zajął się bardzo szybko i toczył się po kamieniach. Chciałem, żeby za mną zostało i spłonęło

wszystko, Józek Mrówka, jego ojciec i ci dwaj Niemcy. Dziś wszystko miało zostać zamknięte.

Ale nie pozbyłem się tego nigdy i już nigdy nie poszedłem w góry. Wciąż widziałbym tych spadających Niemców.

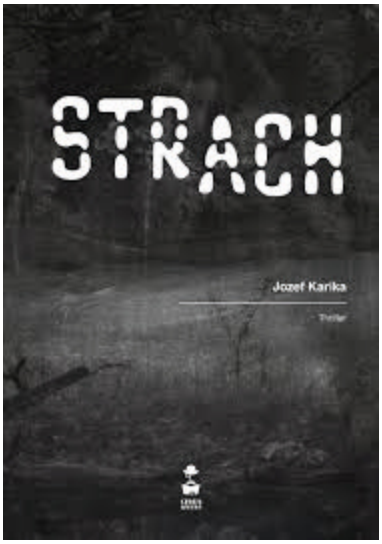

MISTYCZNY THRILLER PRZESIĄKNIĘTY STRACHEM.

Po rozpadzie kilkuletniego związku Jożo Karski powraca do rodzinnego Rużomberka. Tam czeka na niego puste mieszkanie rodziców, najmroźniejsza od kilku dziesięcioleci zima i podnóże góry skrywające mroczną tajemnicę.
Wkrótce w sąsiedztwie zaczynają znikać dzieci i powracają koszmary sprzed lat.

Strach sięga do korzeni ludzkich obaw, diagnozując jednocześnie choroby współczesnego społeczeństwa.

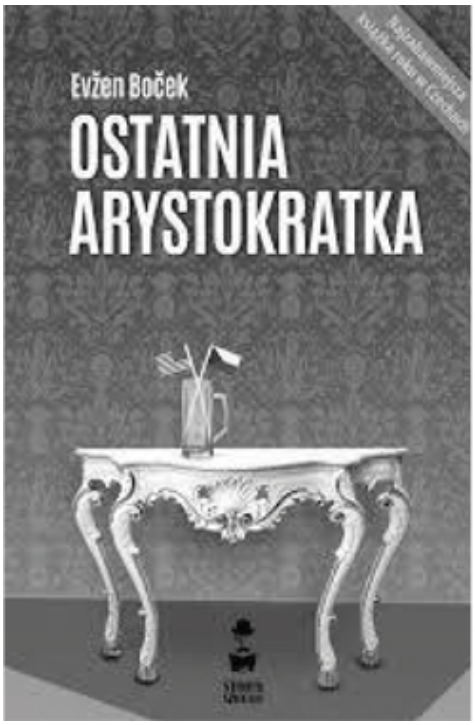

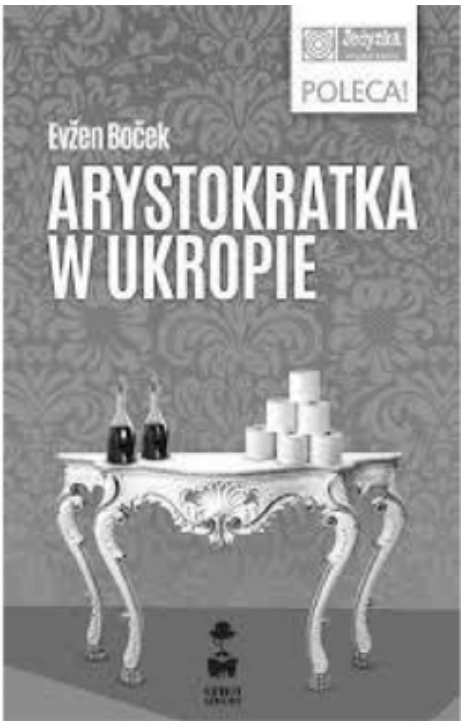

NAJLEPIEJ SPRZEDAJĄCA SIĘ CZESKA KSIĄŻKA 2015 ROKU!

Pamiętnik surrealistyczny. Gwarancja czeskiego humoru.
Przewrotny humor i galeria nietuzinkowych osobowości gwarantują dobrą zabawę. Obok historii opowiedzianej w taki sposób nie można przejść obojętnie. Mamy do czynienia z jedną z najzabawniejszych książek XXI wieku!

Rodzina Kostków powraca z Ameryki do Czech, by przejąć dawną siedzibę rodu – zamek Kostka. W zamku zastają dotychczasowych pracowników: kasztelana, ogrodnika oraz kucharkę. Jak nowi właściciele poradzą sobie w nowej rzeczywistości? Jak odnajdą się w rolach dotychczas nieodgrywanych?

UWAGA: CZYTANIE W MIEJSCACH PUBLICZNYCH NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Ta powieść chwyta za gardło i trzyma do ostatniej strony!

Zmęczony metropolią Wiktor wyjeżdża z Pragi, by zostać kasztelanem morawskiego zamku. Pragnie odnaleźć wewnętrzną równowagę i zażegnać kryzys małżeński. Jednak wizja spokojnego życia wśród zabytkowych mebli i dzieł sztuki szybko odchodzi w zapomnienie. Na zamku czeka dość zagadkowy personel oraz… demony przeszłości.

Tajemnicze odgłosy i niewyjaśnione zdarzenia przejmują władzę nad Wiktorem i jego rodziną. Czy mają swoje wytłumaczenie? Czy racjonalny umysł Wiktora rozwikła tajemnicę zamku?

Pamiętajcie: niczemu się tutaj nie dziwcie!

MISTYCZNY PORNO-GASTRO THRILLER Z XIX-WIECZNEJ PRAGI

Nadchodzi nowy rok. Kiedy praski Orloj wybija północ, odkryta zostaje bestialska zbrodnia. Śledztwo w tej sprawie prowadzi ekscentryczny komisarz Durman. Czy jego nietypowe metody doprowadzą do ujęcia sprawcy? Jak powstrzymać mordercę, który zawsze o krok wyprzedza policję? I czym jest tajemnicze Ordo Novi Ordinis?

Pewien praski bankier z braku innego pomysłu kupuje synowi na Boże Narodzenie świnkę morską. Jak dalece to niewinne wydarzenie zmieni życie rodziny? Jakie sekrety skrywa bank narodowy? I czy przed kryzysem finansowym można schować się w beczce?

W żadnym innym utworze literatura czeska nie zbliżyła się do twórczości Franza Kafki tak bardzo, jak w Świnkach morskich. (Milan Exner)

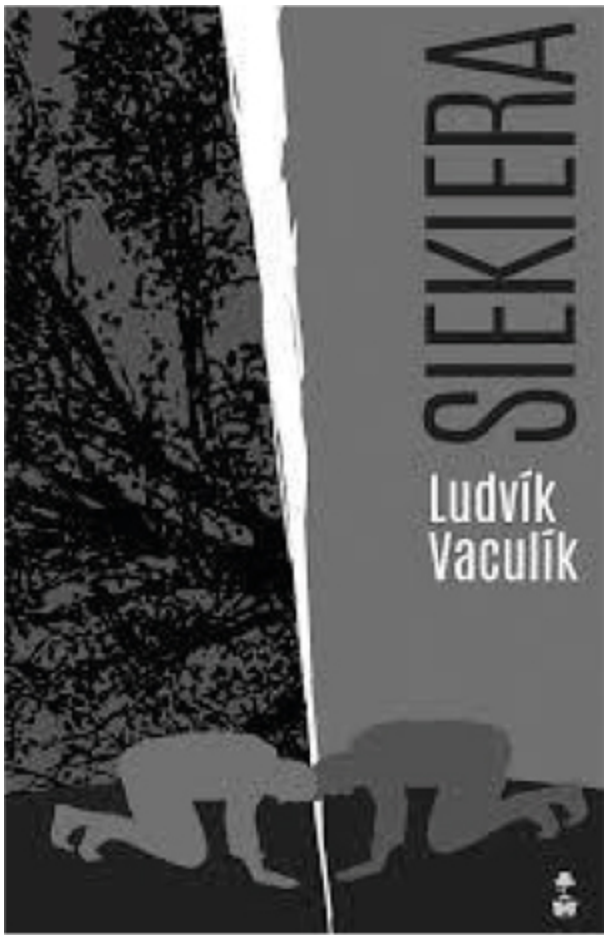

Powracający w rodzinne morawskie góry praski dziennikarz dokonuje bilansu swojego życia.

Siekiera jest dowodem na to, że sytuacja człowieka w społeczeństwie i w rodzinie nie zmieniła się w przeciągu ostatniego półwiecza tak bardzo, jak zwykliśmy sądzić. Ta powieść wciąż jest niezwykle aktualna.

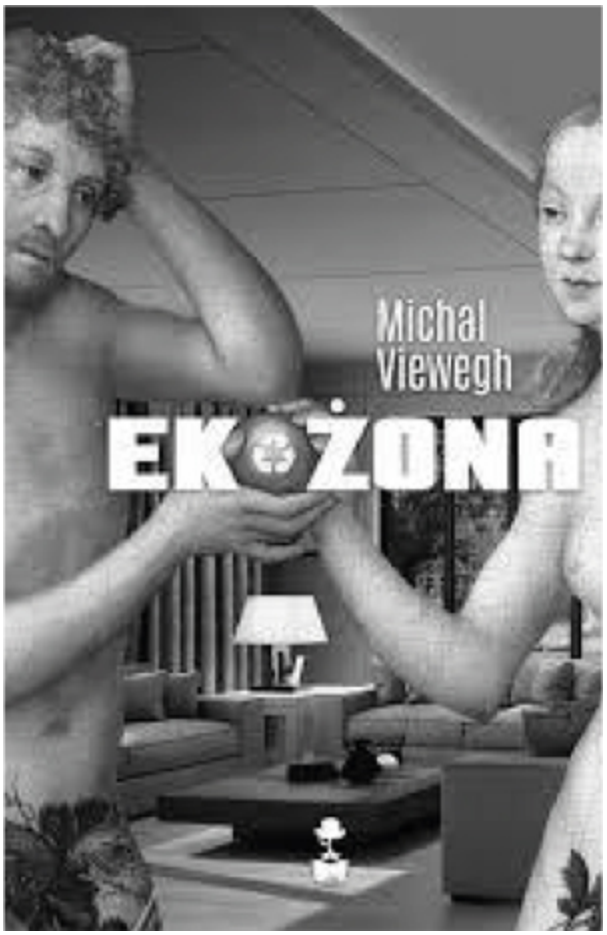

Zabawna powieść o kobietach i mężczyznach. Tę książkę kupił co setny Czech!

Ekożona stawia wiele aktualnych pytań: Czego oczekujemy od swoich partnerów? Jakie jest znaczenie porodu naturalnego? Co tak naprawdę oznacza życie w zgodzie z naturą i z samym sobą? Czy naturalny jest na przykład ogród? Albo małżeństwo?

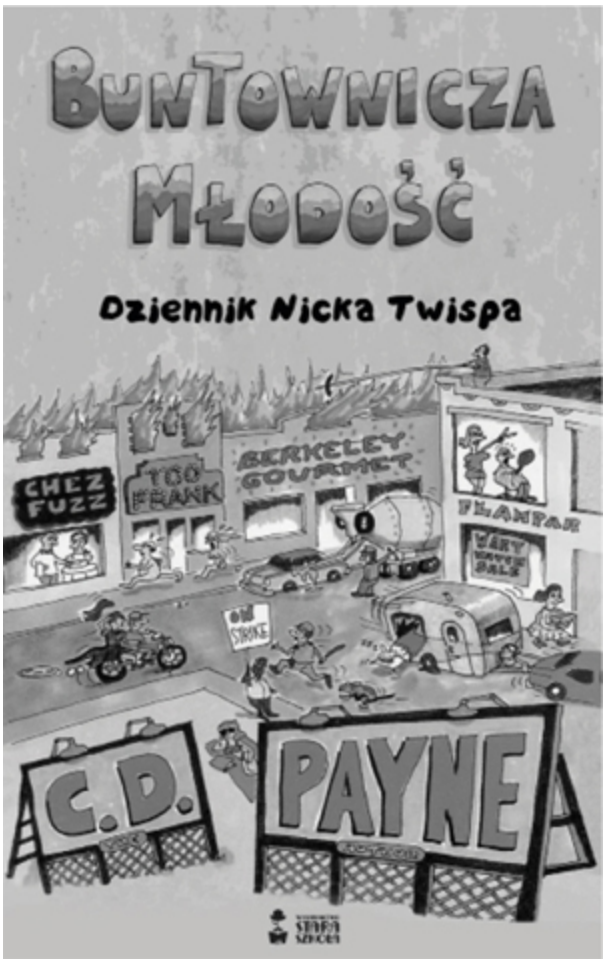

Pamiętacie, jak to jest: mieć czternaście lat i być zagubionym, wrażliwym, lekkomyślnym, romantycznym i niezwykle napalonym nastolatkiem? Przypomni Wam to Nick Twisp – młody buntownik, którego zna cała Ameryka!

Miłość, bunt, inicjacje seksualne, młodzieńcze przyjaźnie, problemy w szkole, problemy w domu – i szalone wakacje. A to wszystko doprawione czarnym humorem i przezabawnymi dialogami.

Uczniowie Cobaina to pełna dzikich przygód i humoru historia grupy nastolatków uwielbiających Johna Lennona i Kurta Cobaina. Razem przeżywają imprezy, zakładają zespoły rockowe i próbują osiągnąć sukces.

To również – a może przede wszystkim – poszukiwanie źródeł wyalienowania i bezradności w dzisiejszym świecie. Co czeka bohaterów, gdy karuzela młodości nieubłaganie się zatrzyma?

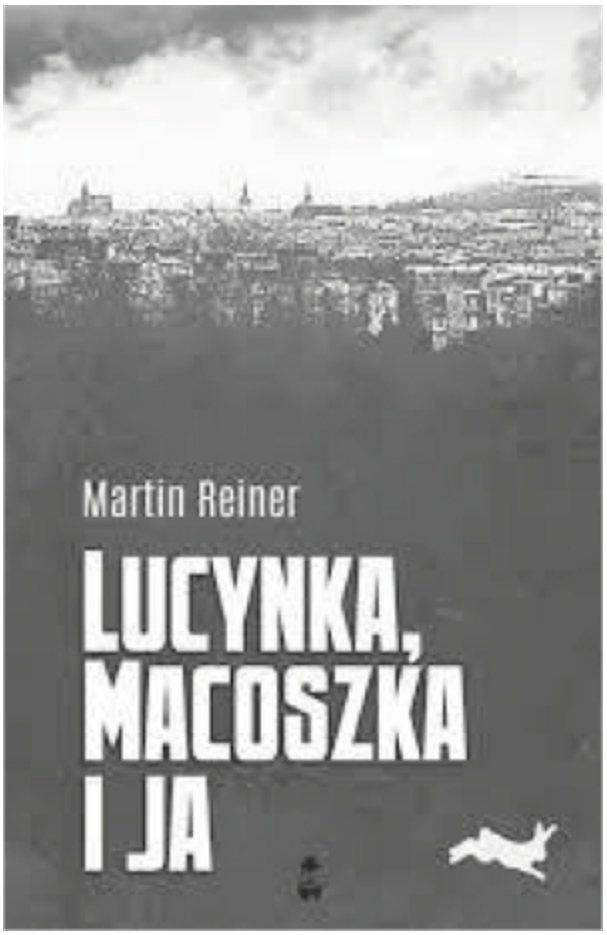

Lucynka, Macoszka i ja to opowieść o sile przeszłości, o miłości do dziecka i tęsknocie za samym sobą. Ta książka – choć w dużej mierze oparta na prawdziwych wydarzeniach – zabiera czytelników do innego świata. Znacznie piękniejszego.

Czytelnik ma tu do czynienia z prozą niemal doskonałą. (Pavel Janoušek, „Tvar”)

Chcesz wygrać z Barceloną, a potem zostać mistrzem świata w piłce nożnej? Musisz być biednym rolnikiem i mieć jedenastu synów. Załóż drużynę piłkarską, a potem będzie już z górki. Rozgrywki ligowe, mistrzostwo kraju...

Książka mądra, z uśmiechem. Podróże, relacje z meczów, niekłamane emocje.
Świetna dla dzieci. Wciągająca dla dorosłych.

Tytuł oryginału: *Pohár od Pánaboha*

Copyright © Ota Pavel – heirs c/o DILIA, 1971
Copyright © for Polish edition by Stara Szkoła Sp. z o.o., 2017
All rights reserved

Książka została przełożona dzięki wsparciu finansowemu
Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej

Tłumaczenie: Mirosław Śmigielski
Korekta: Dagmara Ślęk-Paw
Projekt okładki: Jakub Šolín

Wydawca:
Stara Szkoła Sp. z o.o.
Rudno 16, 56-100 Wołów
biuro@stara-szkola.com
www.stara-szkola.com

ISBN 978-83-948856-5-6

Plik opracował i przygotował Woblink
www.woblink.com